

WSPOMNIENIA

SŁUGI BOŻEGO KSIĘDZA MICHAŁA WOŹNIAKA

wydał i opracował

Ks. Ludwik KRÓLIK

Treść: Wprowadzenie. *Ciąg dalszy moich wspomnień I.II. [1]1940: Pielgrzymka do Ziemi świętej. Przykre lata przed wybuchem wojny. Wojna niemiecko-polska. 1940a. In nomine Domini! Zakończenie.*

Wprowadzenie

Sługa Boży Ks. Michał Woźniak (1875 - 1942), kandydat na ołtarze, pozostawił po sobie prawdopodobnie trzy Pamiętniki. Pierwszy "Kronika Parafii Chojnata", ukazał się drukiem w 1995 roku¹ Drugi - do tej pory nie został odnaleziony. Trzeci nosi tytuł: "III. Ciąg dalszy Moich Wspomnień", zachowany jest w formie rękopisu (brulionu). Ten ostatni stanowi cenne źródło do poznania przeżyć Autora okresu międzywojennego i początków II wojny światowej. Ksiądz Michał Woźniak jako proboszcz i dziekan parafii w Kutnie (1925 - 1942) miał bogate doświadczenia, które spisał w swoich "Wspomnieniach". Zapoznanie się z ich treścią z pewnością ubogaci Czytelnika, dostarczy wielu interesujących informacji, a także pozwoli odczytać osobowość Sługi Bożego, który spokojnie, bez emocji, z pewnej perspektywy czasowej opisuje minione fakty i wydarzenia oraz dokonuje ich oceny. Ten wartościowy bez wątpienia materiał historyczny rzuca wiele światła na okres międzywojenny historii Kościoła w Polsce.

Tekst "Wspomnień" Ks. Michała Woźniaka przekazano mi w 1992 roku. Po odpowiednim komunikacie, który był czytany z ambon w całej Archidiecezji Warszawskiej, udało się zgromadzić sporo materiału dowodowego na temat Sług Bożych Pięciu Kapłanów Męczenników Archidiecezji Warszawskiej (ks. Roman Archutowski, ks. Edward Detkens, ks. Michał Oziębłowski, ks. Zygmunt Sajna i ks. Michał Woźniak). Przesłano wiele listów oraz informacji, które ułatwiły prowadzenie procesu. W ten sposób otrzymałem od Pani Anny Józwiak, zamieszkałej w Kutnie, bru-

¹ Ks. M. WOŹNIAK, *Kronika parafii Chojnata*, (wydał i opracował ks. L. Królik), Warszawa 1995, ss. 102. *Warszawskie Studia Teologiczne* 6(1993), 165-266.

lion zapisany własnoręcznie przez Ks. Michała Woźniaka. "Wspomnienia" te P. Anna Józwiak otrzymała od P. Jadwigi Szomańskiej, która ściśle współpracowała z Ks. Michałem Woźniakiem w Akcji Katolickiej. Wymienione osoby dziś już nie żyją, ale zachowane przez nie "Wspomnienia" (Pamiętnik) stanowią autentyczny ślad działalności Sługi Bożego.

Brulion o wymiarach 15 X 20 cm. Ks. M. Woźniak zatytułował: "III. Ciąg dalszy Moich Wspomnień, I II [1]940" Obejmują one 302 strony tekstów, które wyszły spod pióra Sługi Bożego. Ich autentyczność nie budzi żadnych zastrzeżeń. Analiza pisma oraz porównanie go z rękopisem "Kroniki Parafii Chojnata" świadczą o autorstwie Sługi Bożego. Data zamieszczona na stronie tytułowej - jak wynika z treści - jest dniem rozpoczęcia pisania przez Ks. M. Woźniaka "Wspomnień" Zarówno wcześniej wydana "Kronika Parafii Chojnata"² jak i obecne "Wspomnienia" świadczą o umiłowaniu historii. Sługa Boży ze znanstwem opisuje przeszłość i dokonuje fachowej jej oceny. W czasie lektury "Wspomnień" warto zwrócić uwagę na rzetelność opisu wydarzeń oraz na akcenty religijne narracji historycznej. Interesująca jest np. wypowiedź Sługi Bożego o pewnych faktach i zjawiskach religijno - społeczno - państwowych. Autor "Wspomnień" jawi się Czytelnikowi jako gorliwy kapłan-duszpasterz, wielki patriota - Polak, który żyje sprawami swojej Ojczyzny, a jednocześnie pragnie, by była ona wspólnotą ludzi, zjednoczonych we wierze Kościoła katolickiego. Wszelkie wypowiedzi o Kościele, wypowiedziane z wielkim szacunkiem, są wyrazem jego głębokiej wiary i miłości. Z tekstu "Wspomnień" wynika, że ich Autor korzystał z notatek przypuszczalnie innego brulionu (brudnopisu).

W niniejszej publikacji nie dokonywano żadnych zmian w tekście. Przypisy ograniczono do najważniejszych. Tekst odpowiada wiernie zapiskom w brulionie Autora, który boleśnie, ale cierpliwie przeżył koszmar ostatniej wojny, nie wyrażając żadnych słów nienawiści do wroga. W wydaniu uwzględniono także m.in. uwagę Ks. M. Woźniaka w odniesieniu do pisowni: "Dlatego niech się nikt tu nie dziwi, że gdy piszę "niemiec", piszę z małej litery. Zacznę pisać z dużej litery wtedy, gdy ten naród zacznie żyć po ludzku"[s. 281].

Tytuły rozdziałów, zamieszczone w tekście, pochodzą od Autora "Wspomnień" W pierwszej części znajdujemy wspaniały opis pielgrzymki do Ziemi świętej, którą Sługa Boży przeżył w dniach od 24 lutego do 25 marca 1933 roku. Materiał ten może stanowić interesujący przewodnik dla dzisiejszych pielgrzymów.

Kolejny rozdział "Przykre lata przed wybuchem wojny" zawiera informacje o dziejach Kościoła dekanatu kutnowskiego, które poprzedziły zajęcie Polski przez Niemcy. Charakterystyka i ocena sytuacji narodowej i religijnej są wyważone i przemyślane, przeprowadzone fachowo z wielką erudycją, w pięknym stylu. Autor ukazuje się tutaj Czytelnikowi jako historyk Kościoła, który zna fakty, rozumie je i potrafi wyciągać właściwe wnioski. Ukazuje prawdę historyczną. Fragment ten - to wartościowy materiał poznawczy, nieznanych dotąd dziejów Kościoła Warszaw-

² *Tamże*; por. AAW, W1 (teczka Ks. M. Woźniaka).

skiego na tle sytuacji społeczno-politycznej Rzeczypospolitej okresu międzywojennego.

Następną częścią prezentowanych "Wspomnień" jest opis wojny niemiecko - polskiej. Sługa Boży Ks. M. Woźniak, nie opuszczając swojej parafii, I wojnę światową przeżył w Chojnacie. Tu, w Kutnie zachował podobną postawę pasterza pozostającego na stanowisku proboszcza do końca. Inne miał wyobrażenie o Niemcach i sposobach prowadzenia wojny z tamtego okresu, diametralnie różną przeżył rzeczywistość w zetknięciu się z postawą nazistów hitlerowskich. Widoczna roztropność, a jednocześnie zatroskanie o sprawy Kościoła i losy narodu polskiego - to jego piękna cecha pełna godności i miłości.

Ostatnią część "Wspomnień" zatytułował Autor "+ 1940 a. In Nomine Domini!" Jest to ciąg dalszy opisu cierpień ludności na terenie Kutna i okolic. W tym czasie Sługa Boży "dojrzał" do męczeństwa, które właściwie już wcześniej się rozpoczęło, by osiągnąć swój kres w obozie koncentracyjnym w Dachau. Wiele jest w tym fragmencie akcentów religijnych. Wielką wartość posiadają jego słowa wypowiedziane 29 lutego 1940 roku: "Dowiedziałem się, że jestem na liście do wywiezienia. Radzą (ze sfer niemieckich usunąć się gdziekolwiek, aby zejść z oczu. Ale gdzie iść? Przy tym chory. Zresztą zasadą jest do ostatniej chwili nie schodzić z posterunku obowiązku duszpasterza. Nic więcej nie czynię, jeno służę Chrystusowi Panu. A gdy wypadnie życie poświęcić, to będzie tylko łaska Boża, boć to przecież nie będzie żadna polityka, jak im się zdaje, lecz służba Panu Bogu do ostatniego tchu. Amen"

Z analizy tekstu "Wspomnień" wynika, iż ich Autor rozpoczął redakcję w brulionie dnia 1 II 1940 roku. Pisał intensywnie, korzystając z notatek własnych i zaginionej "Kroniki Parafialnej" Treść "Wspomnień" nie rozpoczyna się od wspomnianej daty, ale sięga wstecz, kiedy to Sługa Boży objął duszpasterstwo w Kutnie (1924 lub 1925). Pisał dlatego, iż lubił to zajęcie. Jak sam odnotował: "Kronikę jednak będę prowadził, choćby dla samej pamięci faktów. Nabyty już nałóg pisania zmusza mnie, abym notował wieści" Ponadto stwierdził: "pisanie tych Wspomnień staje się koniecznością dla zachowania równowagi umysłu" Po zajęciu Kutna przez Niemcy "pisanie" przynosiło Ks. M. Woźniakowi ulgę w cierpieniach.

Sługa Boży Ks. M. Woźniak nie podaje za wiele dat. Na podstawie analizy treści i porównanie jej z innymi źródłami można ustalić tylko niektóre daty i to w przybliżeniu (np. pozbawiony został funkcji kapelana pułku prawdopodobnie w 1939 roku). W innych przypadkach są jednak problemy z ustaleniem datacji, szczególnie we fragmencie "Przykre lata przed wybuchem wojny" (np. sprawy związane z duszpasterstwem parafialnym, budową domu parafialnego czy kwestia reorganizacji granic parafii itp.).

Ciąg dalszy moich wspomnień: 1.II. [1]1940

[s. 3...]³. Wtem Dolatowska ciężko zachorowała. Mnie znów wypadło wyjechać na miesiąc. Poleciałem tylko [...] Franciszkowi Walczakowi, żeby dopilnował tej sprawy, to jest, aby Dolatowska przekazała rejentalnie ten plac kościołowi w Kutnie. Tak też się stało. Gdy wróciłem Dolatowska już nie żyła, ale zostawiła testament, spisany przez rejenta. Trzeba było potem ogłaszać w gazetach i czekać pół roku na zgłoszenie się innych spadkobierców. Nie zgłosili się. Córki Dolatowskiej dały piśmienne zrzeczenie się praw do tego placu i w ten sposób złożywszy zaraz hipotekę, weszliśmy zaraz w posiadanie. Tercjarze stanęli jednak z budową, bo zrobili 800 zł. długu i nie mieli już funduszków na dalszą budowę. Przejąłem teraz wszystko w swoje ręce, wraz z tym długiem. Domek miał być parterowy, murowany, z drewnianymi facjatkami. Ten projekt nie podobał mi się. Dałem plany do przeróbki i stanęło na tym, że będzie taki, jak jest obecnie, dwupiętrowy, wybudowany. W tym samym czasie Rada Opiekuńcza [s. 4] poszukiwała lokalu na otworzenie trzeciej Ochronki. Na posiedzeniu Rady u Dra Troczewskiego debatowano nad tym i nie doszło do żadnego postanowienia. Rada miała na ten cel 4000 zł. i nie miała odwagi nic przedsięwziąć. Powiedziałem wtedy: "dajcie mi te 4000 zł., a ja wam dam na zawsze lokal, oczywiście nie zaraz, ale jak wybuduję" Jeden z członków wtedy rzekł: "włosy mi na dłoni wyrosną, jak Ks. Pratat wybuduje ten dom, który zaczął" Ta rozmowa miała miejsce na jesieni.⁵ A na następny rok, w lecie, dałem już Radzie salę darmo, tylko musieli sobie sami wykończyć, żeby prędzej było. Miałem bowiem, budując ten dom, na uwadze, nie tylko tercjarzy, dla których przeznaczono salę na zebrania, ale i inne instytucje, a nawet mieszkania dla organisty i może dla księdza, gdy zajdzie potrzeba. Tercjarze z początku zaczęli szemrać, gdy tę salę na dole oddałem na Ochronkę. Ale im wytłumaczyłem, że to właśnie [s. 5] jest w duchu św. Franciszka Serafickiego, który sam ubogi, ale o ubogich miał swoje staranie. Zakony franciszkańskie budowały szpitale, przytułki, ochronki, więc i III zakon w Kutnie powinien coś takiego zrobić. A gdy i to nie pomagało - to był argument "ad hominem": "Dużo tu jest Waszego?" "Plac" "Dobrze, plac wart tysiąc, niech będzie nawet dwa tysiące zł., na dom złożyliście drugie tyle i co dalej?"

Przy zamknięciu rachunków budowy - dom kosztował 49.580 zł. 95 gr., w tym tercjarzskich pieniędzy tylko 8000 zł. Parafia na to też nie dała ani grosza. Tercjarze tylko jeszcze wozili darmo kamienie i piasek. Dlaczego ten dom taki drogi? Takie były czasy. Cegłę najtaniej płaciłem 55 zł. za tysiąc, ale później płaciłem po 80 zł. Drzewo, żelazo, cement, wszystko wówczas było 100% droższe niż w ostatnich cza-

³ Tekst Wspomnień jest kontynuacją wcześniejszego Pamiętnika, który prawdopodobnie zaginął i stanowi jego trzecią część. Zaczyna się od strony trzeciej.

⁴ Niewyraźne słowo. Prawdopodobnie "tercjarzowi"

⁵ Nie podano roku.

sach. Niektóre rzeczy poszły na marne. Np.: postawiłem pięć komórek na węgiel, murowanych, obszernych. Żeby każdy mieszkaniec tego domu miał swoją komórkę. Pokazało się, że [s. 6] to próżny koszt. Już pierwszej zimy złodzieje zaczęli odrywać kłódki, wykradać węgiel. Komórki stały przez kilka lat puste. Później trzeba było zebrać i materiał przenieść do budowy wikariatki. Pierwotnie w tym domu był sklep. W suterenach pralnia, nawet skanalizowana. Ten sklep i pralnię prowadziło Stowarzyszenie sług chrześcijańskich. W dalszych suterrenach miały mieć te sługi nawet rodzaj hoteliku przejściowego. Wszystko to, po rozwiązaniu przez nasz rząd sanacyjny tego Stowarzyszenia, upadło. Kanalizacja na pół się zepsuła. Odpływa woda nawet z podwórka, sąsiad Kawka w stronę naturalnego spadku nie chciał przyjąć. Musiałem drenami prowadzić przez posesję Jakubowskiego do ogrodu plebańskiego. A to wszystko kosztuje, bo żeby się nie zapychało, potrzebne studzienki. W tej chwili tak się ten dom przedstawia.

Sutereny, od strony południa, jest w dalszym ciągu [s. 7] pralnia dla mieszkańców tego domu. Obok w suterenie też obok południa mieszka przełożona trzeciego zakonu Szymańska. Od szosy w suterenie porobiono przegródki na węgiel - w drugiej są rzeczy należące do Ochronki. Parter - od południa przez całą długość domu sala, gdzie jest Ochronka. Od ulicy, w górze był sklep, teraz szatnia dla dzieci z Ochronki - obok mieszkanie ks. wikarego. Na pierwszym piętrze od południa sala dla tercjarzy od ulicy mieszkania organisty. Drugie piętro całe zajmuje ks. Targoński, prefekt gimnazjalny i kapelan szpitala. Za mieszkanie do wojny obecnej płacił tylko ks. Targoński 40 zł. miesięcznie. Dom się w żaden sposób nie rentuje. Bo ciągłe remonty dachu, to znów malowanie, podatki, opłata ubezpieczenia od ognia. Obecnie ani grosza dochodu. Ale to też tercjarzom mówię zawsze, że ten dom nie jest na dochód, jak oni chcieli, ale na sprawy społeczne czy też dobroczynne. Jeśli Panie Miłosierdzia zdobyły się na wybudowanie [s. 8] Przymiarki dla Starców - to i trzeci Zakon może coś dobrego zrobić. Bo tylko dobre uczynki pójdą z nami poza grób.

Pielgrzymka do Ziemi Świętej

Przystępuję do opisu jednego miesiąca w moim życiu, który mi się wydaje wyjątkowym, mimo że już rozmaitych uczuć dotąd doznawałem. W piątek, 24 lutego 1933 r. o godz. 4 po południu wyjechaliśmy z Głównego Dworca z Warszawy przez Wiedeń do Wenecji. Zbiórka pielgrzymów była naznaczona na Dworcu przy kiosku z kwiatami i tu już poczęliśmy zawierać ze sobą znajomości. Pielgrzymi mają to do siebie, że nawet, nie znając się wcale, wśród tłumu, potrafią się odnaleźć. Tak było z nami owego lutowego otwieczerza na Dworcu Głównym. Już spora grupka nas się zebrała, a nikt z przewodników się nie zjawiał. Miał przewodniczyć Ks. Biskup Kubina, ale Biskup miał wsiąść dopiero w Częstochowie [s. 9], a reszta pielgrzymów w Katowicach. Organizacją podróży zajmował się Frankopol. Wtem wpadł zziębnięty wicedyrektor Frankopolu i począł rozdawać nam paszporty. Ponieważ okazało się, iż jest to eksobywatel ziemski z kutnowskiego, który mnie poznał, opowiedział mi w tajemnicy, że mało brakowało, a pielgrzymka nie doszłaby do skutku. W ostatniej

chwili przywieziono paszporty z wizą angielską, aż z Wiednia. Nie bardzo to mi się wydawało jasne, później dopiero dowiedziałem się reszty.

Z Pragi [...] napisałem kartę z życzeniami imienninowymi dla J. Em. Kardynała Kakowskiego. Droga przez ten śliczny Tyrol, z myślą, że jeszcze ciekawsze kraje przed nami. Już teraz mogliśmy się wszyscy poznać. Pielgrzymka składała się z 60 osób świeckich i 43 księży. Było trzy klasy. Najwięcej, zdaje się, jechało II klasą, najmniej I. Ja jechałem drugą, choć podobno na okręcie byłoby lepiej I. Ale na te sprawy mało się zwracało uwagi. O godz. 11 wieczorem stanęliśmy w Wenecji. Z dworca motorówkami na okręt włoski Tevere. [s. 10] W kabinie było nas trzech. Ks. Kanonik Szramek i drugi Ksiądz, obaj z Katowic i ja. Bardzo mili towarzysze. Tę drugą noc można było już się przespać, ale czujnie, żeby nazajutrz, w niedzielę odprawić Mszę św., bo okręt o godz. 8 rano już wypływał. Niektórzy z księży pobiegli do miasta, raczej popłynęli. Woląłem zostać na okręcie, bo były dwa ołtarze w głównym salonie. Nim skończyłem Mszę św. okręt zaczął wypływać. Musiałem dobrze pilnować Hostii i palki, bo drganie okrętu od pracujących maszyn, było tak wielkie, że co chwila palka spadała. Później, gdy okręt jest na morzu i płynie, już tych drgnień nie ma. Chyba, że znów jest kotłowanie od fal, co jeszcze gorzej się przedstawia.

Okręt duży, 15.000 ton, morze spokojne. Myśmy stanowili tylko jakąś tam część podróżnych. Inni jechali do Australii do Sydney. Następnego dnia morze się rozkołysało. Zdążyłem jeszcze odprawić [s. 11] Mszę św. Ale gdy po mnie odprawiał Ks. Biskup Kubina, dwóch księży musiało go trzymać pod ręce, a inni pilnowali kielicha i Hostii. Ledwie skończył, gdy okręt się tak zakołysał, że ja siedząc na kanapie, pojechałem na niej przez szerokość salonu na drugi bok okrętu. Nie wiem, dlaczego w salonie nic nie jest przytwierdzone, prócz tych ołtarzyków. Wszystkie inne meble suwały się po głównej posadzce i ludzie wraz z nimi. Wyglądało to bardzo komicznie, choć niektórzy nabili sobie guza.

Przybiliśmy do miasta Bari, gdzie staliśmy półtorej godziny. Po południu do Brindisi. Tu trzy godziny. Mieliśmy więc czas zwiedzić miasto. Jest to port wojenny - forteca dla hydroplanów. Miasto bardzo ciekawe. Jest wiele pamiątek po starożytnych Grekach, którzy tu kiedyś byli. Zwiedziliśmy jeden kościół, w którym odbywało się 40- to godzinne nabożeństwo. Potem muzeum niezmiernie ciekawe. Oprawdzał nas i tłumaczył kanonik kapituły tutejszej. Charakter miasta bardzo starożytny. Klimat zawsze tu łagodny, więc i te zabytki mogły się dotąd przechować. [s. 12]

Cały dzień przebywaliśmy na pokładzie. Śliczna, ciepła pogoda, morze spokojne dawało jakieś dziwne ukojenie duszy i wypoczynek ciału. Ja znalazłem partnera do szachów, choć nieraz trzeba było przerwać, żeby popatrzeć na piękne widoki. Wpłynęliśmy bowiem w obszar wysp należących jeszcze do Włoch. Na pokładzie robiła sobie notatki do swego dzieła "Krzyżowcy" Zofia Kossak Szczucka. Rozmawiałem z nią często. Wpisała mi się do mojego notatnika na pamiątkę tymi słowami: "Na pamiątkę pięknej wspólnie odbytej pielgrzymki do Ziemi św. Współtowarzyszowi Wieleb-

⁶ Niewyraźne słowo.

nemu Księdzu Woźniakowi z wyrazami szczerej przyjaźni - Zofia Kossak Szczucka 27 lutego 1933 r. Na pokładzie Tevere, między Brindisi a Pireusem"

Zawieraliśmy miłe znajomości, bo to choć grupka niewielka, lecz prawie z całej Polski byliśmy tu zebrani. Każda klasa miała [s. 13] sale-jadalnie oddzielnie. Więc gdziekolwiek się spotkać czy na pokładzie, czy na posiłku wszędzie życzliwość mieli towarzysze - pielgrzymi. Cały główny salon był w naszym posiadaniu. Tu więc po Mszach św. jeszcze modlitwy, śpiewy. Tak samo wieczorami, śpiewy i wreszcie odczyty. Bardzo piękny miał odczyt o Krzyżowcach Ks. Kan. Szramek, mój współtowarzysz w kabinie. Mówił na temat wojen krzyżowych. Że tymi właściwie szlakami, jakimi my teraz jedziemy, oni, Krzyżowcy płynęli. Jeno, w jakże odmiennych warunkach. My oto jedziemy w pięknym salonie, widnym i wygodnym, z całą swobodą bezpieczeństwa, podczas gdy Krzyżowcy, zdani na łaskę wiatru lub wiosła, wśród niebezpieczeństw od Korsarzy, w niewygodnych małych okrętach, zdani na łaskę fal morskich. Zawsze też coś miał do powiedzenia Ks. Biskup Kubina.

Ciekawy był niezmiernie Kanał Koryncki, 6 kilometrów długi, a tak wąski, że ledwie nasz okręt mógł płynąć. Musiał go [s. 14] ciągnąć specjalny holownik, bo turbiny naszego okrętu za mało miały wody. Za okrętem zostawała woda zmaczona, jakby w jakiej kałuży. Płynęliśmy "noga za nogą", to jest tak wolno, że ludzie ciekawi, po wysokich brzegach szli razem z okrętem. Widzieliśmy z daleka resztki sławnego miasta Koryntu. Wy płynęliśmy z Kanału do Zatoki Salamińskiej, sławnej w starożytnej Grecji z bitwy, jaka się tu odbyła. Kraj tu bardzo nędzny, ludzie też biedni, nie wiadomo, z czego żyją, bo nie widać, żeby czymś specjalnie byli zajęci. We wtorek po południu przybyliśmy do portu Pireusu. Jest to jakby przedmieście Aten. Trochę się tam bawili Grecy w przeglądaniu naszych paszportów, ale że nie mieliśmy się tu na teraz dłużej zatrzymywać, więc dali nam spokój. Zwiedziliśmy port i miasto do późnego wieczora i w nocy wy płynęliśmy na pełne morze. Nazajutrz płynęliśmy wśród wysp Dedekanezu i 1 marca, w środę, wysiedliśmy na wyspę Rhodos. Są to wyspy należące [s. 15] do Włoch, stąd mimo ludności nie wiadomo, jakiej narodowości wojsko i policja włoska nadają charakter miasta włoskiego. Ongiś stał tu w porcie sławny kolos rosyjski, cały z brązu na granitowym fundamencie. Runął wskutek trzęsienia ziemi, w ten sposób zawalił cały port, także obecnie duże okręty muszą zostawać na pełnym morzu, a tylko małe motorówki mogą się przemknąć, wśród złomów kamieni do portu. Sam kolos z brązu zabrał Napoleon na armaty.

Miasto Rhodos było ongiś siedzibą Krzyżowców. Jest oryginalny kościół ich budowy i grobowce Krzyżowców obok kościoła na cmentarzu. Przy tym kościele rezyduje biskup tutejszej diecezji. Jest to kapucyn w habitie i z brodą. Tylko krzyż biskupi na piersiach i piuska, oznaczają jego godność. Sam ten biskup pokazał nam kościół, wszystko objaśnił i do końca nam towarzyszył, aż do przystani motorówek. Przedtem zwiedziliśmy zaułki, bardzo oryginalne, miasta. Niektóre ulice są tylko dla pieszych. Rodzaj bulwaru od strony [s. 16] morza stanowi dzielnicę już więcej europejską. Tu, na tym bulwarze, zarząd Frankopolu uraczył nas rhodyjskim winem. I to kilku gatunkami. Przeważnie jest słodkie i słabe. Słońce zachodziło, gdy wracaliśmy na spienionym morzu do swojego domu - okrętu. Trzeba przyznać, że nieraz, gdyśmy [nieraz]

znużeni zwiedzaniem, wracali na okręt - to czuliśmy się tu jakby w zaciszu domowym. I teraz pierwsze wrażenie było takie, ale już za godzinę nastąpiła pewna odmiana.

Noc ciemna, jak atrament. Fale morskie spędziły nas z pokładu. Okręt kotłował się na boki, na pokładzie bryzgi piany. Gong wzywa na kolację. Idziemy jakoś nie bardzo chętnie. Oho, a to co za nowość? Krzesła przytwierdzone do podłogi na stołach specjalne listwy po bokach, czego dotąd nie było. Szklanki i talerze w przymocowanych przegródkach, no i gości ani połowy. A ci, co przyszli, ledwie zaczęli jeść uciekają. Dopóki sobie nie uświadomiłem [s. 17], o co chodzi, było jako tako. Ale gdy sąsiad zerwał się, zatykając sobie usta dłonią - musiałem i ja rychło na pokład. Mniejsza o wino rhodyjskie i może kawalek obiadu. Ale po co Neptunowi moje binokle? W kabinie jest lepiej i nazajutrz już było dobrze. Nad wieczorem 12 marca przybyliśmy do Aleksandrii. Starego miasta tylko gdzieniegdzie resztki. Przeważnie gmachy pobudowane na sposób europejski. Port olbrzymi rozciąga się amfiteatralnie w morze. Urzędnicy celni i paszportowi przybyli na okręt i tu powoli, skrupulatnie wszystko badali. Podobno obawiają się wpuścić do siebie bolszewików. Ubrani są ci urzędnicy egipscy rozmaicie. Przeważnie w fezach na głowie. Tu już na zawsze opuściliśmy nasz okręt. Wydostać się do miasta pojedynczemu człowiekowi po prostu nie sposób. Taki tłok i wrywanie sobie pasażerów robią Arabowie. Z początku ma się wrażenie, że rzucą się na siebie lub na nas, [s. 18] tak okropnie wrzeszczą. A to podobno są zwykłe rozmówki między nimi. Nie widziałem potem i w mieście Araba, żeby coś bez krzyku powiedział.

Objechaliśmy autami miasto, szczególnie dzielnicę europejską, a potem wróciliśmy wśród lepierek, nad brzegiem Nilu. Wieczorem ruszyliśmy koleją do Kairu. Kolej egipska okropna. Mieszkaliśmy w hotelu zupełnie nowoczesnym, National, choć stół i obsługa miejscowe. Przeważnie z potomków dawnych Mameluków, bardzo ładne chłopaki. Ubrani w szaty białe, jakby sutanny, pasy czerwone i także fezy na głowie. Cera twarzy śliwkowa, niektórzy mogą się rozmówić po angielsku lub po francusku. Można było wziąć kąpiel w hotelu. Woda z Nilu, w wannie wyglądała szafirowo, jakby farbowana. W dzień bardzo gorąco, a w nocy jednak chłodno. I tu się właśnie zaziębiłem, bo zdjąłem ciepłą bieliznę, a potem nad kanałem sueskim było formalnie zimno. [s. 19]

Nazajutrz, od samego rana zaczęło się forsowne zwiedzanie osobliwości Egiptu. Ciceronem po Egipcie był nam profesor Uniwersytetu Warszawskiego p. Rychter, który tu stale mieszka w Heluanie pod Kairem. Pojechaliśmy na pustynię do piramid. Jadąc poza Nil zauważyłem, że Egipcjanin wiezie na wózku świeżą kapustę, jakoby dopiero z pola. Istotnie, patrzę, a tu małe poletka po kapuście, dopiero co wyciętej. A było to 3 marca. Piramidy sprawiają niezwykle wrażenie. Tak swoim wyglądem, jak i starożytnością istnienia. Przecież mają one 4 tysiące lat, a więc były stawiane na 2 tysiące przed Chrystusem Panem. Pan Jezus, gdy był tu jako małe pachole, patrzył się na te piramidy. Jest ich tu trzy. Jedna największa. Tę najmniejszą uczeni nasi inżynierowie, obiecują, żeby przy nowoczesnych środkach pomocy mechanicznych może przez 30 lat wybudowali. A o największej nawet myśleć nie chcą. Może jakie 400 kroków od [s. 20] piramid w stronę Nilu stoi ów sławny Sfinks. Obecnie podstawa

jego odkopana z piasku, ogrodzony barierą kamienną, patrzy w stronę miasta nieodgadniony w swym delikatnym uśmiechu. Jest to głowa ludzka - kolos. Wystarczy powiedzieć, że w uchu jego może zwyczajny człowiek dorosły znaleźć schronienie. Proszę pomyśleć, ile tu pokoleń przeszło obok tego Sfinksa. Ilu ludzi chciało go zniszczyć. Arabowie sądzili, że w głowie Sfinksa znajdują się wielkie skarby i wielu próbowało wejść na tę głowę. Ale kto tylko wszedł, spadał i zabijał się. Wojska Napoleońskie, gdy były w Egipcie, strzelały do tej głowy z armat. Obtrąciły tylko nos i teraz jeszcze trudniej zgadnąć, co myśli ta głowa.

Po prawej stronie Sfinksa, stoi resztką kaplicy przedpogrzebowej. Do tej kaplicy w starożytności był kanał z Nilu. Kanałem tym, na złocistych statkach, przywożono zmarłych Faraonów do tej kaplicy, gdzie odprawiano modły żałobne i potem [s. 21] chowano ich w piramidach. Resztki tej kaplicy daje miarę oceny, jak wysoko stało wówczas budownictwo z ogromnych głazów kamiennych. Są to po kilka nieraz metrów, bloki z granitu wypolerowanego. Granit był tu na miejscu. I kiedy zdjęto z olbrzymiej bryły tę twardą skorupę, natrafiono na kamień nie tak twardy, a tym samym już nie zdolny na piramidy. Gdy przyjechał Faraon oglądać budowę, zapytał inżynierów, dlaczego sprowadzają kamień z daleka, skoro widzi, tu jeszcze tyle pozostało. Inżynierowie odpowiedzieli, iż to jest miękki sam i niezdatny na budowę. Wtedy Faraon uderzył kilofem w ten kamień, próbując jego wytrzymałość. Zobaczył, że się nadaje do rzeźby. Stał zwrócony w stronę Nilu i kazał się w tej bryle rzeźbić. Tak podobno powstał Sfinks.

Piramidy i Sfinks stoją już w pustyni. Stąd widać dolinę Nilu i całe miasto Kair, lecz dalej, za miastem widać bielejący piasek - pustynię. Pas urodzajnej ziemi, aż do Górnego [s. 22] Egiptu jest bardzo wąski. W najszerszych miejscach dochodzi do 18 kilometrów. Ale w pustyni znajdują się oazy, gdzie są nawet osiedla ludzkie. Wracając od piramid, zwiedziliśmy jeszcze przed obiadem, ogród zoologiczny. Pierwszy raz w życiu co prawda byłem w takim ogrodzie. Bo to, co u nas się znajduje, sztucznie podtrzymywane, tam jest sprawą naturalną. Różne hipopotamy, krokodyle i inne stworzy żyją tu w swojej ojczyźnie. Tyle tylko, że je można bez obawy oglądać. Tak samo różnorodne gatunki lwów, panter, małp i tygrysów. Zwieszone z dżungli ptactwo, żyje sobie też tutaj jakby na wolności wśród rozmaitych gajów, drzew podzwrotnikowych. A co tu kwiatów? To co u nas w doniczkach lub cieplarniach, jak kaktusy, oleandry, palmy - tam to sobie rośnie przy drogach, w rozmiarach, jak nasze wierzyby. Tylko, że to nie sprawia wrażenia [s. 23], jakby się wypadało spodziewać. Może dlatego, że to też oblamane, jakieś zakurzone. Kurz w Kairze straszny. A jak wiatr powieje, to nie ma ratunku. Rzadko też widziałem polewane ulice, chyba w dzielnicy pryncypalnej,

Po południu tego samego dnia profesor Rychter zaprowadził nas do muzeum narodowego. Tu mamy przed oczyma dziesiątki tysięcy lat dziejów ludzkości. Całe życie starożytnych Egipcjan jest tu przedstawione. Gdy się tak ogląda te wspaniałe rzeźby, bogactwa wydobyte wraz z mumiami Faraonów, to przychodzi na myśl, dlaczego teraz narody nic takiego nie mają, nie robią. Obecni Egipcjanie zdaje się żyją z tego, co im proajcowie zostawili, bo z tych wykopalisk i za samo ich oglądanie mają do-

chody. Między innymi jest sala Faraona Tutenkamena. Jakie tam wspaniałości włożono mu do grobu. Teraz to wyjęto i jego samego w mumii, a ludzie teraz zjeżdżają się, żeby oglądać i naruszać spokój [s. 24] tego zmarłego przed tysiącami lat. Są też rozmaite bóstwa, w które Egipcjanie wierzyli. Nieraz bardzo głupie, bo płazy rozmaite, krowy. Są takie dwie krowy zrobione z marmuru kolorowego. Jest sala z mumiami zwierząt, jak małpy, psy, koty, owieczki. Wszystko przedstawione z tą myślą o życiu pozagrobowym. Egipt przeszedł najwyższy rozwój kultury, potem upadł. Teraz stara się podziękować za to, jaką czerpie z Europy. Oczywiście nie zawsze dobrze na tym wychodzi. Wpływy tu są przeważnie angielskie. Ale powoli Egipt chce się od tej zależności uwolnić, wygrywając rywalizację innych państw europejskich w tym względzie. Byliśmy przypadkowymi świadkami tej gry. Gdyśmy wysiedli w Aleksandrii i potem przez całą drogę kolejną widzieliśmy wiele bram triumfalnych ustrojonych flagami egipskimi i włoskimi. A już cały Kair tonął we flagach, transparentach włoskich. To samo na Nilu i dalej w górę Nilu, widzieliśmy [s. 25] to samo. Otóż, na dzień przed naszym przybyciem przyjechał król włoski z królową, jako goście do Egiptu. Wtedy, gdyśmy my byli w Kairze, oni odpłynęli Nilem do Memphisu.

Podobno rząd włoski przed tą podróżą, zwrócił się do Anglii, o pozwolenie wjazdu. Anglia odmówiła. W Egipcie dowiedziano się o tym. I król Egiptu Faruk zaprosił gości włoskich do siebie. Trzeba przyznać, że Włosi umieją chodzić koło swoich interesów. Przenikają głównie przez misje katolickie, jakie rozmaici zakonnicy i zakonnice prowadzą na tym Wschodzie. Z nami jechało kilka zakonnice Włosek, z którymi na okręcie rozmawiałem, właśnie do Aleksandrii na pracę misyjną. Tak się składało, że gdziekolwiek miałem Mszę św. czy w Aleksandrii czy Kairze zawsze trafiłem na kościół obsługiwany przez Włochów. O tym będzie jeszcze mowa. W sobotę, do południa zwiedzaliśmy stare miasto. Kościółek Koptów, w którym jest grota św. Rodziny, że tutaj jakoby ukryła się Matka Najświętsza ze św. Józefem i Dzieciątkiem. [s. 26]

Niezmiernie silne wrażenie robi cmentarz Mameluków. Olbrzymi meczet sułtana Hassana i drugi Mahomeda Ali. Wreszcie Cytadelę. Na tych wzgórzach znać potęgę Islamu. Po południu już na własną rękę. Bardzo ciekawy jest Bazar Arabski. Pojedynczo tam się znaleźć, nie jest podobno bezpiecznie. Kobiety noszą na twarzy czarczaf, ledwie oczyma błyszczą. Wielu jest ślepych, bo mają owo egipskie zapalenie oczu. Pewnie od silnych promieni słońca i więcej jeszcze od kurzu, który tu jest plagą.

W niedzielę 5 marca odprawiłem Mszę św. w kościele OO. Franciszkanów. Co za bogactwo w tym kościele: marmury i brąz. A wszystko artystycznie zastosowane. Chciałem złożyć ofiarę, jak to jest zwyczajem, gdy obcy ksiądz odprawia Mszę św.. Nie przyjęto, mówiąc, że tu nie ma tego zwyczaju. Tak samo było potem i w Palestynie. Skarbonki też żadnej w zakrystii ani w kościele nie ma. Złożyliśmy wizytę naszemu Konsulowi [s. 27] p. Benisowi. Jak to miło na dalekiej obczyźnie mieć kawałek Polski. Dom cały z ogrodem to terytorium Polski. Ale to była jakaś polityka, że nie

⁷ Corr. w rękps. do.

przemówił do nas ani słowa powitania. Pani konsulowa zabiegała, aby nas przyjąć winem, ciastkami. Ks. Biskup Kubina bardzo pięknie i patriotycznie przemówił. A konsul ani teraz nie odpowiedział. Podobno rząd polski nie był rad z naszej pielgrzymki - więc p. Benis bał się narazić. Niektórzy z pielgrzymów pojechali do Memphis. Ja z czterema innymi w tym czasie pojechaliśmy do Heluanu. Jest to oaza, posiadająca kąpiele siarczane, do których podobno już Neron przybywał. O jakie 70 km. od Kairu. Jedzie się z początku nad brzegiem Nilu, a więc strefą urodzajną.

Egipcjanie czerpali wodę z Nilu na swoje polećka sposobem, jak to było jeszcze za Faraonów. Na połowie drogi skręciliśmy w lewo, już na pustynię. Szosa asfaltowa, zasypywana [s. 28], gdy wiatr wieje, piaskiem, jak u nas śniegiem. Dróżnicy chodzą i zgarniają. Heluan, miasteczko niewielkie, ale niezmiernie miłe - czyste. Zajechaliśmy do willi dzierzawionej przez Polaków i Polacy w niej tylko mieszkają. Przed rokiem mieszkał tu Piłsudski. Pokazywano nam pokoje, gdzie był. O tej porze jest jeszcze roślinność. Ale już w maju, czerwcu wszystko tu jest spalone słońcem, mimo polewania wodą, sprowadzaną kanałami z Nilu. Zaszedłem do kościółka. Był otwarty, lecz pusty, choć to była niedziela. Ale jakże miły i przytulny. Miałem wrażenie, że znajduję się w pęcickim kościele, tak jakoś tu błogo i swojsko. Jeszcze było czuć kadzidło i dym zgaszonych świec. Paliła się tylko wieczna lampka, na znak, iż tu przebywa Boski Więzień w tej pustyni. W willi, w której stanęliśmy, było paru kuracjuszy z Polski, którzy z naszego przybycia bardzo się ucieszyli. Trzeba rozumieć tę nostalgię, [s. 29] jaką zwykle Polacy przechodzą, gdy się znajdują z dala od Ojczyzny. Byliśmy tak-sówką i zapłaciliśmy - zdaje się - po 5 dolarów od osoby. Z dolarami można cały świat objechać. Zmieniliśmy w Grecji na drahmy, tu na pouny, gdziekolwiek na leje, bo zawsze jakiś drobny sprawunek lepiej miejscową monetą płacić. Ale każdy chętnie przyjmie dolary. W Palestynie brali i nasze złote, nawet w sklepach.

Po południu wyjechaliśmy z Kairu do Palestyny. Przykra to była droga. Najpierw okropne porządki na kolei egipskiej, a potem palestyńskiej. Około północy stanęliśmy nad Kanałem Sueskim. Zauważyłem, że im mniejsze i mizerniejsze państwo, tym większe robi ceregiele na swojej granicy. Tak było i tu. Godzinami trzymano nas w jakiejś szopie, a potem nad kanałem, gdzie było chłodno, po upałach egipskich. Przeglądano paszporty, rewidowano walizki, jakbyśmy ukradli w Egipcie jakiegoś Faraona. Poonczas Mojżesz wędrował [s. 30] z ludem z większymi bogactwami. Ale wybrał drogę nieco dalszą i nie kanał, którego wówczas nie było jeszcze, ale całe morze miał przed sobą. Przez kanał przeprowiliśmy się na promie. Tu się też całkiem zaziębitem i potem musiałem kichać, aż do ciepłej Grecji. Wskutek tych perypetii na kanale spóźniliśmy się do Jerozolimy na wyznaczoną godzinę. Mieliśmy w programie prosto z dworca kolejowego pójść procesjonalnie do Bazyliki Grobu Chrystusa. A musieliśmy to odłożyć na popołudnie.

Z dworca zajechaliśmy autokarami do hotelu OO. Franciszkanów Casa Nuova. Tu przez dwa tygodnie mieliśmy bardzo miły przytułek. Narzekali niektórzy na pożywienie, że to po włosku podawano. Ale trudno. Skoro się już wspaniałe pomarańcze przejadły, a śniło się za kapustą - to nie wiem, jak można było dogodzić. 6 marca o godz. 3 po południu wyszliśmy z hotelu pod przewodem Biskupa Kubiny, ze sztanda-

rem [s. 31] amarantowym. Po jednej stronie sztandaru wyszyty biały równoramienny krzyż jerozolimski, po drugiej orzeł biały polski. Krętymi uliczkami i przez zapchane bazyry, przybyliśmy do Bazyliki Grobu Pańskiego. Po odprawieniu modłów ucałowaliśmy Grób Pana Jezusa i rozpoczęliśmy zwiedzać te najświętsze miejsca. Więc poszliśmy na miejsce Ukrzyżowania. Na tym miejscu jest ołtarz, przy którym miałem szczęście mieć Mszę św.. Obok jest miejsce, gdzie stał Krzyż. I tu jest ołtarz, ale Mszy św. tu nie można odprawiać, bo ten ołtarz należy do Greków. Można tylko pod ołtarzem ucałować to miejsce Krzyża. Między tymi ołtarzami jest mały ołtarzyk z obrazem Matki Boskiej Bolesnej. Na tym miejscu złożono Matce Najświętszej Jej Syna po zdjęciu z Krzyża. To wszystko na Kalwarii. Potem schodzi się na dół po schodach do miejsca, gdzie namaszczano Chrystusa przed pogrzebem. Jest to płyta marmurowa, obwieszona lampami, które się tam zawsze palą. Dalej, jeszcze niżej schodzi się do Kaplicy [s. 32] św. Heleny, gdzie ta cesarzowa odnalazła Krzyż Pana Jezusa.

Na drugi dzień, miałem właśnie Mszę św. na miejscu Ukrzyżowania. Kolor ornatu fioletowy, a Msza św. specjalna o Ukrzyżowaniu. Nastąpiło dalsze zwiedzanie Bazyliki. Jest tu Kaplica Najśw. Sakramentu, w której jest kolumna Ubiczowania oraz relikwie Krzyża św.. Wszystko to pod opieką OO. Franciszkanów. Relikwie święte można ucałować. Kaplica ta robi wrażenie zwykłej Kaplicy Katolickiej. Bo sama Bazylika, przeładowana różnymi liturgiami schizmatyckimi, najmniej ma cech naszego łacińskiego obrządku. Wszędzie nas oprowadzał i objaśniał, Franciszkanin, od młodości tu zamieszkały, Polak O. Borkowski.

Poszliśmy do meczetu Omara, który stoi na miejscu świątyni Pańskiej. Jest to olbrzym jako budowa, ale też niezwykle pod względem architektury i bogactwa. Muzułmanie niechętnie wpuszczają "niewiernych" do tego meczetu. Musieliśmy [s.33] się im optać, a potem jeszcze powinniśmy zdjąć obuwie, bo w butach wejść nie wolno. Właściwie to dają na buty swoje pantofle i tak to prawo się obchodzi. W środku meczetu jest głaz kamienny, ogrodzony, na którym Abraham miał zamiar ofiarować swego syna Izaaka. Ani w Egipcie, ani tutaj, nie ma tak bogatego meczetu, jak ten. Bo już drugi meczet El - Aksa, jest bez tych ozdób mozaikowych, jakie tam dominują. I tak po drodze Złota Brama, kościół św. Anny, jako miejsce urodzenia Najświętszej Maryi Panny. Przyszliśmy na dziedziniec Piłata, Litostrotos, gdzie jeszcze zachowało się trochę Łuku "Ecce Homo" Ponieważ niektóre części Jerozolimy były zasypane gruzem, czy to wskutek zburzenia miasta przez Rzymian czy później przez trzęsienia ziemi, więc teraz, tak jak w Rzymie na Forum, odkopują i do pierwotnego stanu przywracają. Tak jest z dziedzińcem Piłata. Płyty marmurowe, po których teraz się chodzi, mają być te same, po których stąpił Pan Jezus.

[s. 34] Mieszają się tu pamiątki Starego i Nowego Testamentu. Góra Syjon, siedziba Dawida i oto kościół św. Jakuba Starszego, gdzie był stracony. Z domu Anna-sza i Kajfasza poszliśmy do Wieczernika. Wieczernik robi przykre wrażenie, ponieważ muzulmanie zrobili sobie tu meczet i choć za drogą optatą pozwalają wejść, lecz pilnie strzegą, aby się tu nie modlić. Miły jest bardzo kościółek Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny. W środę 8 marca, bardzo rano, jeszcze ciemno było, gdy posze-

dłem odprawić Mszę św. na Grobie Chrystusa Pana. Ołtarz stanowi ta ława kamienna, na której położony był Pan Jezus. Ponieważ jest to w niskim Grobie i zaledwie 30 cm. od ziemi, więc trzeba cały czas być nachylonym. Msza św. specjalna "De Resurrectione".

Gdy wróciłem do hotelu, zaraz pojechaliśmy do Betlejem. Jest tu Bazylika, a z boku Grota, czyli dawniejsza stajenka. [s. 35] Musieliśmy długo czekać w Bazylice nim Grecy do Groty nas puścili. Przez ten czas modliliśmy się w Bazylice. OO. Franciszkanie przyprowadzili małe dzieci do kościoła, które rozpoczęły odmawiać różaniec po arabsku: "Salem Alejkum Maria" itd., potem litanie. Ojcowie prowadzą szkołę i widać rodzice tych dzieci godzą się, aby były wychowane w wierze katolickiej. Wreszcie mogliśmy iść do stajenki. Ks. Biskup odprawił tu Mszę św. "De Nativitate", przeczytał potem odpowiednią Ewangelię i serdecznie przemówił. Podczas Mszy św. śpiewaliśmy kolędy. Tu jest też Casa Nuova OO. Franciszkanów, gdzie było śniadanie. Następnie zwiedzanie Pola Pasterzy. Z powrotem, już inną drogą, zwiedziliśmy góry św. Jana Ain Karem, miejsce Nawiedzenia św. Elżbiety przez Najświętszą Maryję Pannę. Tu widziałem niewiasty z błękitnymi welonami szły lub wracały od źródeł niosąc wodę w anforach, rodzaj dzbanków, jak to przedstawia nam [s. 36] Stary Testament. Taki tu konserwatyzm w budowlach, w ubiorach, tak samo i męskich, że zda się znaleźliśmy się wśród rzeszy, jaka za Chrystusem chodziła. A to są Arabowie nie Żydzi. Bo ci przeważnie ubrani po europejsku. Między Jerozolimą a Betlejem jest grób Racheli. Jest to grobowiec z kamienia w formie namiotu.

Wstrząsające wrażenie robi Getsemani, Bazylika Konania Chrystusa w Wielki Czwartek. Przed prezbiterium w Bazylice jest skała, na której modlił się Pan Jezus i krwawym potem pocił. Odprawiałem tu Mszę św.. Bazylika ta sprawia dziwny nastrój. W oknach zamiast szyb ze szkła, są tafelki z kolorowego alabastru. Światło przesiane przez te tafelki robi złudzenie jakby się było w ogrodzie. Podobno to kosztem wielu milionów dolarów, katolicy z Ameryki pobudowali tę Bazylikę za pośrednictwem OO. Franciszkanów. Wyżej stąd widać Górę Oliwną, miejsce Wniebowstąpienia Pańskiego. Na tym miejscu jest kościół grecki.[s. 37] Wracając do miasta idzie się drogą, jaką prowadzono Chrystusa z Ogrodu Oliwnego. Przechodzi się Potok Cedron, teraz wyschnięty i tylko w czasie deszczów czynny. Miejsce ukamienowania św. Szczepana i przecina się całą Dolinę Józefata.

W piątek 10 marca, o wschodzie słońca wyjechaliśmy z Jerozolimy do Jerycha. Był cudny poranek wiosenny. Ale ledwie wyjechaliśmy z Jerozolimy znaleźliśmy się wśród głuchej ciszy, pustynnej okolicy. Zdało się, że tu było kiedyś gwarno, lecz teraz wszystko zamarło i jesteśmy jakby na innej planecie. Ani ptaszka, ani muszki, nigdzie żadnej rośliny. I ta straszna cisza, tylko huk motoru autobusu, ostro odcina się od tej głuszy. Po prawej stronie drogi (dobrej asfaltowej szosy) stoi ta ewangeliczna gospoda, gdzie dobry Samarytanin złożył rannego. Dalej, po lewej stronie w dole na skalistym wzgórzu jakiś klasztor. Ale ani tu ani tam żywej duszy nie widać. Słońce wznosi się spoza tych skalistych wzgórz. Powstają [s. 38] fantastyczne cienie. Wreszcie jakiś strumyk krynicznej wody wije się wśród tych skał. I zaraz widać trochę trawki nikłej, która z pewnością nie przeżyje lata. Powoli zbliżamy się do Jerycha,

które jest położone jakby w kotlinie. Na lewo puszcza, obecnie już tylko skały, gdzie Pan Jezus pościł 40 dni. Na wstępie są ruiny miasta z czasów Chrystusa Pana. Wyżej, na lewo Jerycho Biblijne z czasów Jozuego. Teraz Amerykanie grzebią w tych ruinach. Dalej dopiero właściwe miasteczko obecne. Niepokaźnie wygląda, jak zwykle na Wschodzie. Ale znać, że jest zamożne. Ziemia tu urodzajna, przy tym płynie jakaś rzeczka, co na Wschodzie stanowi bardzo wiele. Mieszkańcy Arabi. Dodatkowy dochód mają od pielgrzymów, którzy tu przybywają. Krótko tu bawiliśmy. Ledwieśmy tylko zwiedzili Jerycho Biblijne, wśród kopaczy, jacy tam głęboko w gruzach kopią. [s. 39]

Skierowaliśmy się teraz w stronę Jordanu. Na miejscu, gdzie według podania św. Jan chrzczył Pana Jezusa, OO. Franciszkanie przygotowali namiot. W namiocie Ks. Biskup Kubina odprawił Mszę św., a myśmy przystąpili do Komunii św.. Po Mszy św. Ks. Biskup przeczytał odpowiednią Ewangelię i powiedział naukę. Spacerując nad brzegami Jordanu, jedliśmy śniadanie, jakie Frankopol w torebkach przygotował. Nie można było napić się wody, bo woda w rzece była zmaczona, po deszczu. Brzegi Jordanu zarośnięte wikliną i trochę jest trawy, ale kilkanaście metrów od rzeki, już się rozpoczyna pustynia, czystego piasku. Miłe to są wspomnienia bytności tu Pana Jezusa. Nie ma tu żadnego kościoła, dopiero OO. Franciszkanie mają budować. Gdy już mieliśmy odjechać, przesunęła się nad nami jakby chmura. A to był cień od przelatujących bocianów w wielkiej ilości na północ. Zaczęliśmy wotać: "boćki, boćki pozdrówcie tam Polskę" Wtedy boćki zawróciły [s. 40] i poczęły przez jakiś czas z klangorem nad nami krążyć. To nas ogromnie wzruszyło. Na obczyźnie Polak bardzo jest podatny do wzruszeń.

Teraz jechaliśmy jakimiś wertepami, bez żadnej drogi, w stronę Morza Martwego. Teren piaszczysty, nierówny. Trzeba było wybierać, gdzie twardziej, bo i błoto pasmami się ciągnęło, rodzaj tundry. Trochę zieleniny w tych miejscach, jakieś badye, chwasty. Były tu zapewne dawniej lasy, teraz smutne resztki jakichś krzewów. Morze lekko falowało. Ale większość pielgrzymów spróbowali kąpiele. Woda gorzka, lepka i tak ciężka, że ci, co nawet źle pływali, mogli się utrzymać na powierzchni. Przy brzegu Anglicy założyli fabryczki dla wyrabiania asfaltu, wylowionego z morza. Żadnych tu budynków nie ma, oprócz kiosku i łazienek. Jest też agencja pocztowa na miejscu i nic więcej. Cisza i smutek wisi nad tym morzem. Na przeciwnym [s. 41] końcu morza, bo jest podłużne na 70 km., miały być owe biblijne miasta Sodoma i Gomora. Nie ma tu żadnej żywej istoty, ani na brzegu ani w morzu. Biedne bociany nie mają już tu żadnego pożywienia. Leciały z Egiptu do Polski. I pilno im było do polskich żabek. Ci, co się nie kąpali, to choć nogi myli, żeby przecież wykorzystać to morze. W kiosku pisano karty do kraju, a byli i amatorzy wina, jakie tu sprzedawano po słonych cenach. Dano hasło do odjazdu. Jeden z kąpiących się nie zdążył obmyć się słodką wodą w łazience. To też potem wyglądał, jak trędowaty, gdy sól morska i siarka wyszły na twarzy.

Wracaliśmy jakiś czas wertepami bez dróg. Aż wyjechaliśmy na szosę. Po lewej stronie piętrzyły się góry, ogołocone też z drzew. Wśród tych gór ma być grób Mojżesza, ale Żydzi dotąd nie mogą tego grobu znaleźć. W Casa Nuova czekano z obia-

dem. O godz. 3 po południu poszliśmy procesjonalnie odprawić Drogę Krzyżową. [s.42] Przewodniczył, jak zwykle w nabożeństwach Ks. Biskup. Ale prowadził O. Borkowski, Franciszkanin, bo sami nie wiedzielibyśmy, jak się poruszać. Zaczyna się od dziedzińca Litostratos. Czasem jest jakiś ślad stacji w rodzaju kapliczki lub tylko zwykłej liczby na murze domu. Ale bywa, że nic nie ma, bo dom należy do Araba i nie pozwoli na żaden znak obcej wiary. Więc tylko na podstawie podania zatrzymywaliśmy się, że tu mniej więcej taka stacja być winna. Uliczki wąskie, kręte, brudne, pełne nieraz rozmaitych handlarzy. Tak, iż ta Droga Krzyżowa podwójnie smutna. Dopiero na Kalwarii, gdzie jest Bazylika Ukrzyżowania i Grób Chrystusa, można spokojniej się pomodlić.

Po skończonych modłach w Bazylice, poszliśmy zobaczyć Mur Płaczu. Zastaliśmy kilku Żydów, którzy odprawiali swoje lamenty. Całowali Mur, resztki ze świątyni Salomona. Zachowaliśmy [s.43] się cicho, żeby uszanować ich ból. Opodal stał policjant Arab, a dalej dyskretnie przechadzał się policjant angielski. Zdarzało się bowiem, że Arabowie napadali na modlących się Żydów. Przykre to wrażenie. My obezliśmy smutną Drogę Krzyżową. Ale ta Droga zaprowadziła nas do Grobu Chrystusa. Tu kres naszych smutków bo po trzech dniach, możemy śpiewać chwalebne "Alleluia" Tymczasem Żydzi z pokolenia w pokolenie przychodzą tu bez żadnej nadziei. Pod względem historycznym Mur ten stanowi resztki świątyni Salomona. Wysoki na jakieś 10 metrów. Składa się z olbrzymich bloków kamiennych. Kamień ze starości w niektórych miejscach staje się porowaty. Ale przez ciągłe dotyki i całowania traci swą chropowatość. Tylko łagodny klimat sprawił, że dotąd kamień ten nie skruszał.

W sobotę 11 marca uroczysta Msza św. na Kalwarii dla uczestników pielgrzymki. Ileż tu westchnień, ile też dusz pobożnych. [s. 44] Miejsce to święte i najświętsze. Tu Krew Przenajświętsza zmyła nasze grzechy. Tu poczęło się zbawienie nasze. Po nabożeństwie poszliśmy do dzielnicy starego miasta, gdzie znajduje się Dom Polski. Założył ten Dom Ks. Pinciurek, którego poznałem kiedyś w Lombriesco. Jeździł on po całym świecie, zbierał pieniądze i zostawił pod opieką SS. Elżbietanek bardzo miły Dom z Kaplicą. Tego samego dnia po południu wzięliśmy udział w uroczystej procesji w Bazylice Grobu Chrystusowego. Odprawiał sam patriarcha Jerozolimy. Wspaniale wyglądała ta procesja ze światłem o zmroku. Śpiewy duchowieństwa niezwykłe, tak jak całe nabożeństwo. Ale jednocześnie trzeba się uzbroić w cierpliwość. Bo inne wyznania, jak Kopci, Grecy, prawosławni, zaczynają zaraz swoje niby śpiewy, a właściwie to są wrzaski, po prostu wycia. [s. 45]. I przeto zaciera się miły nastrój, jaki z początku sprawił śpiew gregoriański.

Złożyliśmy też wizyty: Ojcu Kustoszowi Ziemi św., który jest przetożonym OO. Franciszkanów oraz naszemu Konsulowi p. Kurnikowskiemu. Temu panu mogliśmy zawdzięczać, że pielgrzymka doszła do skutku. Bo rzecz tak się przedstawiała. Nasz rząd, nie wiadomo dlaczego, podobno żeby nie wywozić pieniędzy z kraju, nie miał ochoty dać pozwolenia na wyjazd. Ale nie chciał tego zrobić jawnie, bo to i Ks. Biskup Kubina zabiegał. Więc dał paszporty, ale podmówił ambasadę angielską, aby nie dała wiza na wjazd do Palestyny. I tak już sprawy stały, że mieliśmy niejechać.

Ale dowiedział się o tym p. Kurnikowski. Zadepeszował do Frankopolu i poradził, aby po wizy pojechać do Wiednia, gdzie jest jego kolega z dyplomacji i on to dla Kurnikowskiego [s. 46] robi. Wizy zaś, czeską, austriacką, włoską, grecką i rumuńską można było załatwić w Warszawie. W ostatniej chwili to właśnie załatwiono. Nasz rząd w wielu posunięciach swoich strasznie głupi i w tym wypadku wykazał brak zrozumienia, czym jest istotna propaganda polskości za granicą. Wydaje ogromne sumy na propagandę urzędową, która tylko nam wstyd przynosi, jak owe zespoły tancerzy czy aktorów. A myśmy jadąc nieśli imię Polski godnie i pożytecznie. Na okręcie, gdyśmy przybijali do jakiego portu, obok bandery włoskiej, wywieszano i naszą polską. Orkiestra grała nasz hymn narodowy. Więc czy w Grecji, czy w Egipcie pytano się, kto to jedzie i skąd. Może niektórzy dowiadawali się po raz pierwszy, że istnieje Polska. A potem każdy z nas na swój sposób szerzył znajomość o Polsce. Dlatego w Jerozolimie [s. 47], żeby zarobić na naszych złotych przy zmianie, Żydzi rozpuścili pogłoskę, że Piłsudski umarł i że w Polsce jest rewolucja. A więc nasze polskie złote nic nie warte. Konsul rychło o tym się dowiedział i przestrzegł nas, aby się złotych nie wyzbywać.

Egipt i Palestyna, a szczególnie ta ostatnia jest pod protektoratem Anglii. Ale ma się wrażenie, że niemały głos mają też tu i Włochy. Wszędzie można się rozmówić po włosku. Kościoły, klasztory wypełnione Włochami. W Casa Nuova w Jerozolimie główny salon wygląda jakbyśmy byli w Rzymie. Wielkie portrety króla włoskiego i następcy tronu, język włoski, napisy, obyczaje. Usługiwały nam w pokoiku dwie młode dziewczyny. Pytam się, z jakich okolic Włoch pochodzą. A one: "przecież my jesteśmy Arabki tutejsze, ale katolicki". Oto SS. Franciszkańki je nauczyły wiary św. i języka [s. 48] włoskiego. Jedna z nich opowiedziała, jak to się stało. Ojciec został zabity przez Żydów. Włosi zaopiekowali się rodziną. Więc matka z pięciorgiem dzieci: trzech synów i dwie córki przyjęły katolicyzm. Synowie są szoferami lub w fabryce pracują, ale są dobrymi katolikami. Obok swego ojczystego języka mówią doskonale po włosku i bronią interesów włoskich. Oto jest propaganda rozumna i tania, a przy tym szlachetna. Takiej propagandzie Bóg też błogostawi. Gdziekolwiek poszedłem odprawić Mszę św. czy w Aleksandrii, czy Kairze, czy tu w Palestynie, wszędzie mogłem po włosku rozmówić się, przyjęto mnie życzliwie i z miłością. Miałem wrażenie, że jestem we Włoszech.

Tak samo Francuzi. U siebie nie są religiańci. Ale w koloniach znać ich [s. 49] pieczołowitość o sprawy duchowne. Jest np. w Jerozolimie wielki szpital pod zarządem Sióstr Szarytek francuskich. Jak to tam pięknie, dostatnio dla tych biednych Arabów, a szczególnie ich dzieci, bo jest rodzaj sierocińca. Francja daje na to fundusze i wie, co robi. Siostry przemile, jakże one tęsknią za ojczyzną swoją. Ale jak żołnierze stoją, na stanowisku i dla Boga i dla swej ojczyzny. U nas tylko przez zacietrzewienie, partyjnictwo, nie rozumie się, co znaczy wpływ Kościoła na sprawy narodowe. Bóg też ciężko karze naród za rząd, jaki sobie naród obrał.

Biedny Ks. Pinciurek swym mozółem gorącą myślą patrioty więcej zdziałał zakładając równie ubożuchny Dom Polski w Jerozolimie, niż wszystkie szampiony ciężkiej i lekkiej wagi wysyłane I klasą na światowe turnieje. Jakże miło jest Polakowi, w

obcym bądź co bądź mieście, wśród Arabów [s. 50] i Żydów znaleźć się jakby w swym rodzinnym domu, pod opieką sióstr, w kaplicy, gdzie na ołtarzu znajduje się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Pięknie o tym pisze Nowaczyński, który mając do wyboru wykwinne hotele, stanął gościnnie w tym Domu i czuł się jak u siebie. Trudno powiedzieć, jak w Polsce, bo niestety, był katowany, po kilkakroć, przez zbirów rządowych.

12 marca, niedziela. Do południa zwiedzanie Jerozolimy na własną rękę. Po południu część pielgrzymów pojechało z ciekawości do Tal Avion, miasta żydowskiego. Ja wybrałem się z innymi do Emaus. Śliczny to jest zakątek, wśród gór i niezbyt daleko od Jerozolimy. Gospoda, w której Pan Jezus dał się poznać Łukaszowi i Kleofasowi, już nie istnieje. W tym miejscu jest kościół OO. Franciszkanów, którzy z pietyzmem tego miejsca strzegą.

13 marca, poniedziałek. Do południa [s. 51] zwiedzanie miasta na własną rękę. Po południu ostatnia wizyta u Grobu Pańskiego i poświęcenie pamiątek. O godz. 7 wieczorem pożegnalna wieczerza w Casa Nowa z udziałem p. Konsula Kurnikowskiego. Teraz oficjalnie powiedzieliśmy się od Ks. Biskupa, który w swej mowie do pielgrzymów zwrócił się z podziękowaniem do Konsula, że jemu tylko zawdzięczamy, iż tu się dziś znajdujemy.

Nazajutrz o godz. 8 rano wyjazd autokarami do Nazaretu. Jechaliśmy prawdopodobnie tą drogą, jaką Matka Najświętsza z Panem Jezusem i św. Józefem chodzili do Jerozolimy. Z tą tylko różnicą, że wówczas były jeszcze miejscami lasy, a droga była zwykła. Teraz jest szosa asfaltowa, ale wśród osypisk skruszałych skał. Dopiero w Samarii zaczynają się rośliny, a pola urodzajne w dolinie Ezdrelon już blisko Nazaretu. W Samarii zwiedziliśmy studnię Jakuba, przy której Pan Jezus rozmawiał z Samarytanką [s.52]. Do tej studni schodzi się po wielu stopniach wśród zwałisk jakiegoś kościoła. I obecnie zaczęto budować, ale nie skończono jakąś cerkiew, bo studnia ta jest w posiadaniu prawosławnych. Żona popa dała nam świeczki, żeby zapalić i wpuścić na sznurku do studni, aby się przekonać o jej głębokości oraz dzbanek do wyciągnięcia wody. Bardzo smaczna. Pop jest biedny i nie może skończyć rozpoczętej budowy. Mieszka w małej chatynce wśród ruin dawnej budowy.

Niedaleko jest miasto Nablus, dawniejsza Samaria. Potem rozpoczyna się równina i ziemia urodzajna. Jechaliśmy wśród zielonej pszenicy jak ongiś Pan Jezus chodził z uczniami, którzy rwali kłosa i posilali się w ten sposób. Na tej urodzajnej ziemi jest kolonia żydowska. Tak się złożyło, że wypadło nam w tej kolonii na chwilę stanąć, aby przykryć [s. 53] płótnem walizy, jakie na dachu autokaru były, bo zaczął padać deszcz. Ledwieśmy stanęli, jak się zbiegło wiele żydostwa i po polsku poczęli nas witać, a o polskie miasta, skąd pochodzili, dopytywać. Jeden z Żydów sklecił sobie wozowiznę na wzór naszych wozów, dwie szkapy i chomąta krakowskie. Ogromnie był dumny z tego i wkoło nas jeździł demonstrując swoje bogactwo. Niektórzy z pielgrzymów nakupili tu sobie papierosów, pomarańczy, bo Żydzi wszędzie jednacy, zawsze handlują, choć sklepów nie było widać.

Okolice Nazaretu zaczyna się górzysta. Jedzie się teraz wirażami i pod górę. Jeden zakręt jeszcze i oto Nazaret w dolinie, ale też nierównej. Tu też OO. Franciszkanie mają hotel Casa Nowa, niemniej wspaniały i wygodny, jak w Jerozolimie. Ma nawet piękniejszą prezencję, bo nie jest tak wciśnięty między domy, jak w Jerozolimie. Przez ulicę tylko przejść, już jest kościół Zwiastowania. Kościół niezbyt [s. 54] duży ani wspaniały. Po upadku wyprawy krzyżowej Saraceni zburzyli tu wielką Bazylikę i długi czas nie było tu kościoła. Są jeszcze ślady owej Bazyliki, bo są resztki murów i posadzka z marmuru przed wielkimi drzwiami obecnego kościoła. Franciszkanie mieli skromną kapliczkę, a kościoła nie wolno im było budować. Dopiero 1886 r. odważyli się na to przy sprzyjających okolicznościach. Mianowicie, gubernator turecki w Nazarecie żył z Ojcami w przyjaźni i wiedział o tym, jak bardzo pragnęli mieć kościół, a on nie mógł im na to pozwolić. Tedy przeprowadził z przetożonym zakonu taką rozmowę: "Wiem, że chcielibyście mieć kościół. Pozwolić na budowę nie mam prawa. Ale wyjeżdżam z pielgrzymką do Mekki na pół roku. Jeśli przez ten czas pobydujecie sobie kościół, to już nie będę miał prawa nic zmienić" Ojcowie też wzięli się rażno do pracy. Materiału mieli pod dostatkiem [s. 55] na miejscu z ruin Bazyliki. Więc dlatego ten kościółek taki mały. Ale jakże miły. Właśnie może dlatego, że taki skromny. Do grotty Zwiastowania, gdzie są ołtarze, schodzi się po szerokich schodach w głąb może na 5 metrów. Nad Grotą jest Wielki Ołtarz, do którego wstępuje się też po schodach.

Dawniej mieszkania wykuwano sobie w skale i po dziś dzień są jeszcze zabytki takich mieszkań. Dalej przy kościele jest klasztor. Tam jest miejsce, gdzie był warsztat ciesielski św. Józefa. Ale po drugiej stronie ulicy jest jakiś klasztor żeński, który też ma takie miejsce. Więc nie wiadomo czy św. Józef się przeprowadził, czy też to jest zwykła rywalizacja wśród zakonów. Zwiedziliśmy Synagogę, w której Chrystus nauczał. Jest bardzo opuszczona, brudna. Podobno dlatego, żeby nic nie zmieniać, jak było. Są tu jacyś popi, ale bardzo też brudni. Wracaliśmy się też na wysokie wzgórze, prawie górę, gdzie jest Zakład Salezjański. Co za wspaniały widok. Całe Nazaret [s. 56] rozrzucone po pagórkach sprawia malowniczy widok. W dali wzgórze Karmelu i morze Śródziemne. Bliżej morze Genezaret. Zakład bardzo zasobny. Kościół wspaniały z białego marmuru. Na wielkim ołtarzu stoi dwunastoletni Chrystus, również z białego marmuru, przy tym w specjalnym oświetleniu czyni zdumiewające i miłe wrażenie. W Zakładzie pełno chłopców, gwar, hałas, jak to zwykle bywa podczas rekreacji w zakładach. A cóż dopiero ci żywi Arabi ze swoim gwałtownym krzykiem. Stąd widać po przeciwnej stronie Nazaretu wzgórze Zemdlenia. Tam Matka Najświętsza, na wieść, że nazaretanie chcieli Pana Jezusa zepchnąć z góry, zemdląta z żalości. Byliśmy u źródła, skąd Matka Boska czerpała wodę. Teraz jest tam rodzaj basenu i źródło ujęte w krany.

15 marca, w środę uroczysta Msza św. w Grocie Zwiastowania. Śpiewaliśmy nasze polskie [s. 57] pieśni o Matce Bożej. Jakże miło jest tutaj. Chodzi się ulicami, którymi chodziła Najświętsza Maryja, Pan Jezus i św. Józef. Arabi patrzą się na nas ciekawie. Człowiek wyobraża sobie, że tak by się patrzyli na nas ówcześni Żydzi, gdybyśmy się zjawili. Miasto nieduże, ale na ogół czyste i prawie zamożne, gdy się

porówna z innymi tutaj. Miałem tu dziwny sen. Ale żeby zrozumieć sens tego snu, muszę się cofnąć do czasu nim wyjechałem na pielgrzymkę. Przy końcu stycznia tego roku zakrystian Roman musiał się poddać operacji w tutejszym szpitalu na ślepą kiszkę. Po paru tygodniach było dobrze, wrócił już do domu, ale jeszcze coś mu tam dolegało. Otóż przed samym moim wyjazdem musiał iść do szpitala. Pokazało się zapalenie otrzewnej i zrobiono mu drugą operację. Gdy poszedłem się z nim pożegnać, to siostry i lekarze mówili, że gdy wrócę z pielgrzymki, już go nie zastanę. Wyjechałem bardzo [s. 58] przygnębiony. Zobowiązałem Ks. Wikarego, żeby pisywał do mnie o stanie zdrowia Romana. Tymczasem, gdy wszyscy niemal pielgrzymi otrzymywali listy, ja ani jednego. Rozumowałem więc, że Ks. Wikary nie chcąc mnie martwić śmiercią zakrystiana, woli wcale nie pisać. Otóż w Nazarecie mam sen. Roman w czarnym ubraniu w lakierkach, blady, wyglądał tak, jak sobie go wyobrazić można było tylko w trumnie. Ale on przyszedł do mnie jakiś onieśmielony, jakby chciał coś powiedzieć. Rozumiejąc więc, że mam przed sobą nieboszczyka, pytam się: "co ty tu robisz"? A on: "nie wiedzieli, co ze mną tam zrobić i kazali mi tu jeszcze przyjść" Obudziłem się zlany potem i od razu do sąsiada, Ks. Serafina, który w tym pokoju spał, zacząłem się żalić, że pewnie zakrystian mi umarł. Ks. Serafin pocieszał mnie, [s. 59] że jeszcze nadejdzie list i wszystko wyjaśni. Istotnie tego dnia przy obiedzie rozdawano pocztę i ja pierwszy list otrzymałem. Ale w liście ani słowa o zakrystianie. A przecież prosiłem, żeby specjalnie o nim pisano. Oczywiście musiał umrzeć, skoro nic nie piszą. Gdy jednak wróciłem, okazało się, że Roman żyje i już spełnia swoje obowiązki zakrystiana. Kiedy mi się śnił, był kryzys jego choroby.

Pojechaliśmy zwiedzić morze Galilejskie. Zaczęliśmy od Tyberiady. Stanęliśmy gościnnie u OO. Franciszkanów. Mają tu mały klasztor i przemiły kościół. Wszystko w miniaturze, jak zresztą i cała Tyberiada. Miasteczko stare, uliczki kręte, rozmaite zaułki a wszystko zwrócone do morza. Nie ma tu żadnego bulwaru, jeno zwykła mała przystań do statków rybackich. A dalej rodzaj plaży, ale nie w naszym rozumieniu. Pływaliśmy w łodziach po tym morzu, zapewne [s. 60] w tych miejscach, gdzie Apostołowie łowili ryby. Z tego wybrzeża wystaliśmy do Ojca św. Piusa XI depezę z wyrazami czci i hołdu, gdzie Chrystus powiedział do Piotra "Ty jesteś Opoka..." Ojcowie Franciszkanie dali nam obiad. Jest tu braciszek Polak, który się niezmiernie ucieszył ze swoich rodaków. Z dachu klasztoru jest piękny widok prawie na całe jezioro Genezaret. Widać przeciwległy brzeg, gdzie Chrystus Pan po uleczeniu opętanego pozwolił szatanom wejść w wieprze, które potem wpadły do morza.

Jadąc wschodnią stroną morza ku południowemu cypłowi, przejeżdża się przez folwark Magdałę, wreszcie przez ruiny miasteczka Betsaidy do Kafarnaum. Okolica tu urodzajna, ale jakże smutna. Nigdzie nie widać osiedla ludzkiego. Kafarnaum ongiś miasto bogate, teraz zupełna ruina. Nikt tu nie mieszka oprócz kilku zakonników, którzy strzegą ruin synagogi, gdzie Pan Jezus [s. 61] często nauczał i gdzie wyraźnie przepowiedział Przenajświętszy Sakrament. Ojcowie chcieli tę synagogę zamienić na kościół i odbudować. Ale gdy jeden z ojców, który się tym głównie zajmował, został zabity w katastrofie samochodowej, a inżyniera budowniczego przygniotła na śmierć kolumna, zrozumieli, że nie ma woli Bożej, aby tu był kościół. Są resztki murów, ko-

lumny, są jeszcze w pół drzwi i próg, przez który Chrystus przechodził. W łagodnym klimacie wszystko może się tak dobrze zachować. Widać stąd górę Błogostawieństw i dolinę, gdzie Chrystus nakarmił zgłodniałą rzeszę.

Po drodze wstąpiliśmy do Kany Galilejskiej. Z domu, w którym były Gody, pozostały tylko fundamenty pod wielkim ołtarzem. Tutaj też Franciszkanie mają klasztor. Poczęstowali nas winem, żeby nie uchybić tradycji. Widzieliśmy stągwie, ale już oczywiście imitacje tamtych ewangelicznych. [s. 62]

16 marca, czwartek, wycieczka na Górę Tabor. Pojechałem wraz z dwoma innymi księżmi bardzo rano, żeby można było łatwiej odprawić Mszę św. w kościele Przemienienia Pańskiego. Góra Tabor stoi na równinie, jak wysoki kopiec, gdyż sięga 700 metrów wysokości. Ze wszystkich stron bardzo stroma. Porobiono tylko sztuczną dróżkę, rodzaj serpentyny, co kilkadziesiąt metrów przystanek, gdzie można się minąć i zrazem nabrać tchu do nowego rozpędu w górę. W ten sposób wjazd jest bardzo przykry, prawie ryzykowny i tylko małe auta iść mogą. Niektórzy z pielgrzymów woleli iść pieszo. Dwa razy też musieliśmy wysiadać z samochodu, bo nie można było jechać. Ale za to na szczycie Góry cudowny widok. Jest tu klasztor OO. Franciszkanów i przepiękny kościół, niedawno pobudowany. Z dachu klasztoru widok na jezioro Genezaret i z drugiej strony widać morze Śródziemne. Góry Libanu jakby w srebrnej mgle. [s. 63] Na okół urodzajna dolina Ezdrelon. Niedaleko widać Nazaret - a na południe małe miasteczko Naim, miejsce wskrzeszenia młodzieńca przez Chrystusa Pana. W świątyni Przemienienia niezwykły nastrój. Wnętrze kościoła jest specjalne, dostosowane do tego cudownego wydarzenia. Obok klasztoru OO. Franciszkanów jest mały klasztor Maronitów. Są też ruiny dawnych świątyń, trochę zadrzewienia, jak zresztą cała Góra porośnięta jest różnym krzewem. Naprawdę dobrze nam tam było. Odczuwa się tu jakiś dziwny pokój, przytulną ciszę, bo nawet z doliny żaden głos nas nie dochodził. Nasze głosy, zdało się, też gdzieś ginęły i człowiek czuje się tu jakby w szczęśliwym przestworzu.

17 marca, w piątek, wyjechaliśmy z Nazaretu na Górę Karmel. Tu w klasztorze OO. Karmelitów odprawiliśmy Msze św. Klasztor ten wygląda jak twierdza. Na wysokiej górze, stromej, nad samym morzem. Tu, w pustelni, przed [s. 64] tysiącami lat modlił się prorok Eliasz do obiecanego przez Boga w Raju Niewiasty. Oto jak niedaleko potem mieszkała Najśw. Maryja Panna w Nazarecie, wspomniana tu przez proroka. Jest tu cudowna figura Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus, siedząca na tronie. Rysy twarzy wschodnie. Ubrana w białą bogatą suknię, złotem zdobną w piękne desenie i gwiazdy. W prawym ręku trzyma berło i zwisający szkaplerz. Na lewym ręku trzyma Dzieciątko Jezus, który ubrany jest jakby w ornat z białego materiału i również trzyma szkaplerz w prawej rączce. Na głowach korony wysokie złote. Matka Boska ma na piersiach gorejące serce. Figura ta umieszczona jest w bogatej niszy na wielkim ołtarzu Bazyliki, bo kościółek, choć wygląda raczej na kaplicę, ma przywilej Bazyliki Matki Boskiej Szkaplerznej. Pod wielkim ołtarzem jest pieczara, w której modlił się prorok Eliasz i miał widzenie Matki Boskiej. [s. 65] Wśród zakonników było paru Polaków, którzy się niezmiernie ucieszyli z przybycia rodaków. Około południa ze-
szliśmy na dół do miasta Haifa, miasto wyrosłe przed niedawnym z woli Anglików,

nosi też charakter jakiejś mieszaniny, naprędcie skleconej. Wschód mieszany z Zachodem, Arabowie i Żydzi, przy tym port, jest to jeden galimatias.

Port jest płytki. Okręty stoją w dali i trzeba łodziami do nich płynąć. Całe prawie popołudnie ślęczeliśmy tu na wybrzeżu, wśród wichury i przelotnego deszczu. Nie ma tu żadnego schronienia. Błąkaliśmy się wśród szyn kolejowych, które tu przylatują z Jaffy pobrzeżem morza. Okręcik mały, 4 tysiące ton, bujał się na kotwicy, daleko od brzegu. Nazywał się "Dacia" Rumuński, rządowy, ale też brudny, niczem nasza "Polonia", gdy Żydów zaczęła wozić. Na okręcie włoskim wyrobiliśmy już sobie gust, co do estetyki i wygody, jaką można mieć w podróży morskiej. [s. 66] Okręt miał trasę: Aleksandria, Pireus, Konstantynopol, Konstanca. Z konieczności musieliśmy wracać do Egiptu.

Morze było spokojne, więc bez przygód, nazajutrz, przybyliśmy do Aleksandrii. Tu mieliśmy dwa dni postoju. Im mniejszy okręt, tym większe widać miał interesy. Zwiedziliśmy więc Aleksandrię na własną rękę, bo nie wszyscy pielgrzymi mieli ochotę na włóczęgę. Miasto założone przez Aleksandra Wielkiego, stąd jego nazwa, na 300 lat przed Chrystusem. Zbudowane na delcie Nilu, a więc ma wszelkie warunki świetnego rozwoju. Są dzielnice stare, ale są też wspaniałe przedmieścia. Peryferie miasta są najwspanialsze. Ogrody, wille, pałace. W śródmieściu też domy na stopę europejską. Bulwar nad morzem olbrzymi, z wielkimi gmachami rozmaitych urzędów. Nie zauważyłem szynków czy restauracji, jakich zwykle jest pełno w innych portowych miastach. [s. 67] W niedzielę, niedaleko od portu, odprawiłem Mszę św. w kościele OO. Franciszkanów. Ojcowie rzeczywiście Włosi, szerzą tu włoską propagandę. Mają parafię złożoną z Arabów i Maltańczyków.

Po południu tego dnia wyjechaliśmy z Aleksandrii, bo też już uszy puchły od tego harmidru Arabów. Po dwóch dniach nasza "Dacia", strasznie już zasapana przybiła do portu w Pireusie. Tu mieliśmy tylko 4 godziny czasu. Więc prędko na samochody i do Aten, które są 10 kilometrów oddalone od morza. Rychło też przebiegliśmy Akropolis. Przewodnik, niestety, tłumaczył po niemiecku, więc większość wcale go nie rozumiała. Wielu z nas dawaliśmy sobie sami radę wspominając na wiadomości z historii starożytnej Grecji. Ze wzgórz Akropolisu widać Olimp. Wspaniały też widok na morze. Chodziliśmy wśród ruin rozmaitych świątyń. Najlepiej zachowana jest świątynia Tezeusza. Specjalny wzgórek, Areopag, przypomina nam, jak święty Paweł Apostoł głosił tu wiarę Chrystusową. [s. 68] Po drodze, niedaleko od Akropolu, zwiedziliśmy stadion. Ale to już budowla nowożytna. Z białego marmuru amfiteatralnie miejsce dla widzów. Jeszcze kilka zabytków z czasów rzymskich, kiedy Grecja była już tylko prowincją Rzymian. Przychodzi też refleksja i porównanie kultury starego Egiptu i Grecji. Tam wszystko monumentalne, lecz proste, jakby toporem rąbane. Tu robota koronkowa. Piramidy i bloki, ledwie ociosanych olbrzymich głazów - tu lekkie kolumny, pilastry rzeźbione. Tam przeważnie osoby rzeźbione z profilu i w jednym hieratycznym stylu. Tu lekkość powiewna sukien lub klasyczna nagość. Tam przytłacza tajemnicza wiedza uczonych kapłanów i siła twarda faraonów. Tu przemawia do nas jawne prawo Likurgów i Filonów. Tu wiedza Arystotelesa, Platona i Sokratesa spłynęła z tego wzgórze, na kontynent Europy i przetrwała aż do

naszych czasów dla świata całego.[s. 69] Nowożytnie miasto Ateny bardzo miłe i czyste.

Musieliśmy się spieszyć na okręt. Jeszcze jeden rzut okiem na portowe miasto Pireus, które już nie jest tak czyste, jak Ateny. Ledwie zdążyliśmy zjeść obiad na okręcie, a już byliśmy na pełnym morzu, Ba, ale teraz morze zrobiło sobie z naszego okręciku zabawkę. Powstał też popłoch niełada. Ponieważ przy takim bujaniu nie mogłem się sam ogolić, poszedłem do fryzjera okrętowego. Poszło jako tako. Pyta się fryzjer czy skropić, czy włosy uczesać. A ja wołam "presto, presto", bo to był zdaje się Włoch, a w każdym razie po włosku rozumiał. I puścił mnie ze swych rąk. Najwyższa była chwila. Chodziło o uratowanie obiadu, bo już o podwieczorku ani kolacji mowy nie ma. Przybiegłem do kajuty, a tu już moi towarzysze w łózkach i krzyczą na mnie, abym ich nie zdemoralizował swoim zachowaniem. Tylko Ks. Michał Serafin, dziekan z Wyszogrodu, nie podlegał tej chorobie.[s. 70] Po prostu był naszym opiekunem. Moje łóżko na dole, nade mną Ks. Edward Tyszka, proboszcz z Pruszkowa, obok mnie Ks. Józef Żółtek, proboszcz z Bielska. Nad nim Ks. Serafin, ale teraz nie kładł się wcale. Zaczęło się niesamowite huśtanie. Ale że w pozycji leżącej, mimo okropnych mdłości, nie doszło do kryzysu. Ks. Serafin nas pocieszał, przynosił nam pomarańcze. Lecz nie mogliśmy jeść. Wtem, w nocy już, maszyny stanęły i okręt szedł siłą wiatru. Ks. Serafin wyszedł na wierzch dowiedzieć się, co się stało. Po powrocie powiedział, że wodę wypompowują, bo jest pełno na korytarzach. A tu okręt trzeszczy, jakby się już rozpadał. Żeby zająć nasze umysły czym innym, Ks. Serafin tajemniczo nam mówi, że jest rozkaz, aby każdy postarał się o pas ratunkowy. To był żart, bardzo [s. 71] przejrzysty, ale ostatecznie mógł być i prawdą. Okręt kładł się na boki w ten sposób, że leżąc na łóżku, raz byłem w postawie stojącej, to znów stawiałem na głowie. Kiedyś, gdy się konie pasło na łące, to był sport bardzo miły. Ale teraz, udawałem, że to nie, bo każdy z nas chciał być bohaterem i nie zrobić początku.

W środę nad wieczorem przybyliśmy do Konstantynopola. Co za wielka zmiana. Jeszcze mieliśmy w oczach cudne szafiry nieba greckiego, jeszcze zdało się czuliśmy miłe ciepło starego Akropolu. A tu ziąb przejmujący. Deszcz ze śniegiem. Toteż mało kto opuścił okręt, odkładając zwiedzanie miasta na dzień jutrzejszy. Dopiero rano, 23 marca, we czwartek tak poszliśmy do miasta. Zaczęliśmy od meczetu Aja Sofia. Jest to, jak wiadomo, starodawna świątynia chrześcijańska, zamieniona na meczet po zdobyciu Konstantynopola. Dzieło sztuki architektonicznej niebywale. Gmach w formie rotundy, ale tak olbrzymiej, że przy zwiedzaniu zapomina się o tej formie. Wewnątrz niezmiernie [s. 72] bogate ornamentacje. Mozaika i drogie marmury. Turcy niektóre obrazy z mozaiki zamalowali. Ale po wiekach farba opadła i święci patrzą, jak się mahometanie modlą. Tam, gdzie był wielki ołtarz, teraz jest coś w rodzaju kapliczki, do której mahometanie są zwrócenii, bo to jest strona Mekki. Ongiś były tu piękne brązowe lub srebrne lampiony. Teraz na tym miejscu są zwyczajne lampy z blachy żelaznej na takichże łańcuchach. I to okropnie szpeci, bo są brudne i zardzewiałe. Posadzka z mozaiki zakryta dywanami. Dla turek są osobne łóża z gęstą kratą, tak iż nie mogą być widziane. Niedaleko jest drugi meczet, co do objętości taki sam, jak Aja Sofia. Ale wewnątrz ogromne ubóstwo. Szare mury, przy tym

brudno. Trochę ratują kolumny z monolitów. Są dwie kolumny blisko siebie, tak iż człowiek ledwie się między nimi przecisnie. Ale przez ciągłe przechodzenia, [s. 73] głównie kobiet, już się wyłobiło przejście. Powiadają, że niewiasty niepełne po przejściu między tymi kolumnami, mogą mieć potomstwo. Jeden z pielgrzymów, który zawsze lubił wszędzie wejść i to miejsce przeszedł. Powstał z tego głośny śmiech, ku zgorzeniu mahometan.

Potem zwiedziliśmy Bazar. Jest to całe miasto pod dachem. Gwar tu okropny. Rozmaite działy towarów, a rozmaitość niebywała. Począwszy od mięsa do złota i drogich kamieni. Stąd niedaleko do cysterny. Jest to olbrzymia budowla podziemna, która otrzymuje wodę z okolicznych wzgórz, a potem całe miasto stąd czerpie. Czy tak jest jeszcze dzisiaj, to można by wątpić, przy nowoczesnych urządzeniach kanalizacji. Bądź co bądź jest to olbrzymi zbiornik wody, jakiej widać Konstantynopol na miejscu nie ma. Jeden z pielgrzymów, który jeszcze w Egipcie kupił sobie czerwony fez, włożył tu na głowę i zaczął udawać Turka. Mało co go nie pobito za to i chciano aresztować. [s. 74] Tutaj noszenie fezów jest zabronione urzędowo. Sądzone więc, że ktoś chce drwić i z rozporządzenia i z fezu, za którym Turcy jeszcze tęsknią.

Cały czas pogoda była okropna. Więc też chętnie wracaliśmy do portu, aby już płynąć ku domowi. W południe okręt ruszył. Usiedliśmy w stołowym do obiadu. Ale mało kto jadł, bo wszyscy zerwali się do okienek, aby wyglądać na piękne brzegi Bosforu. Istotnie, jest to coś tak pięknego, jak tylko w bajkach być może. Zatoka była spokojna, płynęliśmy wolno. Po jednej stronie opuszczone co dopiero olbrzymie miasto, po drugiej na Azjatyckim brzegu, wspaniałe, białe pałace, jakich nigdzie dotąd nie widzieliśmy. W Wenecji przy Canal Grande są piękne, ale to są miniatury wobec tych, jakie przewijały się przed naszymi oczami. Gdy noc zapadła, byliśmy już na pełnym morzu. Zaczęła się kotysanka, bo to Czarne Morze lubi być często w ruchu. [s. 75] Obeszło się wszakże bez przygód.

24 marca, w piątek rano, dobiliśmy do Konstanty. Dotąd nigdzie nie dawaliśmy ani na okręcie "Tevere", ani w hotelach, żadnych napiwków. Tak zapowiedzieli przewodnicy Frankopolu, bo wszędzie Frankopol za nas płacił. Ale tu, mimo zakazu, uchwaliliśmy między sobą, żeby jednak służbie na "Daci" każdy coś dał. I daliśmy tym brudnym Rumunom. Za to nie raczyli wynieść nawet naszych walizek. Ja sam dałem dolara, no i byłem pewny, że za mną na komorę celną przyniosą walizkę. Tymczasem musiałem się pędem wracać, sam ciężką walizkę dygować dosyć daleko. Na komorze celnej piekło. Pociąg dla nas stoi gotowy i zaraz gwizdże, bo czas odjazdu minął, a tu celnicy najspokojniej w świetle grzebią po walizkach, ale w tym celu, żeby, co się da, szczególnie papierosów, garściami pakować do swoich kieszeni. Widziałem to na własne oczy. Nikt nic nie mówił, w obawie [s. 76] przed szykanami. Ścisk, zamęt, krzyki. Wzajemne się potracania walizkami. Zmęczony i zgorzony tym porządkiem, gdym się nareszcie dopchał do celnika, krzyknąłem po włosku: "presto, presto", nie otwierając wcale walizki. Celnik zrozumiał, że lepiej mnie puścić, machnął po walizce kredą i już byłem wolny.

Pociąg w ten sposób wyszedł z nami dwugodzinnym opóźnieniem. Stanęliśmy więc w Europie i w zaprzyjaźnionym kraju. Ale z tą przyjaźnią to coś krucho. Mamy

tego dowód w obecnej wojnie. Podróż przez Rumunię była najprzykrzejsza, jakąśmy dotąd przebyli. Obsługa wagonów niegrzeczna, bo nie spodziewała się od nas zarobku. Na kolei w Rumunii ten jest miłym pasażerem, kto nie ma biletu. Jest okazja do porozumienia się bez świadków. Bywa podobno i tak. Wychodzi pociąg. Po jakimś czasie staje w polu. Obsługa pociągu zapowiada pasażerom [s. 77], że dalej jechać nie można, bo w lokomotywie zabrakło wody. Chyba, żeby zrobiono wśród pasażerów składkę, to się najmie ludzi, to może wody przyniosą, ot z tamtej wioski, co to niedaleko widać. Pasażerowie, radzi nie radzi, robią składkę. Przynosi się parę kubków wody, której zresztą wcale nie było brak i jedzie się dalej, dopokąd coś innego nie przyjdzie do głowy. Myśmy w lokomotywie wodę mieli, ale za to spadł śnieg, taki sobie marcowy. No i dalej nie można było jechać. Stanęliśmy w Czeniowcach i tu 12 godzin czekaliśmy zmiłowania tych brudnych Rumunów. Była noc, w wagonach zimno. Rano nie można się było umyć, bo w toaletach ani kropli wody. W bufecie stacyjnym nic nie można dostać, przy tym zdzierstwo, bo to już lejów się wyzbyliśmy. Nasz pociąg, jaki przyszedł po nas do Śniatynia, nie mogąc się doczekać, odszedł. Dzięki tym rumuńskim porządkom, zamiast w sobotę w południe, wróciłem do domu w niedzielę rano.[s. 78]

Przykre lata przed wybuchem wojny

Rychło się skończył miesiąc Pielgrzymki do Ziemi świętej. Przez jakiś czas żyło się jeszcze miłymi wspomnieniami. Ale niestety, trzeba było przejść, jak to się mówi, do porządku dziennego. Obowiązki duszpasterskie w rozległej parafii i urząd dziekański, nie zawsze dają warunki pracy sielskie - anielskie. To się samo przez się rozumie i o to nie mam do nikogo pretensji. Ale będąc kapłanem, nie przestałem być synem swej Ojczyzny Polski. Więc do kłopotów duszpasterskich przyłączyła się udręka o losy Polski, o dobro Narodu. Już wyżej tu się mówiło, jak to po zamachu majowym zaczęły się rządy kliki zwanej "sanacją". Lepsza i większa część Narodu cierpiała na tym, ale ludziła się jeszcze, że przecież przyjdzie opamiętanie, że do rządu wejdą ludzie uczciwi i jakoś dojdziemy do równowagi. Ba, byli i tacy optymiści, którym się zdawało, że silna ręka Piłsudskiego była potrzebna [s. 79] i że w takich chwilach pewien chaos jest nieunikniony. Ale że wszystko będzie dobrze. Tak myślało wielu naszych biskupów i księży. Niektórzy przystali jawnie do sanacji, co nazywano współpracą z rządem. Większość zajęła stanowisko wyczekujące, a byli i zdecydowani przeciwnicy rządu. Już samo to rozdarcie w tonie duchowieństwa nie było dobre. Gdy bowiem rząd przedsiębrał wydawać ustawy, będące w kolizji z Prawem Kanonicznym, zastaniano się tym, że przecież w Ministerstwie Wyznań Religijnych, jest wiceministrem Ks. Żongolłowicz albo że w Komisji mieszanej jest przecież biskup. Poczynania antyreligijne gorliwych urzędników zwalczał co prawda Ks. Choromański, kanclerz Kurii w Kurierze Warszawskim. I na tym nieraz cała odprawa, tymżakusom polegała. Nie była to jeszcze jawna i zdecydowana walka z Kościołem. Ale wśród katolików mówiono, że bodaj czy nie byłoby lepiej, aby rząd uchylił przyłbicy i okazał swe bezbożne oblicze. Ten system przenikał do społeczeństwa [s. 80]. Trzeba

dodać społeczeństwa polskiego, które jeszcze nie zdążyło okrzepnąć po długiej niewoli. A z natury swej jest miękkie i chwiejne. Do walki tego rodzaju zupełnie nieprzygotowane.

Takie chwiejne stanowisko zajęła też i prasa. Na ogół w Polsce prasy katolickiej nie ma. Były robione usiłowania w tym kierunku, ale wyniki były tak nikłe, że tego nie można było nazwać prasą katolicką. Brakto funduszków i brakto ludzi uzdolnionych. Pisma narodowe stały się przytułkiem dla myśli katolickiej. Ale w chwili walki politycznej między partiami - nie można było i na tych pismach polegać. Osobiście, nie należąc do żadnego stronnictwa, choć usilnie w tę i ową stronę ciągniony, prenumerowałem "Gazetę Warszawską", pismo codzienne narodowe. I oprócz pism katolickich, jak "Przegląd Powszechny" Jezuitów, zamawiałem "Przegląd Katolicki" tygodnik i wiele innych czysto kościelnych, prenumerowałem od 25 lat "Tygodnik Ilustrowany"[s. 81]. Taki sobie, dotąd [...],⁸ pod względem politycznym. Trzymałem się względów literackich i artystycznych. Aż tu mój "Tygodnik", po zamachu majowym zaczyna coś kulać ku Pierwszej Brygadzie. I to gradatim. Mało tego, wpuścił na swoje łamy współpracownika Boya (Żeleński) ze swoimi eksperymentami świadomego macierzyństwa. Natychmiast przerwałem prenumeratę. Administracja "Tygodnika" trzykrotnie pisała do mnie, co się stało? Napisałem, o co mi chodzi. Tłumaczyli się, już z Redakcji, że Boy jest sławny literat, że oni w wielu razach z nim się nie zgadzają. Ale dla wykazania kierunków literackich jedynie, zamieszczają jego artykuły. Nic to nie pomogło. Napisałem im bardzo ostro, wymawiając jednocześnie ich przejście na stronę sanacji. I dali mi spokój.

Tak samo miałem perypetie z "Gazetą Warszawską". Gdy umarł Piłsudski "Gazeta" nie stanęła [s. 82] na stanowisku poważnego pisma. Czytelnik, choćby nie wiem, jakim był przeciwnikiem Piłsudskiego, nie może zgodzić się z tym, aby w chwili śmierci nim poniewierać. Więc zamiast "Gazety" zaprenumerowałem "Kurier Warszawski". "Gazetę Warszawską" na jakiś czas rząd zawiesił. Potem zaczęła wychodzić, jako "Dziennik Warszawski" Już to samo, że nie było wolno swobodnie wyrazić swojej myśli, że nie można nic pocieszającego wyczytać w gazecie ani usłyszeć w radio, napętniało goryczą, że to jakaś straszna pomyłka z tą Wolną Polską. Chłędowski w swoich historycznych rozważaniach drugiej połowy XVIII wieku pisze: "Wprawdzie bez pisemnego przywileju, ale na mocy milczącego przyzwolenia publiczności istniała w Perugii fabryka trucizny, powszechnie znanej pod nazwą "Acqua tophana", albo "Acqua di Perugia" Rząd i gubernatorzy papiescy [s. 83] w Perugii wiedzieli o tym zbrodniczym przemyśle, ale nikt nie miał odwagi dochodzić źródeł strasznej mikstury, bojąc się otrucia"

Taką trucizną u nas była prasa prorządowa. "Milczące przyzwolenie publiczności". Tak było niestety. Pisze np. miejscowe pisemko rządowe paszkwil przeciwko Akcji Katolickiej w tutejszym dekanacie. Księża i katolicy są oburzeni tą napaścią, dochodzą swych praw u starosty w Kutnie, aby ukrocił te oszczerstwa. Starosta śmieje się tylko z tego i swymi drwinami przyłącza się do owego pisemka. Wtedy pi-

⁸ Niewyraźne słowo ("bezowocny?").

szemy do Centrali Akcji Katolickiej do Warszawy, do Ks. Lewandowicza, dyrektora Akcji Katolickiej, aby upomniał się za nami u wojewody. Zdaje się, że niestety Ks. Lewandowicz też zlekceważył tę sprawę. Pisma ludowe "Siewu", "Zielonej Gromady" i wiele innych, wyraźnie szerzyły bezbożność. Duchowieństwo kiwało nad tym głowami, ale nic nie przedsiębrano, żeby temu zapobiec. Bo to przecie wolność, bo to rząd [s. 84] polski, jakże mu się sprzeciwiać? Dalej będzie jeszcze o tym mowa w przykładach. Ale teraz trochę o sprawach lokalnych.

Niechętnie to czynię, ale ponieważ sprawa podziału Kutna na dwie parafie, narobiła rozgłosu (nie z mej strony), nawet poza granice Archidiecezji, myślę więc, że trzeba jednak wyświecić tutaj i tę sprawę. Od samego początku mego pasterzowania tutaj zauważyłem, że kolejarze stronią od kościoła. Było z nimi wiele kłopotu, bo po powrocie z Rosji chcieli spisywać akty urodzenia swych dzieci i robiliśmy im to, ale żadnej pociechy, jako praktykujących katolików, z nich nie było. Raczej szerzyli zepsucie swym życiem niemoralnym i nowinkami przywiezionymi z bolszewii. Ponieważ domy kolejowe, aczkolwiek z tej strony toru kolejowego, ale bliżej mają do Łąkoszyna, zaproponowałem proboszczowi Łąkoszyna, aby starał [s. 85] się przyciągnąć kolejarzy do swego kościoła, a tym samym całkowicie do swojej parafii ich wcielić. Proboszcz ów starał się do kolejarzy zbliżyć, ale to nie na wiele się przydało. Niedługo proboszcz ten umarł. Następca miał prowadzić tę samą politykę względem kolejarzy, lecz też bez żadnych wyników. Dopiero, jak Łąkoszyn przyłączono do miasta, a wśród kolejarzy znalazło się paru przyjaciół proboszcza, zaczęto od razu robotę przyłączenia po prostu czy to się komu podoba, czy nie i bez wytyczenia wyraźnych granic. Napisano w tym względzie do Kurii petycję, opatrzoną podpisami zebranymi, gdzie się dało, żądając przyłączenia części Kutna do Łąkoszyna aż po Ochnię. Kuria zapytała się mnie o opinię w tej sprawie. Odpowiedziałem, że moim zdaniem należałoby domy kolejowe przyłączyć do Łąkoszyna i za kolejną do ulicy Pałacowej, względnie nawet do szosy Łęczyckiej. Ale ponieważ słyszałem, że zbierano podpisy daleko na mieście [s. 86], to byłoby lepiej, żeby przyjechał dziekan sąsiedni czy ktokolwiek z Kurii i tę sprawę bezstronnie rozpatrzył.

To było na wiosnę. W lecie pojechałem na kurację do Krynicy. Gdy wróciłem, zastałem dekret z Kurii o podzieleniu Kutna między starą parafią i Łąkoszynem. Przy tym nakaz, żeby ten dekret z ambony przeczytać i od pierwszej niedzieli września w czyn wprowadzić. Dekretu tego jednak przeczytać nie mogłem, bo był niejasno sformułowany. Opiewał (po łacinie wszystko), że wszyscy mieszkańcy, którzy mieszkają na placach Zaleskiego mają być przyłączeni do Łąkoszyna. Żadnych tu placów Zaleskiego nie ma. Przypuśćmy, że to miało być Zawadzkiego. Ale na placach Zawadzkiego pobudowano pół Kutna i to nie tylko od strony Łąkoszyna, ale i Główna. Napisałem o tym do Kurii i Ks. Al. Grabowski, notariusz, listem prywatnym prosił mnie, abym ten dekret natychmiast do Kurii odesłał. [s. 87] Nie wycofano jednak duplikatu tego dekretu, jaki otrzymał proboszcz w Łąkoszynie. Ten dokument, tak błędnie sformułowany, obecny proboszcz łąkoszyński uważa za punkt wyjścia do podziału Kutna. W Kurii opatrzone się, że wysłano dekret nie tylko błędnie napisany, ale i w samym założeniu niesprawiedliwy, o czym zresztą ja ani słowa nie wspominałem. Gdy ta

sprawa podziału utknęła, proboszcz w Łąkoszynie podniósł ją na nowo, dołączając do Kutna i wieś Dudki. Wtedy Kuria przystała ks. dziekana z Łowicza. Dziekan łowicki w Kutnie przeprowadził rodzaj plebiscytu, który wypadł dla Łąkoszyna niepomyślnie, a potem pojechał na Dudki. Tam pokazało się, że na prośbie ani jeden gospodarz nie dał podpisu, gdyż nawet nikt się do nich o to nie zwracał. Podpisali tylko kolejarze, którzy może na Dudkach nigdy nie byli, bo mieszkali zawsze w domach kolejowych. Była może większa racja tę wieś przyłączyć wówczas [s. 88], gdy się w Łąkoszynie spalił kościół. Teraz przy wzmożonym ruchu kolejowym, mieszkańcy Dudków, chcąc się dostać do Łąkoszyna musieliby przejeżdżać trzykrotnie tor kolejowy i jechać oczywiście przez Kutno. To ks. dziekanowi przedstawili i prosili go, aby ich pozostawił przy starej parafii.

Ks. dziekan złożył o tym raport do Kurii. Mimo to agitacja szła bez ustanku i w Kurii urobiono sobie opinię, że tylko ja się upieram i całą sprawę zatrzymuję. Ks. Fajęcki, który ma w łąkoszyńskiej parafii rodzinę i przez nią specjalnie o ten podział nagabywany, jako radca Kurii, chciał koniecznie tę sprawę na dobro Łąkoszyna załatwić. Zdarzyło się, że musiałem pojechać do Kurii na Konferencję XX. Dziekanów zwołaną przez Jego Eminencję Kardynała Kakowskiego. Gdy mnie Ks. Fajęcki zobaczył, wpadł na mnie, że jestem taki chciwy, uparty itp. w sprawie podziału parafii. Ponieważ [s. 89] do rozpoczęcia Konferencji było jeszcze pół godziny czasu i Kardynał już był na sali, Ks. Fajęcki wezwał mnie do Kardynała, aby ostatecznie sprawę zakończyć. Rozłożono mapę Kutna. Kardynał wziął ołówek czerwony i kazał sobie pokazać teren, o który chodzi. Wskazałem mój projekt. Kardynał zgodził się, odrzucając tylko domy kolejowe, bo kolej ma być naturalną granicą podziału. Wtedy Ks. Fajęcki mówi, że wieś Dudki, choć leży po stronie Łąkoszyna, ale nie chce odłączyć się od starej parafii. Kardynał pyta się: dlaczego, skoro prosili. Ks. Fajęcki wyjaśnił, że ks. dziekan z Łowicza tam był i okazało się, że oni nie prosili i nie życzą sobie zmiany parafii. Wtedy Kardynał zniecierpliwiony cokolwiek powiedział: "w takim razie szachownicy robić nie będę. Jeśli wieś Dudki nie chce, to niech wszystko zostanie, jak było i proszę odłożyć papiery ad acta" Zdawałoby się więc, że sprawa podziału została ostatecznie [s. 90] zakończona. Ale w Łąkoszynie nastąpiła zmiana proboszczów. Przyszedł młody i jak mu się zapewne zdawało, energiczny. Bo zaczął głośnić, że kto nie mógł tego podziału zrobić, to nie mógł, ale on robi, bo wie, jak to się robi, gdyż jest prawnikiem.

Zamiast porozumieć się ze mną, zabrał się ostro do roboty na własną rękę. Zmobilizował nauczycielki, które tylko uczyły w tamtej szkole, a mieszkały tutaj po drugiej stronie Kutna. Chodziły po domach, zbierając podpisy, no i wszystkie szkolne dzieci podpisały. Proboszcz trochę po kolędzie, a więcej jeszcze w Wielką Sobotę, święcąc, zaszedł, choć na brzeg tutejszej parafii, celem wywołania wrażenia dla reszty. Gdy moi księża wikariusze poszli tam po kolędzie, musieli się nasłuchać przykrych rzeczy, że w Wielką Sobotę to ich tu nie było. Zresztą proboszcz z Łąkoszyna tu naznaczył kolędę, więc innych [s. 91] księży tu nie uznają. Gdy mi tu moi księża powiedzieli, odrzekłem: "owszem, niech się odłączą, skoro im tak wygodniej". A z drugiej strony miałem wymówki od poważnych parafian, że ich chcą się pozbyć, a oni

sobie tego nie życzą i bardzo im przykro słyszeć te intrygi, do których nie dają powodu.

Poszła więc nowa prośba do Kurii o przyłączenie do Łąkoszyna. Kuria znów przysłała Ks. Dziekana z Łowicza. I co się okazało. Tę prośbę podpisało zaledwie kilka osób i to nie właściciele domów, lecz lokatorzy, którym wcale nie zależy, do jakiej parafii należeć mają. Często zmieniają miejsce zamieszkania i kierują się tylko chwilową sympatią danego proboszcza. Resztę podpisów, to dzieci szkolnych, a nawet parafian łąkoszyńskich. Dziekan to zbadał i znów raport do Kurii podał. Sprawa na nowo odżyła. Aż po śmierci Ks. Kardynała, w roku 1939 wizytował parafię [s. 92] ks. biskup Szlagowski. Znany z tego, jak jest dobry i uczynny, lecz w takich sprawach wcale się nie orientujący. Proboszcz [Łąkoszyna] urobił tak ks. biskupa, że ten wprost zwrócił się do mnie, abym część swojej parafii dla Łąkoszyna odstąpił. Powiedziałem, że są co do tego dokumenty w Kurii, decyzja ś.p. Kardynała. Teraz tym bardziej nie widzę tego potrzeby ani możliwości, bo tor kolejowy do Łodzi przesunięto pod samą plebanię, a więc niebezpieczeństwo tym większe zagraża tym, którzy by z tej części miasta chcieli się dostać do swojej parafii. Wreszcie wybuchła wojna i sądzę, sprawa podziału znów się odwlecze. Miałem z tego powodu wiele przykrości, bo ludzie nieuświadomieni albo wprost w błąd wprowadzeni przypisywali mi jakiś upór czy nawet chciwość. Tymczasem, jak się przekonałem, na tym podziale ludzie tam [s. 93] mieszkający nic by nie zyskali ani chwata Boża nie byłaby tam większa. Tamta okolica ma teraz kaplicę w Gnojnie. Gdyby mi chodziło o sprawy materialne, jak mnie zawsze posądzano, to nie kupilibyśmy folwarku Gnojna dla XX. Salezjanów ani starali się o założenie Zakładu, gdzie będzie kilkunastu może księży. Poza tym uprosiłem u P. Zawadzkiego na parę lat przed jego śmiercią, że podarował naszej parafii 10 morgów ziemi, w jednym kawale, tuż przy Azorach, z tą myślą, że tam stanie kościół, a z czasem i nowa parafia. Jest to okolica, o którą proboszczom z Łąkoszyna chodziło, aby ją zdobyć. Kiedy o tym obecnemu proboszczowi powiedziałem, to odrzekł, że i on potrafi tam kościół wybudować. Cóż, kiedy co do tego ja mam odmienne zdanie i wolę już przy tym pozostać. Z wieku i urzędu mi się to należy. [s. 94]

Ks. biskup Niedziatkowski powiedział raz kiedyś taki paradoks: "Dobrze byłoby być biskupem, gdyby nie było księży" To mógłby powtórzyć każdy dziekan i proboszcz, który ma wikariuszy. Zgrzeszyłbym, gdybym się tu żalił na księży dekanalnych lub wikariuszy. Ale życie samo tak nieraz sprawy gmatwa, że mimo woli powstają kłopoty, a nawet przykrości. Umiera na przykład ksiądz, który był dla mnie dobry i póki żył nie zrobiłby mi świadomie przykrości. Ale w testamencie swoim robi mnie wykonawcą tego testamentu. Tymczasem interesa swoje zostawił w takim chaosie, że przez całe dziesięć lat ciągnano mnie po sądach i to okręgowych, a więc do Włocławka, a potem do Łodzi. A ile przykrości od rodziny tego księdza, to od służby, potem od parafian. Wszędzie winien dziekan, bo i wobec Kurii, że nie dopatrył. A ksiądz ten w sile wieku, o 20 lat młodszy ode mnie, umarł nagle. To znów zmiana księdza proboszcza. Przychodzi następcą [s. 95] i nie chce przyjąć długów, jakie poprzednik, nieraz z konieczności musiał zrobić. Budował np. plebanię, w której następcą będzie mieszkał. Ale długu przyjąć nie chce. Muszę to zaprotokółować. Idzie

taki protokół do Kurii. Okazuje się, że dziekan winien, iż taki papier do Kurii posłał. Kuria wszystko zwraca, nawet spis inwentarza, bo to już taka biurowa procedura. I niech teraz łamie sobie głowę, aby jakoś owych księży pogodzić.

A jeszcze, gdy przyjdzie sprawa krescencji, to już i sąd Salomona by nie pomógł, taka tu gmatwanina. Trudno brać wtedy stronę jednego, bo się drugi obrazi. Więc jak można tak się ładzi, aby tylko zgodnie załatwić, bo Kuria absolutnie tych spraw nie przyjmuje. Bywają też, niestety i komisoria, to jest takie sprawy, które Ordynariusz poleca dziekanowi z danym proboszczem, na którego jest skarga, przeprowadzić. Świadców przestuchać i z tego zdać biskupowi raport. [s. 96] A jak to trudno ludziom dogodzić. Często bywa, że obydwie strony są winne. Ale proboszcz nie chce się do tego przyznać, rozumując, że nie może stracić autorytetu. A skarżący, często w gromadzie, też nie chcą ustąpić. Czasem godzą się tylko dla oka, dla dziekana czasem. Ale naprawdę rozdźwięk w parafii istnieje. Wypadałoby, żeby proboszcz ustąpił i te myśli dziekan delikatnie proboszczowi prywatnie podsuwa. Wtedy proboszcz się obraża i trzeba wielkiej cierpliwości i taktu, żeby nie uważał dziekana za wroga.

Wikariusze też bywają rozmaici. Mógłbym tu przytoczyć wiele przykładów nie-taktu młodych księży. Ale ponieważ mówi się, że to teraz taki kierunek, takie wychowanie i domowe i szkolne, więc wolę rzucić zastonę na wyniki tego wychowania. Tym bardziej mogę to zrobić, że nie wszyscy tacy. A miałem tak piękne dusze, tak szlachetne charaktery [s. 97], że wolę tylko tych mieć w pamięci, tych uważać za najmilszych przyjaciół, jakimi oni mi się zawsze oświadczają, choć lata już upłynęły. Mam za to kolegów, przeznaczonych kapłanów, którzy jakby rodzeni bracia człowiekowi przynoszą radość życia. To w życiu kapłańskim jest konieczne, bo ludzie świeccy mało kiedy księdza dobrze rozumieją. Przyjaźnie ze świeckimi niekiedy są wyrachowane, a bodajże i niebezpieczne. Są oczywiście wyjątki, które potwierdzają tylko regułę.

Dlatego, przybywszy do Kutna, złożyłem, gdzie należało pierwsze wizyty, ale bywanie u ludzi świeckich ograniczyłem do minimum. Po zamachu majowym nie miałem żadnych prywatnych stosunków ani ze starostą, ani z pułkownikiem, co dawniej trochę się praktykowało. Z urzędu dziekańskiego musiałem brać udział w posiedzeniach Rady Szkolnej. Te posiedzenia przeważnie odbywały się w starostwie. Na tych sesjach trzeba było pilnować spraw religijnych i narodowych. Zaczęła się wciskać i tu polityka [s. 98]. Członkowie Rady to nauczyciele i delegaci Samorządu. Patrzyli w oczy staroście i badali jego humor. Przykre nieraz były te sesje. Raz inspektor szkolny przyniósł na sesję podanie od Żydów na otwarcie szkoły prywatnej żydowskiej. Popierał to podanie członek Rady Żyd Comber. Rabina wtedy nie było, bo w ogóle rzadko przychodził, choć miał obowiązek, jako przedstawiciel religii żydowskiej. Przeczytano podanie, przejrzano program szkoły i zadecydowano dać pozwolenie po uprzednim zbadaniu lokalu przez lekarza, członka Rady. Zabrałem głos i ja w tej sprawie, mianowicie, że w programie jest wszystko, tylko nie ma wzmianki o religii. Konstytucja nasza jasno ten punkt oświeśla, co do szkół powszechnych i średnich, nie wyłączając prywatnych. Comber rzucił się jak tygrys, ironizując, jak to Żydzi potrafią, że nie znam się na sprawach żydowskich, a zabieram głos. U nich język sam, już jest religia, historia [s. 99] narodu żydowskiego już jest religia. A to wszystko w pro-

gramie jest. Pozwolenie jednak cofnięto i postanowiono wezwać koniecznie rabina, żeby dał fachowe wyjaśnienie.

Przed następną sesją mam telefon od rabina, który dziękuje mi za moje wystąpienie w sprawie szkoły żydowskiej i jednocześnie prosi, abym dalej tej sprawy bronił, bo on nie ma czasu przyjść. Powiedział, że całkowicie solidaryzuje się ze mną, bo to nie byłaby szkoła żydowska, ale bolszewicka. Odpowiedziałem mu, że przyjść na sesję musi i bronić sam, jeśli nie chce się doczekać tego, co spotkało rabina w Sieradzu. W tym czasie akurat wyczytałem w gazecie, jak wolnomyślni Żydzi w Sieradzu zdemolowali bóżnicę i pobili rabina. Gdy mu to powiedziałem: jęknął, bo o tym też był powiadomiony i obiecał, że na sesję przyjdzie. Jest więc sesja, Comber referuje w dalszym ciągu i przedstawia program do zatwierdzenia. Członkowie rady zwrócili się teraz w stronę rabina. Ten strasznie marnie mówił po polsku, ale jednak [s.100] zaczyna, chrząknąwszy parę razy: "Ja się pitam czy u państwa gramatyka polskiego języka jest religia?" Odpowiadamy "nie" "To ja się jeszcze pitam czy historia o Kazimierzu, tym królu Wielkim jest religia?" Odpowiadamy "nie" "To jest dobrze" "A teraz to ja jeszcze się pitam czy Comber, co on nie ma żadne religie, może on mówić o religie?" Tu już tylko śmiech był odpowiedzią, bo i wymowa rabina nas bawiła i przygnębiony Comber przedstawiał się komicznie, po uprzednich wywodach. "U nas, ciągnął dalej rabin, nauka religii, to jest liturgia, to jest modlitwa, to jest to, czego Comber nie robi". Wstawili do programu religię, ale szkoła ta, ledwie powstała zaraz upadła, bo nie miała znikąd poparcia.

Tak się stało u Żydów. U nas nie byłoby takiej solidarności. Przyznać też trzeba, że ówczesny starosta liczył się jeszcze z opinią publiczną. Ale nastął taki, który stał się nieszczęściem dla naszego powiatu. Do 1926 r. był w bolszewii. Co tam robił, nie wiadomo. [s. 101] Ożeniony z Rosjanką, stronił od współżycia z polskim społeczeństwem. Gdy przyszedł tu w lipcu 1932 r. miał mowę powitalną na sejmiku. Wyraził się, że w powiecie ma 140 wrzodów, tyle jest bowiem folwarków. Ziemianom zrobiło się przykro, ale cóż mieli robić. Jak to u nas bywa, wielu zabiegało o łaski nowego starosty. Jedna dziedziczka nie wychodziła ze starostwa, bo jako "pilsudszczyśka" chciała współdziałać z rządem. Rozbijała nasze zrzeczenia katolickie, a tworzyła "Siew" Kręciła po prostu bat na siebie i swoje dzieci. A gdy dałem jej to do zrozumienia, obraziła się i unikała mnie potem troskliwie.

Sądzę, że wypada mi podać tu do wiadomości moje pierwsze poznanie się z tym starostą, ponieważ rozwój dalszych wypadków tego wymaga. Z pierwszą wizytą przybył do mnie w czasie mojej nieobecności. Byłem w Inowrocławiu na kuracji. Skoro wróciłem zaraz chciałem iść z rewizytą. Ale starosta był na urlopie i nie urzędował. Mogłem z tego skorzystać i zostawić swój bilet. Ale chciałem [s. 102] poznać się ze starostą i nawiązać sąsiedzki stosunek. Poczekałem parę tygodni aż wrócił. Zapytałem się przez telefon czy już przyjmuje. I tak wraz z ks. wikarym i drugim jeszcze księdzem z dekanatu, pojechałem do starostwa, żeby tej rewizycie nadać jak najwięcej powagi. Przybywszy oddałem woźnemu bilet, aby zaniósł staroście i usiedliśmy w sali, oczekując, kiedy będzie można wejść do gabinetu starosty. Był bowiem u starosty pewien ziemianin i trzeba było czekać. Tak upłynęło blisko pół godziny, nim

ów ziemianin (znajomy mój), opuścił gabinet starosty. Wstaliśmy i chcemy iść do starosty, a tu wołają wójta gminy Krośniewice. Zwracam się do woźnego, że może nie oddał mego biletu, ale ten upewnia, że oddał zaraz, skoro ode mnie otrzymał. Przy tym był czegoś zaambarasowany i mruczał do siebie, iż nie rozumie, co się stało. Młodzi księża radzili jechać do domu, tym bardziej, że konferencja z wójtem coś się przedłużała. [s. 103]. Jeden z księży uciekł. Ledwie ks. wikarego zatrzymałem. Wreszcie, po trzech kwadransach oczekiwania, dopuszczono nas do starosty. Od razu zrobił wrażenie gromowładnego Jowisza. Zaczął od tego, iż życzy sobie, aby przybywający księża do jego powiatu składali mu wizyty. Tych zaś, których zastał, będzie też wizytował. Poza tym nie było już o czym mówić. Po pięciu minutach wyszedłem z uczuciem jakiegoś zawodu, że jednak inaczej sobie wyobrażałem polskiego starostę. Potem starosta żadnego z księży nie wizytował. A ci, którzy mu złożyli wizyty, jak sobie przeze mnie tego życzył, nigdy go też u siebie nie oglądali.

Kapelan z Ostrów przedstawił mi taki dokument: "Starosta Powiatowy Kutnowski L. A. Wyz. 5 Kutno 25 XI 1932 r. Poświadczenie, Pan Zygmunt Cichocki zamieszkały w cukrowni Ostrowy, gm. Błonie, pow. Kutnowski, urodzony dnia 25 marca 1907 r. w Ostrowach, syn Walentego i Antoniny [s. 104] z Kurpików, przyjął dnia 25 marca 1907 r. chrzest według obrządku rzymsko - katolickiego, otrzymując imię Zygmunt, a następnie dnia 2 listopada 1932 r. wystąpił ze związku Kościoła Rzymsko - Katolickiego i oświadczył, że odtąd nie należy do żadnego wyznania (bezwyznaniowcy). Poświadczenie to wydaje się, w celu przedstawienia go przy wypełnianiu dowodów osobistych. Poświadczenie to zapisane we właściwym rejestrze pod Nr 1/32 traci ważność po upływie sześciu miesięcy od dnia wymienionego poniżej w dacie i nie może służyć za dowód osobisty. Starosta powiatowy" (podpis nieczytelny).

A sprawa przedstawia się tak. Chłopak ten, prosty robotnik fabryczny, pokłócił się z ks. kapelanem, za to, że ks. kapelan strofował go za życie niemoralne. Przyszedł do starostwa i oto starosta przyjął go pod swoją opiekę. Tej samej treści papier, tylko z dopiskiem [s. 105]: "Przesyłając Ks. Proboszczowi powyższe, polecam Zygmunta Cichockiego wykreślić z ksiąg stanu cywilnego", przestał starosta ks. Proboszczowi do Krośniewic. Był wtedy proboszczem zacny Ks. Kanonik Konstanty Jaźwiński. Często Go odwiedzałem. I kiedy raz przybyłem do Niego, pokazał mi ten dokument, ubolewając czegośmy doczekali. Był to kaptan roztropny i świętobliwy. Wiedział, że ten papier nie ma żadnego prawnego znaczenia i że nie może być w żadnym razie wykonany. Bolało Go tylko stanowisko starosty w całej tej sprawie. Cichocki niedługo się uspokoił, księdza przeprosił i ten dokument, który jest w moim posiadaniu, księdzu oddał.

Po rozmowie z Ks. Kanonikiem Jaźwińskim, postanowiłem też rozmówić się i ze starostą. Rozmowa odbyła się przez telefon, gdyż nie chciałem narażać się na nową szukanę. Zapytałem, czy to p. starosta podpisał Poświadczenie dla Zygmunta Cichockiego, bo podpis jest nieczytelny. [s. 106] Podpisano fioletowym atramentem. Starosta odpowiedział, że on. "W takim razie - ciągnę - dlaczego p. Starosta zakłada gminę bezwyznaniowców w Kutnie, skoro takiej dotąd nie ma. Przy spisie ludności znalazł się jeden adwokat Polak, który podał się za bezwyznaniowca i taką deklar-

cję w magistracie odrzucono, bo tu nie ma gminy bezwyznaniowców. Na jakiej zasadzie pan to teraz czyni?". "Nie będę się księdzu tłumaczył i ksiądz nie ma prawa wtrącać się do tych spraw". "Owszem, nie tylko mam prawo, ale i obowiązek. Dlatego jako dziekan zapytuję dalej, jakim prawem p. Starosta przestał proboszczowi do Krośniewic nakaz wykreślenia Cichockiego z ksiąg ludności katolickiej, skoro nikt tego uczynić nie może. Sąd Okręgowy czasem, w razie pomyłki, może wydać wyrok poprawy aktu, ale skasować nie może. Jestem zdumiony zarządzeniem [s. 107] p. Starosty i uprzedzam go, że to zarządzenie nie będzie wykonane" Starosta na to coś tam podniesionym głosem zaczął krzyczeć, że mnie przekona, iż ma rację i wszystko, co czyni jest zgodne z prawem.

Na tym rozmowa się skończyła. A potem spotykaliśmy się wielokrotnie przy rozmaitych okolicznościach i starosta ani wspomniał o tej rozmowie. Przedstawiłem tę sprawę Ks. Lewandowiczowi i też spetzło na niczym. Proszę teraz zwrócić uwagę na dokument wydany przez starostę. W urzędowym piśmie pisze "pan", dalej "wystąpił ze związku Kościoła rzymsko - katolickiego". Notuje Cichockiego pod Nr 1, bo dotąd nikogo nie było. Więc samowolnie zakłada gminę bezwyznaniowców. Nie omieszkałem mu też powiedzieć, że tworząc bezwyznaniowców, tworzy bolszewików. I to go zdaje się najwięcej zabolalo. Ale tacy panowie inaczej nie rozumieją, dopokąd się im nie powie wyraźnie, o co właściwie chodzi. [s. 108] Wiedziałem, że w ten sposób zyskują sobie w starości ukrytego, ale śmiertelnego wroga. Wykazał tego niejednokrotnie dowody.

Przyjeżdża np. wojewoda do Kutna. Idziemy wszyscy na dworzec, bo przyjeżdża urzędowo. Między innymi jako wyróżniony jestem zaproszony na obiad. Siedzę przy wojewodzie. Ten zapowiada mi swoją wizytę. Ale starosta to słyszał i potem tak kręci, tak obwozi wojewodę, że ten nie ma czasu i przysyła mi tylko swój bilet. Pojechali na powiat. Są w Łaniewtach w gminie. Pani Wyganowska podsuwa myśl wojewodzie, czy by nie zechciał zwiedzić miejscowego kościoła, bo jest bardzo ładny. Wojewoda chętnie się godzi. Ks. Proboszcz miał wtedy naukę z dziećmi. Przyjął wojewodę przy wielkich drzwiach, wedle przepisu kościelnego, poprowadził do wielkiego ołtarza i wraz z dziećmi pomodlił się za rząd polski i Ojczyznę. Po wyjściu z kościoła proboszcz poprosił wojewodę do siebie [s. 109] na plebanię. Wojewoda przyszedł z całą świtą. Ks. Proboszcz przyjął podwieczorkiem i tak pięknie wszystko się odbywało. Ale był też i starosta, który zrobił takie spostrzeżenie. Że dopiero jedyny tu proboszcz, który tak wojewodę przyjmuje. Jakby to było miło, gdyby tak każda parafia zrobiła. Miał na myśli Kutno.

Istotnie tak być powinno. Pamiętam przecież jak moskiewski gubernator czy choćby naczelnik powiatu, gdy przyjeżdżał do jakiego miasta, zachodził do kościoła. Z czym księża mieli tylko kłopot, ale jednak przyjmowali, bo Moskale w tym może jedynym wypadku szczerze to robili. Utrudniali księżom duszpasterstwo, ale religii nie lekceważyli, kościół szanowali i za świętokradztwo były surowe kary.

Miał przyjechać na poświęcenie sztandaru pułkowego prezydent Mościcki. Zawiązał się Komitet przyjęcia Prezydenta. Byłem w tym Komitecie i proponowałem, żeby wstawić do programu wstąpienie Prezydenta do kościoła. [s. 110] Tym bar-

dziej, że będzie parę razy koło kościoła przejeżdżał. Niestety, nie zgodzono się na to, głównie pułkownik. A potem ten sam pułkownik ubolewał, że Prezydent nie był zaproszony do kościoła. Gdy Prezydent przyjechał, cały czas byłem przy nim, począwszy od powitania przy bramie triumfalnej koło koszar. Potem miałem Mszę św. połową na placu ćwiczeń, wśród okropnego deszczu. A ołtarz urządzili tak, że niczym nie był zabezpieczony od wody. Obiad żołnierski w strzelnicy. Siedziałem przy stole naprzeciw Prezydenta. Stół wąski, więc słyszałem dobrze rozmowę, jaką Prezydent prowadził. Zauważyłem, iż ma bardzo nikłą skalę zainteresowań. Dobry może chemik, ale reszta w wielkim zaniedbaniu. A polityk - żaden. I taki człowiek upierał się stać na czele Państwa.

Ogród plebański od strony szosy był ogrodzony zwykłym drewnianym parkanem [s. 111], w głębokim rowie. Parkan ten nie spełniał wcale swego zadania ogrodzenia, bo był ciągle rozbiegany na ogień, szczególnie w porze zimowej. Raz na wiosnę, kiedy nie był jeszcze naprawiony, jednego tylko dnia, około południa, ukradziono z ogrodu 25 kur. Poza tym, wszystkie wody, począwszy od koszar i szpitala ściekały przez ten dziurawy parkan do ogrodu. Postanowiłem z tym skończyć. Mając pozwolenie z magistratu i wskazaną linię przez inżyniera miejskiego, postawiłem parkan z betonu. Rów został na razie, ale że bardzo szpecił i był zbiornikiem błota, więc magistrat wywoząc gruz i ziemię z rozmaitych miejsc, zasypał ten rów do samego parkanu, tak jak teraz to się przedstawia.

Gdy przeszła pierwsza ulewa, pokazało się, że wody, które dawniej płynęły przez ogród, popłynęły przez posesję sąsiednią Jakubowskiego. Tak się nawet złożyło, że kanał przy fabryce "Kraj" zatkał się śmieciem i nawet stamtąd woda przez szosę szła do Jakubowskiego [s. 112]. A potem prosto w stronę Ochni przez posesje przy ulicy Warszawskie Przedmieście. Zrobił się gwałt. Jakubowski przybiegł do mnie, abym rów z powrotem odkopał, co zresztą niewiele by pomogło, bo parkan był masywnie murowany na kamiennych fundamentach. Przedstawiam to Jakubowskiemu, ale on nie chce tego zrozumieć. Lży mnie od ostatnich złoczyńców i to w oczy. Przestał się kłaniać i gdzie tylko mógł szkodził mi w rozmaity sposób na sławie. Zebrał wszystkich "zalaných" i wmówił w nich, że są przeze mnie poszkodowani. Poszli ze skargą do magistratu, ale tam nic nie zyskali. Wreszcie poszli do starosty. Ten natychmiast przysłał mi papier, abym w przeciągu dwóch tygodni rów odkopał, w przeciwnym razie skazuje mnie na 5 dni aresztu, albo 100 zł. kary. Zdumiony takim nakazem, a mając już podpis starosty, wiedziałem, że on sam podpisał [s. 113], poszedłem do niego o pewne wyjaśnienia. Mianowicie, pytam się czy ten papier ma tenor ogólny do mieszkańców tej ulicy, czy też specjalnie wystosowany do mnie jako proboszcza parafii. Starosta odpowiedział, że specjalnie do mnie, bo nawet nazwisko było wymienione w adresie, a to dlatego, że księża zwykle nie szanują prawa wodnego. Wtedy okazałem zdumienie, jak można było przysyłać taki nakaz nie znając wcale sprawy. Temu nakazowi nie myślę się poddać, a proszę o komisję, która by zbadała, czy jest naruszone prawo wodne.

Starosta zgodził się i niebawem przyszła komisja na czele z wicestarostą z dwoma inżynierami, dwoma doktorami i sekretarzem powiatu. Prócz tego Jakubowski zebrał

wszystkich "poszkodowanych" w liczbie około 15 osób. Komisja zaczęła od fabryki "Kraj", w jaki sposób jest odwodniona. Woda idzie kanałem do granicy gruntu plebańskiego i tu [s. 114] skręca pod szosę do ogrodu plebańskiego. Objaśniam, że długie lata był spór między proboszczem i fabryką, bo woda szła brudna - cuchnąca. Ale ponieważ nie można się było doczekać zmiany, więc na własny koszt założyłem dreny, żeby te brudy ukryć. Komisja poszła obejrzeć te dreny i to się bardzo podobało. Lekarze, którzy znali ten rów wzdłuż parkanu i pamiętali miazmaty, jakie tam zawsze były, teraz zobaczywszy rów zakopany, bardzo się ucieszyli i poczęli chwalić ten pomysł zasypiania. Inżynierowie też z punktu rozszerzenia szosy dali swoje placet. Wtedy mówię: "przecież panowie po to przyszli, żeby ten rów odkopać, bo cały spór właśnie idzie o to, aby woda szła z góry od koszar przez ten rów na ogród plebański" Komisja zaczęła gorąco zaprzeczać, że tak być nie może, bo to nie byłoby zgodne z prawem wodnym. Tak, jak jest teraz, jest najlepiej. Spisano odpowiedni protokół [s. 115], złożono staroście i zaraz starosta napisał do mnie, że nakaz odkopania rowu został uchylony.

Kiedy przy sposobności opowiedziałem o tym Jego Eminencji Ks. Kardynałowi Kakowskiemu, dziwił się, że powiat nasz ma takiego starostę. Pytał się też, czy żądam potem od starosty zadośćuczynienia, do czego miałem prawo. Odpowiedziałem, iż ze starostą mam jeszcze inne porachunki, dotąd nie załatwione, mając na myśli zażalenia do Ks. Lewandowicza, niestety bezskuteczne. Nie chciałem o tym Kardynałowi mówić, aby Go nie martwić. W czymkolwiek zwróciłem się do starosty, to nie tylko nie uwzględnił, ale jeszcze więcej sprawę zagwoździł. Np. dawniej sotyśi zbierali składkę na ubezpieczenie kościołów od ognia i na stróży przy kościołach. W całym dekanacie księża przestali opłacać tę składkę, bo nie mieli pieniędzy, a wskutek skasowania stróżów zaczęły się kradzieże w kościołach. Prosiłem starostę, aby polecił wójtom zbieranie tej składki przez sotyśów. Obiecał, że [s. 116] to robi, ale pokazało się, że tam, gdzie jeszcze zbierano, zakazał.

Ksiądz wikary zorganizował dwutygodniowy kurs dla młodzieży z Akcji Katolickiej. Miał ku temu prawo wypytywające z samej ustawy, zatwierdzonej przez rząd. Starosta jednak kazał salę zapieczętować, po prostu dla szykany, bo gdy mu wytłumaczono i spostrzegł, że nie miał prawa, zaraz pieczęcie zdjęto. Ale przykre wrażenie zostało i ślady na drzwiach sali tercjarskiej. Pewnej niedzieli siostry ze szpitala telefonują, że w szpitalu jacyś młodzi ludzie sprowadzeni przez powiat odbywają remont z wielkim hukiem ku zgorszeniu chorych i służby szpitalnej. Posłałem kogoś z Akcji Katolickiej, żeby sprawdził i starał się przemówić do tych robotników, aby przestali roboty w niedzielę. Nic nie pomogło, jeszcze poczęli bluźnić i przeciw Wierze św. pomstować. Zatelefonowałem do komendanta policji [s. 117], który urzęduje i mieszka naprzeciw szpitala. Z wielką niechęcią, ale jednak tę robotę przerwał.

Innej niedzieli wyszedłem po południu na spacer w dzielnicę szkolną. Na ulicy Staszycza budowano dom dla urzędników samorządowych, więc przez powiat. Słyszę jakiś brzęk blachy na dachu i sześciu ludzi, którzy po prostu pokrywają dach. Pytam się przechodnia, co to za ludzie i dlaczego w niedzielę pracują. A on mówi, że to są Żydzi i pracują cały dzień w każdą niedzielę, jak tylko poczęto ten dom budować. Na

zebraniu Akcji Katolickiej Mężów uchwalono wysłać delegację do starosty w tej sprawie. Nie na wiele to się już przydało, bo dom był skończony. Takie jawne gwałcenie niedzieli i świąt działo się w oczach policji, która nigdy sama nie interweniowała, dopiero pod naciskiem społeczeństwa. A że nasze społeczeństwo na ogół jest obojętne na te sprawy, więc trzeba było dopiero budzić poczucie prawa [s. 118] i stać na straży jego poszanowania.

W Dzień Bożego Ciała, kiedy szedłem z plebanii do kościoła na sumę, spotkałem w przejściu paru furmanów, niosących z podwórza plebańskiego wodę dla koni na szosę. Stały trzy furgony przykryte plandeką, wyladowane towarem. Pytam się tych furmanów, co to za wozy. Odpowiadają, że to żydowskie do Konina. Przykro im jest, że oni katolicy muszą w takie święto jechać. Ale są biedni i dla kawałka chleba to robią. Tu mi się przypomniało, jak naczelnik Urzędu Skarbowego mówił mi, że Żydzi dla uniknięcia wymiaru podatku obrotowego w handlu, zamiast kolejją, gdzie fracht kolejowy może być dla Urzędu Skarbowego dokumentem, wożą towary furmankami. Władze nasze o tym wiedzą, ale nikt się tym nie zainteresuje.

Miasto przybrane odświętnie do procesji Bożego Ciała. [s. 119] Ulice wysypane piaskiem i tatarakiem. Ale nim pójdzie procesja, pierw muszą przejechać żydowskie furgony. Podczas, gdy ma przejeżdżać jakiś dygnitarz sanacyjny, ruch zamiera na ulicy, bo wtedy policja jest na stanowisku. Starosta był tu siedem lat. Ale tylko przez dwa ostatnie lata brał udział w procesji Bożego Ciała. Prowadził celebransa albo z pułkownikiem, albo jego zastępcą. Nie wielka była z nich pociecha, bo skoro musieli ustąpić prowadzenie innym, szli za celebransem i głośno rozmawiali, ku zgorszeniu wiernych. Podczas obiadu, jaki z tej racji dają na plebanii, wzniosłem toast dla starosty dziękując mu za prowadzenie celebransa i życząc mu błogostawieństwa Bożego. Staratem się puścić wszystko w niepamięć i zupełnie szczerze pragnąłem odmiany w naszych stosunkach. Nic o tym nie było w mowie, ale starosta to wyczuł, bo równie pojednawczo mi odpowiedział. Pod koniec obiadu, prezes Akcji Katolickiej w swoim toaście wyraził radość [s. 120] z obecności starosty i delegata pułkownika, dodając od siebie, że radość byłaby pełniejsza, gdyby nie tylko w Boże Ciało i święta galowe, ale zawsze można było widzieć w kościele wszystkich katolików. Major, który zastępował pułkownika, zerwał się obrażony, twierdząc, iż mowa ta uchybia pułkownikowi tu nieobecnemu i że będzie musiał złożyć raport o tym. Ledwie mogliśmy go uspokoić, a najwięcej uspokajał starosta i nawet zabrał głos, pokrywając w ten sposób własną konfuzję. Prezes Akcji Katolickiej chciał jak najlepiej, powodowany gorliwością czynnego katolika. Ale w starości powstało podejrzenie, że prezes był w znowie ze mną. A tu tylko był zwykły zbieg okoliczności - no i po uderzeniu w stół, nożyce się odezwały.

Teraz będzie trochę o zamiataniu ulic około kościoła i plebanii. Przez wszystkie lata, tradycyjnie, ulice przy kościele zamiatali robotnicy magistraccy. Nawet, gdy burmistrzem był socjalista [s. 121]. Ale przyszły rządy sanacyjne i do magistratu. Od razu przestali zamiatać. Wszedłem z magistratem w umowę. Mianowicie, jeśli będą nadal zamiatać, to kancelaria parafialna nie będzie się dopominać zapłaty za akta spisywane na żądanie magistratu. Za jeden tylko rok akta zejścia na ogólną liczbę

400 - ze szpitala i z miasta było darmowych 180. Zatem blisko połowę. A ile jeszcze aktów urodzenia i ślubów. Dotąd robiliśmy to darmo, lecz nie mamy obowiązku. Sta-
nęła umowa. Niestety, niedługo otrzymałem pismo od starosty, że około plebanii na
ulicy są śmiecie i znów starosta grozi karami. Odpowiedziałem, że to ma robić magi-
strat, bo taka jest umowa między nami. Wtedy magistrat przestał zupełnie zamiatać.
Zgodził się płacić po 2 złote za każdy akt, ale z tą płatą było tak, jak z zamiataniem.
To była robota starosty, bo mi to poufnie powiedziano.[s. 122]

Na 25 - lecie mego kapłaństwa,⁹ pułkownik dał mi krzyż, odznaczenie tutejszego
pułku wraz z dyplomem, opiewającym, iż odznaczenie to otrzymuję za gorliwe i bez-
interesowne duszpasterstwo dla pułku. Ale w parę lat potem przybył dziekan woj-
skowy z kapelanem z Łowicza i przedstawili mi, że muszą ustanowić tutaj kapelana -
zastępcę, bo taka jest ustawa organizacji duszpasterstwa wojskowego. Z początku
zaczęli się niby radzić, kogo by tu można naznaczyć. Okazało się, że ani wikariusze,
którzy się często zmieniają, ani prefekci, bo to znów się nie praktykuje, tylko wypa-
dło, żebym ja to przyjął. Broniłem się, jak ongiś, gdy ks. biskup Gall chciał mnie
mianować, obiecując, że i bez tego będę dalej pasterzował wojsku. Nic nie pomogło,
bo jest ustawa i dziekan musi to załatwić urzędowo. Kuria połowa da mi specjalną
nominację, a pułk będzie płacił wyznaczone pobory. Prócz tego otrzymam bilet zniż-
kowy na kolej [s. 123]. Nie było rady. Z wielką niechęcią musiałem się zgodzić, za-
strzegając sobie, iż do Kurii Archidiecezjalnej nie będę się zwracał o pozwolenie.
Niech to sami załatwią.

Dostałem niedługo z Kurii Polowej nominację i pułk począł wypłacać miesięczną
pensję 33 złote plus 15 zł. za używanie kościoła. Biletu zniżkowego nie dali, o co mi
może najwięcej chodziło. 3 maja przyjechał kapelan z Łowicza w całej gali, bo jest
jakimś kanonikiem i chciał powiedzieć u nas kazanie. Odprawiłem już Mszę św.,
kiedy przybył do zakrystii. Ks. Wikary, który się przygotował z kazaniem, zwrócił
kanonikowi uwagę, że jeśli wikariusze mówią kazania w inne dni, to i dziś dadzą so-
bie radę. Forma co prawda nie była wersalska, ale skuteczna, bo kapelan obraził się
i pojechał z kazaniem do Łąkoszyna. Przykro mi było, gdy o tym się dowiedziałem.
Ale rychło się pocieszyłem, bo kazanie kapelana było podobno całe o Piłsudskim, a
wtedy moja przykrość byłaby daleko większa.[s. 124]

Nie wiem, na jakiej podstawie, ale kapelan wystąpienie wikarego, zapisał sobie
na mój rachunek. Uradził razem z pułkownikiem, czy by nie było dobrze, jakby woj-
sko miało swój garnizonowy kościół. Zaczęli się rozglądać i niedaleko znaleźli Łako-
szyn, gdzie dowiedzieli się, iż proboszcz miejscowy chętnie na ten tytuł swego ko-
ścioła się zgodzi i kapelaństwo obejmie. Robili to w wielkiej tajemnicy, ale pułkow-
nik począł urabiać opinię wśród społeczeństwa, że będzie musiał wojsko z naszego
kościółka wyprowadzić, bo kościół jest brudny, a proboszcz nieprawomyślny.

W lipcu pojechałem na dwa tygodnie do Inowrocławia. W tym czasie przyjechał
dziekan wojskowy z Łodzi i nie porozumiawszy się wcale ze mną, przeprowadził z

⁹ Ks. Michał Woźniak święcenia kapłańskie przyjął w 1907 roku. Byłby to więc rok 1932.

proboszczem łąkoszyńskim te same pertraktacje o kapelaństwo dla pułku, jakie miał ze mną przed rokiem. Gdy wróciłem już była rzecz dokonana. [s. 125] Samo wyjście wojska z naszego kościoła było mi bardzo na rękę. Mogliśmy teraz przeznaczyć dla szkół dwie Msze św., to jest dla szkół powszechnych osobno i dla średnich osobno. Wpierw były te szkoły razem i już było zbyt ciasno, a nie było wolnej godziny. Druga rzecz to fanaberie pułkownika też mi się już sprzykrzyły. Np. 11 listopada ma być nabożeństwo w kościele. Zawiązuje się komitet, który wraz ze mną ustala godz. 10 rano. W przeddzień telefon z pułku z zapytaniem, kiedy będzie nabożeństwo dla wojska. Odpowiadam, że o godz. 10, bo tak komitet ustalił. Ponieważ w tym komitecie był starosta, który źle żył z pułkownikiem, więc pułkownik nie chce tego komitetu uznać. I wprost mówi, że dla wojska nie ma nabożeństwa. Tłumaczę mu, że właściwie chodzi o to, aby wojsko wraz ze społeczeństwem brało udział w nabożeństwie. Wtedy wylazło szydło z worka. Owszem, nie ma nic przeciw temu [s. 126], aby wojsko było razem ze społeczeństwem, ale nikt nie ma prawa oznaczać godziny nabożeństwa bez porozumienia się z dowódcą pułku. Ściągnął telefonicznie kapelana z Łowicza i nabożeństwo urządził na dziedzińcu koszarowym. Mało tego. Rozpisał zawiadomienie i wszyscy wraz ze starostą musieli tam pójść. U nas została tylko młodzież szkolna i dobrze na tym wyszła, bo na dworze było bardzo zimno. Więc odetchnąłem, jak wojsko poszło do Łąkoszyna. Jenó forma załatwienia tej sprawy była mi przykrą.

Napisałem też do Kurii Polowej, prosząc o wyjaśnienie. Nie raczyli mi nawet odpowiedzieć. Pasterzowałem wojsku z góry 15 lat zupełnie gratis i teraz taka zapłata. Przy spotkaniu z pułkownikiem zapytałem go, dlaczego tak po kryjomu uciekł z wojskiem. Odpowiedział, że on nic nie winien. Mogę to zawdzięczać tym "panom, którzy noszą [s. 127] tę samą sukienkę, co ksiądz" No, a prawomyślność moja podana w wątpliwość? To znów starosta. Poszedłem tedy do starosty o wyjaśnienie. Zaparł się w żywy kamień. Ale gdy go przyparłem tym, że napiszę do niego urzędowe zapytanie, to mi na piśmie również odpowie, że tego nie mówi! Wtedy odpowiedział, że pisemnego zaprzeczenia dać nie może, bo "to jest urzędowa tajemnica" Miałem dosyć. Jest to dalszy ciąg zemsty za słowa prawdy sprzed paru laty. Powiedziałem mu wtedy odchodząc: "Jeszcze pan starosta i pułkownik niemowlętami byli, kiedy ja dla Polski cierpiałem i pracowałem. Nie chodzi mi też o to, co pan sobie myśli o mojej prawomyślności, tylko boli mnie, że to mówi polski starosta" Ostatnie dwa wyrazy wymówiłem z pewnym naciskiem, dając do zrozumienia, że co do tego mam pewne wątpliwości. Wiedziałem o tym, że w powiecie mam swoje akta [s. 128], w których notowano moje sprawowanie "państwowe" Proszę teraz pomyśleć, kto komu dawał świadectwo prawomyślności? Tak się działo w całym kraju, aż doszło do tej ostatecznej hańby, jaką obecnie przeżywamy. Trzeba było podziwiać czelność tego pana, gdy chodziło, jak mu się zdawało, o podniesienie prestiżu pana starosty.

W roku 1935 zapowiedziana była wizyta kanoniczna J. Eminencji Ks. Kardynała Kakowskiego. 12 maja po południu pojechałem do Warszawy, aby u Eminencji omówić program tej wizyty. Z Dworca poszedłem do lecznicy św. Józefa, aby odwiedzić proboszcza z dekanatu, który tam po operacji leżał. Siostry zakonne w tej lecznicy mówiły, że Piłsudski w Belwederze ciężko chory i już dogorywa. Poszedłem do

parafii Wszystkich Świętych, gdzie u przyjaciela Ks. Dziewanowskiego miałem nocować. O chorobie Piłsudskiego już wszyscy wiedzieli, ale radio nic nie podawało. Nazajutrz rano [s. 129] jeszcze spaliśmy, gdy przywieziono "Kurier Warszawski" z wiadomością, że wczoraj wieczór o godz. 9 Piłsudski umarł. Po odprawieniu Mszy św. poszliśmy każdy w swoją stronę. Ks. Dziewanowski do szkoły, ja do pałacu Kardynała. Na dziedzińcu przed pałacem spotkałem kolegę Ks. Kornitowicza, który wracał już od Kardynała. Był z wiadomością, jak wczoraj namaścił Piłsudskiego. Pokazuje się, że Aleksandra Piłsudska, długoletnia konkubina Piłsudskiego, bo dopiero na kilka lat przed śmiercią ślub zawarli, nie dopuściła Księdza do męża, kiedy jeszcze był przytomny. Dopiero Doktor Stefanowski postąpił auto do Lasek po Ks. Kornitowicza. Ale gdy Ksiądz przybył już było za późno. Kardynał pojechał z kondolencją na Zamek. W Kurii powiedziano mi, że dzisiaj nic nie załatwię. Poczekałłem jednak i około południa otrzymałem posłuchanie u Kardynała. Kardynał ustalił termin swego przybycia [s. 130] do Kutna na dzień 5 czerwca. Przyjedzie własnym autem ze Skrzyszew, gdzie będzie w tym czasie na wypoczynku. Robił wprawdzie pewne zastrzeżenia w razie rozwoju wypadków, jakie mogłyby nastąpić w związku ze śmiercią Piłsudskiego.

Może się kto i łudził, iż po śmierci Piłsudskiego rozwieją się opary sanacji. Na razie myślano o pogrzebie. Co to był za pogrzeb! Rząd i jego adherenci zamysłili sprawić swemu Komendantowi pogrzeb ponad królewski. I dopięli swego. Albo to Polska nie mocarstwo? Zaczęły się więc jęki przez radio. Chodzenie z trupem tu i tam. Aż w tryumfie zawieziono na Wawel. Bez serca, bo przeznaczono dla Wilna. Bez mózgu, bo zostawiono w Uniwersytecie Warszawskim. Ot, taka sobie megalomania, z której społeczeństwo więcej się smuciło, niż ze śmierci Piłsudskiego. Obce narody kiwały głowami nad tą tromtadracją polską [s. 131]. Ten brak powagi i umiaru tak raził, jak raziły podawane przez spikerów radiowych momenty z pogrzebu. Np.: podczas nabożeństwa w Katedrze Warszawskiej spiker mówi łzawym głosem: "oto teraz celebrans podnosi złocistą monstrancję" Gdzie? Kiedy? Przy trupie? Po prostu nie można było słuchać radia, przez jakieś dwa tygodnie, takie bzdury głoszone. I nie było nikogo, kto by to ukrócił. Dochodziło do tego, że pytano księży, czy Piłsudski już jest święty. Mam wrażenie, że ponieważ nastąpiła profanacja rzeczy świętych przez ten pogrzeb, teraz tyle kościołów jest w gruzach, tyle dzwonów zamilkło.¹⁰ W trzy lata potem umarł Roman Dmowski. W pogrzebie jego nikt nie wziął z rządu udziału. Za to było prawie całe społeczeństwo i w dostojnej ciszy pochowano Dmowskiego na Bródnie. Jestem przekonany, że grób ten kryje Wielkiego Polaka i historia w przyzwołości odda mu należną sprawiedliwość [s. 132].

Zbliżał się termin przyjazdu Kardynała do Kutna. Zawiązał się tedy komitet i zebranie odbyło się w sali Rady Miejskiej. Wszystkie organizacje przysłały swoich delegatów. Tylko ze starostwa nie było nikogo. Gdy się ludzie dopytywali, dlaczego -

¹⁰ Tekst Wspomnień Autor pisał już po zajęciu Polski przez Niemców, kiedy to wiele kościołów z o- stało zbombardowanych.

puszczono pogłoskę, że ponieważ nie wiadomo, czy starosta będzie mógł być na przyjęciu, więc i radzić nie ma czego. Co do mnie należało, uczynilem, bo nie tylko w swoim terminie zawiadomiłem starostę, lecz i zaprosiłem na obiad z Kardynałem. Dopiero na parę dni przed przyjazdem Kardynała, jakiś urzędnik ze starostwa telefonował, że może starosta weźmie udział w przyjęciu Kardynała. Ten sposób postępowania wytrącił mnie z równowagi i odpowiedziałem owemu urzędnikowi, że starosta nie tylko może, ale ma obowiązek przyjmować Kardynała. Niedługo też, tego samego dnia, przybył komendant policji, przystany przez starostę [s. 133] z zapytaniem o program przyjęcia Kardynała i jednocześnie przedstawił mi cztery warunki, od których przyjęcia przeze mnie, starosta uzależnił swój udział w przyjęciu Kardynała. Mianowicie: Starosta wyjedzie na granicę parafii i tam powita Kardynała. Ale żąda, aby Kardynał zabrał go do swego samochodu do miejsca swego przybycia. Drugi warunek, żeby starosta od bramy tryumfalnej szedł wraz z Kardynałem pod baldachimem. Trzeci: żeby fotel starosty w kościele stał w prezbiterium naprzeciw tronu Kardynała. I czwarty, żeby Kardynał złożył starości wizytę.

Z początku sądziłem, że komendant może żartuje. Ale skoro zażądał odpowiedzi, bo musi ją zanieść starości, musiałem się zdecydować, pismo poznać. Chciałem językiem Pierwszej Brygady odpowiedzieć, żeby starosta nie strugał ze siebie głupca. Ale to byłaby odpowiedź cokolwiek nieparlamentarna. Wybrałem drogę [s. 134] pośrednią. Żeby starostę do wzięcia udziału nie zniechęcać, a jednocześnie warunków jego nie przyjmując. Zadanie nie było zbyt trudne. Bo o warunkach mógłby tutaj decydować tylko Kardynał, a nie ja. Wszakże mogę tylko dać moje wyjaśnienie, ściśle prywatne, że warunki, lubo nieco dziwne i teoretycznie do przyjęcia możliwe, w praktyce są niewykonalne. I tak, Kardynał na taką wizytację zabiera ze sobą jakiegoś prałata z kapituły. Trudno żądać, żeby Kardynał wyrzucił tego prałata na szosę, by w ten sposób zabrać starostę. Przy bramie Kardynał ubiera się w szaty liturgiczne, idzie pod baldachimem, prawą ręką błogostawi, a w lewej trzyma pastorał i stuka sobie nim w ziemię, gdzie popadnie. Starości wypadłoby iść właśnie po tej stronie i Kardynał niechcący mógłby starostę stuknąć w nogę. A pastorał bardzo ciężki, przeważnie srebrny. [s. 135] Fotel starosty, dotąd stawiany w prezbiterium trochę nieprawnie, ale już tak się utarło. Przy Kardynale jednak to nie uchodzi. No i byłoby całkiem niemożliwe, bo na przyjazd Kardynała zjadą księży z dekanatu oraz inni, około 30. Staną naprzeciwko tronu i starosta siedziałby za ich plecami.

Wymyśliliśmy przeto, aby fotel starosty stał za balustradą, cokolwiek wprowadzić na ukos do tronu, ale w takiej perspektywie, że wzajemnie będą mogli się widzieć: Kardynał ze Starostą. Co zaś do wizyty Kardynała u Starosty to nie może być przedmiotem naszego tu rozważania, gdyż przechodzi nasze kompetencje. Na tym skończyliśmy naszą konferencję z komendantem. I ledwie wyszedł, wziętem auto i pojechałem do Kardynała do Skrzyszew. Kardynał przyjął moją relację z uśmiechem, wzmiankując, że ostatni warunek dopełni, gdy prześle swój bilet starości przez [s. 136] swego kapelana.

Ingres odbył się w sobotę po południu. Starosta był na ingresie i potem chwilę na plebanii. Ale nazajutrz na obiad nie przyszedł, bo musiał podobno służbowo wyje-

chać. Nic z tego, co żądał, nie otrzymał, oprócz biletu, złożonego w Starostwie. Dawniej Kardynał bywał u starostów poprzednich, w ich mieszkaniu (dwa razy), ale to byli zupełnie inni.

Można się teraz było spodziewać, że nastąpi nowa fala zemsty. Tym bardziej, że ja w swoim przemówieniu podczas ingresu wyraziłem ubolewanie wobec Kardynała, że miejscowe pismo napada na Akcję Katolicką. Łatwo się domyśleć, z czyjego poduszczenia. Powiedziałem, że pismo to można przyrównać do brzęczącego komara, ale i komar, gdy utnie, trochę boli. Kardynał ten zwrot zauważył i w swojej wypowiedzi pocieszył, że nie trzeba się znów tak bardzo [s. 137] komarów bać, bo krzywdy nie robią. Kiedy potem Kardynałowi zrobiłem wymówkę, że tak lekko potraktował moje zażalenie. Odpowiedział, że przyjeżdża, aby nas godzić a nie różnić. Ta odpowiedź mi wystarczyła, bo istotnie lepiej mieć zawsze wolną rękę do działania, jak to się niebawem okaże.

Sierociniec, oddany w swoim czasie powiatowi, teraz mógł się stać przedmiotem rozgrywki między starostą i społeczeństwem. Kiedy Rada Opiekuńcza przekazała swoje prawa do sierocińca na powiat, był spisany prywatny (niestety) akt, że w gmachu sierocińca Rada będzie mieć dwie sale do prowadzenia dwóch ochronek, które będzie utrzymywać własnym kosztem. Ochronki te oddaje siostrom Rodziny Maryi, jak i cały sierociniec. Ma być też w sierocińcu kaplica. Dzieci mają być przyjmowane tylko chrześcijańskie. Rada Opiekuńcza wydała na budowę sierocińca przeszło sto tysięcy zł., zebrane wśród społeczeństwa [s. 138]. Powiat przyjmuje te warunki i deklaruje utrzymanie sierocińca dla dzieci z miasta i powiatu. Przez cały szereg lat było dobrze. Starostowie przychodzili do sierocińca do dzieci na Gwiazdkę. Przynosili podarunki dzieciom. Dzieci i sieroty i te z ochronek winszowały staroście w jego imieniny. Odbywały się przedstawienia dziecięce, czasem w sierocińcu, a bywało i teatrze miejskim dla szerszej publiczności. Siostry, prócz opieki nad dziećmi, prowadziły szwalnię. Był to rodzaj szkoły dla dziewcząt, gdyż po skończeniu paroletnich kursów, otrzymywały świadectwa. Kaplica zawsze przepiękna nie tylko dziećmi, ale i mieszkańcami tamtej dzielnicy miasta.

Gdy przyszedł starosta, o którym tu mowa - wszystko się zmieniło. Nie od razu wprawdzie, ale prawie zaraz puszczono wieść, że gmach sierocińca potrzebny będzie [s. 139] na biura powiatowe. Potem, że szpital, bo ten, jaki jest, nie wystarcza. Sprowadzano z województwa lustratorów, żeby nękać siostry pod względem ich uzdolnień wychowawczych. Wreszcie ogłoszono, że teraz sierocińce nie spełniają swego zadania. Wychowanie dziecka winno się odbywać przy rodzinie. Więc sieroty rozdawać rodzinom, a państwo ma mieć tylko nadzór, czy takiej sierocie nie dzieje się krzywda. Ten system wychowania daje świetne wyniki, podczas gdy dziecko w sierocińcu nie zazna ciepła rodzinnego i przytulenia się w nim samodzielność.

To może być wszystko prawda i racja, ale takiej reformy nie można przeprowadzić z dnia na dzień. Zresztą były robione co do tego próby i okazało się, że niestety mało jeszcze jest w Polsce rodzin, którym można by z czystym sumieniem oddać dziecko na wychowanie. Miałem tego dowody, gdy byłem bliżej Warszawy proboszczem, a moi parafianie brali sieroty na wychowanie [s. 140] z Warszawy z Domu

Wychowawczego. Poza tym zdarza się, że sieroty zostają bez opieki w rozmaitym wieku, którymi zaopiekować się trzeba zaraz, bez zwłoki. A wyszukanie opiekuńczych rodzin wymaga czasu i zastanowienia. Tak zresztą, jak przytułek dla starców, w dobrze zorganizowanym społeczeństwie, jest potrzebny, niemniej, jakieś "podręczne" schronisko, dla opuszczonych dzieci.

Ale sytuacja nie lubi się nad tym zastanawiać. To też starosta skorzystał z tego, że przed kilku laty Rada Opiekuńcza, na żądanie władz powiatowych, oddała wszystkie swoje akta dotyczące budowy sierocińca. Akta te potem "zginęły" i oto teraz starosta wprost drwiąco mówi: "nie macie żadnego prawa do sierocińca". Jednocześnie z polecenia starosty, zażądano od siostr zdania rachunków i przygotowania do zamknięcia sierocińca. Siostry powołały się, iż mają [s. 141] kontrakt z Radą Opiekuńczą, przy tym prócz sierocińca prowadzą i ochronki. Wtedy starosta formalnym piśmie zawiadomił Radę Opiekuńczą, że sierociniec zostaje zamknięty i tym samym dwie sale dla ochronek zostają Radzie odebrane.

Zaczęły się tedy zmagania Rady ze starostą o istnienie sierocińca. Siły okazały się bardzo nierówne. Nie pomagały żadne podania ani delegacje. Na pismo nie odpowiadano, a delegacji, choć był wyznaczony dzień i godzina, nie przyjmowano. Rada Opiekuńcza udała się do województwa, potem do ministra Opieki Społecznej. Wszędzie Starosta porobił swoje zastrzeżenia, bo tam odpowiadano, że to tylko od Starosty zależy. Kiedy znów się do Starosty zwrócono, odpowiadał, że województwo nakazało mu sierociniec zlikwidować. Kpił po prostu z Rady Opiekuńczej. Dotąd występowałem w obronie sierocińca jako członek Rady. Teraz postanowiłem wystąpić [s. 142] jako proboszcz i dziekan kutnowski. Napisałem długi memoriał do starosty. Skreśliłem historię powstania sierocińca i dotychczasową działalność w nim dla dzieci. Na zarzut braku dokumentu, odpowiedziałem, że taki dokument jest zamurowany w fundamentach sierocińca. Napisany na pergaminie z podpisami przedstawicieli całego społeczeństwa, nie wyłączając ówczesnego starosty. Rozpędzenie w tej chwili pięćdziesięciu sierot i pozbawienie blisko dwustu dzieci ochronek, uczyniłoby zbyt wielki wstrząs, aby się to mogło odbyć bez echa, wśród nawet szerszych kół społeczeństwa. Kasując sierociniec, trzeba zamknąć kaplicę. Musiałbym w tym względzie zwrócić się do Kardynała, gdyż kaplica powstała tu z Jego wiedzą i zezwoleniem i posiada nawet pewne przywileje, na które ma specjalne dekrety Władzy Duchownej. Kardynał zażąda ode mnie wyjaśnienia, dlaczego kaplica ma być z sierocińca usunięta. [s. 143] Będę wtedy zmuszony przedstawić całą sprawę, że to starosta tutejszy zamyka sierociniec, a więc usuwa siostry zakonne i kasuje kaplicę. Miejscowe społeczeństwo, nie mogąc nic uzyskać u starosty, nie przestanie kołatać u władz miarodajnych, co gdy się zejdzie z moim przedstawieniem Kardynałowi, może osiągnąć, co mu się z prawa należy. Dlatego, uprzedzając P. Starostę o tych zamiarach, proszę, aby sierociniec pozostał pod zarządkiem siostr zakonnych i spełniał swoje zadanie opieki nad sierotami.

Na to pismo otrzymałem odpowiedź, że Starosta nie myślał zamykać sierocińca, tylko wobec trudności finansowych powiat nie może subsydiować sierocińca. A więc z konieczności trzeba zamknąć. Gdyby siostry zgodziły się prowadzić zakład wta-

snymi środkami - to powiat może z nimi na ten temat rozpocząć układy. Nim do tych rozmów doszło zaczęły się się szykany siostr na rozmaity sposób, żeby je właśnie od tych rozmów [s. 144] odstręczyć. Zaprosiliśmy matkę prowincjalną, aby przybyła nam z radą i podyktowała warunki, na jakich mogłyby tu siostry zostać. Zaczęły się znów targi, tak iż siostry doszły do ostatecznych ustępstw. Starosta sądził, że albo na to, gdy przyjdzie do podpisania kontraktu nie będą się mogły zgodzić, albo gdy przyjmą, nie wytrzymają nawet roku.

Kontrakt dzierżawy domu od powiatu na 6 lat. Wszystkie remonty, oprócz grubszego, mają przeprowadzać siostry. Dzieci mają być tylko z powiatu. Opłatę od dzieci siostry same będą z gmin ściągać. Troje dzieci z powiatu mają siostry przyjąć zupełnie darmo. Przy tym skreślono, ile mogą siostry pobierać od dziecka. Powiat ma prawo kontroli całej gospodarki sierocińca, jak również wnikanie do sposobu wychowania dzieci. Warunki były uciążliwe, a jednak siostry na to przystały i wielkimi trudnościami, [s. 145] aż dotąd, mimo wojny, Zakład ten prowadzą. Podczas wojny obecnej urządzono w sierocińcu szpital, ale dzieci wywiezione do Łaniet, mają tam opiekę tych samych siostr, które się tu nimi opiekowały. Szpital też te same siostry obsługiwały.

Po zajęciu Zaolzia przez nasze wojska, Starosta zwołał zebranie niektórych obywateli i urzędników, w liczbie około dwudziestu osób, w celu powzięcia uchwały, do jakiej sumy może się powiat zobowiązać rocznej daniny na Fundusz Obrony Narodowej. Posiedzenie odbywało się w gabinecie Starosty, który sam przewodniczył. Poprzednia suma wynosiła 62 tysiące zł. Starosta powiedział, że to jest mało, choć suma była większa z tego względu, że urzędnicy ze swoich poborów mieli odcięte już w centrali w Warszawie. Tak samo i duchowieństwo z dekanatu dało swoją ofiarę przez Kurię. Teraz Starosta prosi, żeby wszyscy starali się dać tutaj, na potrzeby miejscowego pułku. Wyrzcił życzenie [s. 146], że powiat na ten rok złoży 250 tysięcy złotych. Niektórzy zaczęli trochę oponować, że to zbyt wielka suma, ale wtedy Starosta dość szorstko już zaopiniował, iż ta suma być musi. Oponenci przycichli i poczęto się teraz zastanawiać, jak te pieniądze zebrać. Już posiedzenie miało się skończyć, gdy poprosiłem o głos. Na wstępie zadeklarowałem i ja imieniem księży dekanalnych, że choćby Kuria z naszych dotacji dała ofiarę w Warszawie, to my biorąc pod uwagę czas wyjątkowy, jeszcze oprócz tego, złożymy z dekanatu do Komitetu Powiatowego na miejscowe potrzeby. Ale mam tu jeszcze małe zastrzeżenie pod adresem P. Starosty, jako gospodarza naszego powiatu. Zastrzegam się z góry, iż to nie jest żadna polityka, jeno serdeczna troska o dobro naszej Ojczyzny. Gdy my tu radzimy nad tym, jakby i ile kupić karabinów maszynowych, to przychodzi mi na myśl [s. 147], kto z tych karabinów będzie strzelał. W pewnej parafii stowarzyszenie "Siew" prowadzi kierownik szkoły, zdecydowany bezbożnik, który demoralizuje młodzież. Przez omyłkę, zamiast do niego, przyszła paczka książek do plebanii. Książeczki te pod tytułem "Nowoczesne sposoby spędzenia płodu", były rozdawane naszej polskiej, katolickiej młodzieży, bo inne paczki doszły do tego nauczyciela. Książeczki te są kupione za pieniądze z powiatu, a więc z naszych podatków. Idziemy więc urzędowo do depopulacji w kraju i do siania bezbożnictwa wśród ludu.

To w jednym końcu powiatu. A w drugim końcu, w gminie Rdutów, w niedzielę, kiedy ludzie idą do kościoła, wójt wraz z sekretarzem, urządza w gminie zebranie baptystów. Na te zebrania przyjeżdżają agenci baptystów z Łodzi i odpowiednio miejscową ludność urabiają. Proszę się teraz zapytać dowódcy pułku, ile ma kłopotu [s. 148] z baptystami, którzy nie chcą wziąć karabinu do ręki, mówiąc, że im religia tego zabrania. Więc pytam - co z tego, że będziemy tu składać setki tysięcy zł. - jeśli tam wśród ludu idzie taka propaganda pod auspicjami władz powiatowych? Dlatego proszę P. Starostę, aby w te sprawy wejrzał i je ukrócił. - Zrobiła się przykra cisza. Starosta był wściekły, ale zapanował nad sobą. Zdążył rzucić protokolantowi, aby moje przemówienie zapisał, co do obietnicy składki do tutejszego Komitetu - drugą część przemówienia nie zapisywać, bo sam to Dziekanowi wyjaśni. A potem, choć był jeszcze kilka miesięcy i spotykaliśmy się ani słowem o tym nie wspomniał. Na tym bym chciał już skończyć o tutejszych starostach, bo jak Czytelnicy widzą, nie są nawet zbyt ciekawi, starostowie oczywiście.

W r. 1938, 30 grudnia umarł Ks. Kardynał Kakowski [s. 149]. Arcybiskupem warszawskim był przez 25 lat. Pasterzował na przelomie dziejów Narodu Polskiego, więc choćby z tego względu przejdzie do historii. Ale był to niepospolity biskup, który w każdym czasie zostawiłby po sobie wiekopomne wspomnienie. Pierwsze ćwierćwiecze kapłaństwa zeszło Mu jako wychowawcy młodzieży seminaryjnej. Głównie jako regens Seminarium Warszawskiego, a potem jak rektor Akademii Duchownej w Petersburgu. Miałem szczęście być uczniem Jego w Seminarium. Wykładał Prawo Kanoniczne. Wykłady Jego były jasne i pełne treści. A czasy były trudne, bo w Polsce rządzą jeszcze Moskale. Trzeba było być nie tylko regensem, ale i politykiem, żeby alumnów wychować na dobrych Polaków, a jednocześnie nie narażać Seminarium na zamknięcie, jak to się stało w Kielcach. Bywało bowiem, że do Seminarium wstępowali szpiedzy lub prowokatorzy. Sądzę, że od nieszczęścia chroniła łaska Boża, bo regens był kapłanem przykładnym [s. 150], pobożnym i we wszelkich poczynaniach głęboko religijnym. Chcę przez to powiedzieć, iż więcej ufał Opatrzności Boskiej, niż staraniom ludzkim.

Nauki wyższe odbył w Rzymie, gdzie nabył też ducha kościelnego i poszanowania hierarchii kościelnej, co stało się w dalszym życiu pięknym rysem Jego charakteru. Na ogół był łagodny i usposobienia pogodnego. Może dlatego pomawiano Go, iż łatwo dał się powodować cudzym zdaniem, co było z uszczerbkiem Jego powagi i inicjatywy w działaniu. To się przejawiało podczas wojny światowej.¹¹ Kiedy jako arcybiskup warszawski, z natury rzeczy, musiał nieraz przedsięwziąć sprawy historycznego znaczenia. W kapitule warszawskiej był wtedy jeden prałat, bardzo wpływowy i świątły, ale pod względem politycznym wielki oportunistą. Za Moskale należał do stronnictwa realistów, a podczas okupacji niemieckiej był aktywistą. Podobno ten prałat miał wielki wpływ na Arcybiskupa. Kiedy w pierwszym roku wojny Moskale [s. 151] odparli Niemców od Warszawy, Arcybiskup posłał do cara Mikołaja depeszę gratulacyjną i jakoby dziękczynną. Potem znów, gdy Niemcy zajęły Warszawę i

¹¹ Chodzi tu o I wojnę światową (1914 - 1918).

całą Polskę, Arcybiskup z delegacją jeździł do Wilhelma do Berlina, żeby też tam za coś dziękować. Niemcy łudzili Polaków, a byli tacy, co temu wierzyli. Łudzili utworzeniem polskiego rządu. Powstała Rada Stanu. Ale wszystko zmierzało do tego, żeby Polska dała Niemcom pomoc, szczególnie w ludziach, co się na szczęście nie udało.

Do Rady Stanu weszło trzech ludzi: Arcybiskup, Ostrowski i Ks. Lubomirski. Przypomniano zaraz, co Sienkiewicz w Potopie pisał o takich trzech Polakach, którzy popierali króla szwedzkiego: Łacina, Pierzyna, Dziecina. Czyniono zarzut Arcybiskupowi, że swą powagą pokrywał perfidne zamierzenia niemieckie względem Polski. Lecz Arcybiskup czynił to w najlepszej wierze, w porozumieniu się z Ojcem św. Benedyktem XV. Parę razy słyszałem [s. 152], jak na ten temat Arcybiskup mówił, jakby się tłumaczył. Uważał, że lepiej, iż On i ci dwaj panowie, dobrzy Polacy, stali na czele rządu niż, co mieli tę władzę wziąć ludzie nieuczciwi. Gdy jednak Niemcy opuścili Polskę, to pokazano się, że Rada Stanu nie miała dość siły stać na czele. Rzucono przed pałacem Arcybiskupa bombę. Na Zamku zawieszono czerwony sztandar. Więc Rada Stanu co rychlej oddała swą władzę Piłsudskiemu, bez żadnej gwarancji, co Piłsudski z tą władzą zrobi.

A Piłsudski zaczął eksperymentować. Powstał za jego zezwoleniem rząd lubelski, z Moraczewskim na czele. Mój Boże, pierwsze zaraz dni Wolnej Polski zasnuły się chmurami niepewności istnienia, bo w narodzie powstało rozdwojenie. Toteż później, choćby może i dobrze było, żeby Arcybiskup zabrał głos, już nie miał odwagi mieszać się do polityki. A i ów prałat, co Arcybiskupa pobudzał, już umarł [s. 153]. W sprawach dotyczących Kościoła w Polsce stał na straży. Gdy przygotowano konkordat, może za mało zrobiono nacisk na niektóre paragrafy, które potem rząd dowolnie sobie interpretował, ze szkodą Kościoła. Nie można tu winić o to Arcybiskupa, boć miał kim się wyręczyć. A ci wyręczyciele, rozmaici radcy, mało byli przewidujący. I raczej źle wpływali na Arcybiskupa. Np.: gdy powstała Kasa Chorych, ileż do dzisiejszego dnia jeszcze jest zamętu i kłopotu dla proboszczów wskutek dowolnej interpretacji ustawy Kasy Chorych w stosunku do służby kościelnej. A przecież temu można było zapobiec w samym zarodku. Powstały stąd takie anomalie, że Władza Duchowna nakazywała służbę do Kasy Chorych zapisać, a jednocześnie w Wiadomościach Archidiecezjalnych podawano, jak się od tego bronić. Powinniśmy byli dać przykład ładu i porządku, żeby przecie osłabić zakusy socjalistów, którzy na Kasach [s. 154] Chorych żerowali. Przecież to był jawny nonsens popierać tę instytucję społeczną, która się stała mordownią społeczeństwa i przeszkodą do rozwoju normalnego życia gospodarczego. Ale mówiło się: "przecież to nasz polski rząd, nie można mu się sprzeciwiać"

Wspomniałem już wyżej, jak to nasi starostowie, opierając się niby na Konkordacie, przestali zbierać składki przez wójtów na ubezpieczenie kościołów od ognia, na stróżów. I w ogóle trudno już było przedsiębrać jakiś większy remont kościoła, bo zaraz władze się do tego mieszały, że nie wolno nakładać nowych podatków na parafian. Kiedy te sprawy dochodziły do Kurii zwykle odkładało się je "ad acta" Dawniej księża nie płacili żadnych podatków i myślę, że tak mogło pozostać i nadal, skoro beneficja kościelne pozostały w ręku rządu. Ale nie, nałożono na księży roz-

maite podatki, nawet od stypendiów [s. 155] mszalnych. Zwykle naczelnicy skarbowi nie chcieli wierzyć zeznaniom proboszczów o dochodzie. Szli do hipoteki, brali duplikaty aktów stanu cywilnego i według liczby spisanych aktów zgonu czy urodzenia lub ślubów wymierzali od siebie, licząc odpowiednią kwotę przy tych usługach religijnych. Tutaj tak się złożyło, że naczelnik urzędu skarbowego podniósł podatek temu organście, licząc mu dochód tylko od 400 pogrzebów. Kiedy organista zaniósł do urzędu skarbowego kartki darmowe z magistratu i szpitala za jeden rok 180 wtedy musieli przyznać, że organista zeznał rzetelnie. Dochodziło do tego, że księży licytowano i na wszelki sposób szykanowano, szczególnie po zamachu majowym. Władza Duchowna nigdy nie brała takiego księdza w obronę - bo niestety, powiał jakiś duch: "nie sprzeciwiać się". A szkoda, uniknęlibyśmy wielu oskarżeń, które dotykały właśnie Arcybiskupa. [s. 156]

Te kłopoty zapewne też stargały zdrowie Arcypasterza, dotąd tak silnego. Dwa razy ciężko chorował. Gdy kupił Skrzyszewy na dom rekolekcyjny, lubił tu często przyjeżdżać na odpoczynek. Znać już było upadek sił i pogłębiło się Jego roztargnienie, z którego był znany, jeszcze jako profesor i regens. Na duchu nie upadał, zawsze pogodny i miał poczucie humoru. Raz, odprawiając Mszę św. żałobną, przez roztargnienie odmówił "Credo". Diakon, który asystował zwrócił Kardynałowi uwagę, że "Creda" się nie mówi. Arcypasterz odpowiedział: "nie sprzeciwiaj się, Kardynał zawsze wierzy"

Na jesieni 1938 roku Ks. Lewandowicz chciał jechać do Rzymu. Kardynał pozwalał, ale go wstrzymywał, bo Ojciec św. Pius XI był wtedy chory. Mówił więc, że może wypadnie niedługo pojechać na Conclave, to razem pojedą. Tymczasem umarł jeszcze tego roku [s. 157], otrzymawszy od Ojca św. ostatnie błogosławieństwo. Umierał przytomnie i pobożnie. Prosił, aby Go pochowano na Bródnie. Tymczasowo pochowaliśmy Go w katedrze, bo była zima; potem przygotowano grób na Bródnie i we wrześniu 1939 zwłoki miały być przeniesione. Ale przyszła ta straszna wojna i nie wiem, czy grób na Bródnie nie został rozbity, bo katedra bardzo ucierpiała.

W miesiąc później, bo 10 lutego umarł i Wielki Papież Pius XI. Pamięć moja sięga Leona XIII. I wedle mego rozumienia Pan Bóg dawał Papieży Kościołowi w tym półwieczu takich, jakich powaga tych czasów wymagała. Byli i święci, jak Pius X. Po wojnie światowej, kiedy zdawało się, zachwiały się podstawy moralności chrześcijańskiej. A i Wiara w narodach osłabła, przyszedł Papież z przydomkiem "Fides interpida" i dewizą "Instaurare omnia in Christo" Miałem szczęście znać tego Papieża osobiście. Był niewymownie miły w całej swej postaci i w swych przemówieniach. Przemówienia [s. 158] Jego były proste, ale zawsze pełne treści. W Encyklikach już było więcej kunsztu ozdobnego, ale jakże głębokie w swych zagadnieniach czy to społecznych, czy moralnych. Może żaden Papież nie wydał tyle Encyklik co Pius XI. A podobno sam wszystko pisał. Gdyby żył teraz, podczas tej wojny, zapewne zabrałby głos, swój autorytatywny, szczególnie w sprawie biednej Polski. Dziś nie mamy już takiego Opiekuna.

Oprócz spraw czysto kościelnych, jak reforma w wielu krajach seminariów, rozszerzenia misji w krajach pogańskich, dokonał niezwykłego dzieła, bo pogodzenia

Stolicy Apostolskiej z Rządem Włoskim przez traktat lateraneński. Papież przestał być Więźniem Watykanu i naród włoski pogodził z Ojcem świętym. Dotąd nie wolno było katolikowi brać udziału w rządach, co się też bardzo ujemnie odbijało na całości kształcie rządu i rodziny królewskiej, bądź co bądź katolickiej. [s. 159]. W ten sposób mógł Pius XI w skwarne dni lata wyjechać do dawnej posiadłości Papieża Castel Gandolfo. Odnowiono tam pałac, uporządkowano ogrody. W pałacu przygotowano prywatną kaplicę dla Ojca św. Sam Ojciec św. doglądał urządzenia tej kaplicy. Sprowadził malarza polskiego Rozena, który na ścianach kaplicy wymalował historyczne wydarzenia Polski. Między innymi i Cud nad Wisłą. W ołtarzu znajduje się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Toteż pielgrzymi polscy z serdecznym uczuciem wdzięczności dla Ojca św., tę kaplicę zwiedzali. Teraz, niestety, ta kaplica dla zwiedzających zamknięta. Gdy zeszłego lata Polacy chcieli zwiedzić, powiedziano im, że wyjątkowo jako Polakom pozwolą. Innych narodów - pewnie Niemców - nie chcą drażnić polską kaplicą w papieskim pałacu.

O wielkim Papieżu Piusie XI zapewne będą pisać wiele dzieł, jak na to zasługuje. Więc nie mam się tutaj co silić, aby pisać więcej. Zapewne też i Arcybiskup nasz [s. 160] Kardynał Kakowski będzie miał piękną kartę w historii Kościoła w Polsce. Zatem przechodzę do spraw codziennych, parafialnych, trosk i kłopotów przy budowie Domu Katolickiego.

1936 r. na jesieni założono fundamenty pod wikariatkę. Trzeba bowiem przyznać, że Księża Wikariusze nie mają gdzie mieszkać. Następnego roku doprowadzono dom pod dach i na jesieni urządzono już nowe mieszkanie dla zakrystiana Romana Lasckiego. Obok ma być mieszkanie dla organisty, na pierwszym piętrze dla dwóch wikariuszy, a na drugim piętrze dla dwóch prefektów. Pod całym domem są piwnice. Tego samego roku zamówiłem plany u architekta K. z Warszawy. Wikariatkę budował inżynier Grabowski, też z Warszawy, ale niestety uległ wypadkowi samochodowemu i zabił się. Bardzo zacny był to inżynier, czego nie mogę powiedzieć [s. 161] o K. Nie tylko dlatego, że ten okazał się zbyt fiskałnym, ale wprost krętaczem, co mnie naraziło na wiele strat i na to, że dom ten dotąd nie jest skończony.

W drugim roku budowy z wiosną zwtóczył z rozpoczęciem budowy, a potem się rzekł wybrawszy 1500 zł. Na jesieni wybuchła wojna i choć nawet przy Niemcach spieszyliśmy się dojść pod dach, nie można było skończyć, bo brakło materiałów, jak tęgów i cementu. Po rzeczeniu się K., dozór budowy objął architekt miejski J. Wziął 500 zł. i też zwtóczył z robotami. Przysyłał na swoje miejsce "smarkaczów" techników, którzy tylko przeszkadzali. Drzewo na dach miało przyjść 31 sierpnia. W drodze zatrzymano, bo nazajutrz już była wojna. Drugą więc zimę mury stoją nie przykryte - te, gdzie ma być sala - a obok świetlica, postawiono tylko parter, gdzie mają być też dwa piętra. [s. 162]

Teraz, na wiosnę 1940 r. chciałem rozpocząć dalej budować. Przynajmniej wyrobić tę resztę cegły, jaka jest i wojna. Materiał ten niszczy się i bardzo kradną. Ale inżynier J. nie pozwala. Mówi, że mają kończyć Niemcy, więc nie ma co im wchodzić w drogę. Nawet chciałem gromadzić jakie takie materiały na dach i tu przeszkadza J. Tymczasem Niemcy potrafią tylko burzyć, a nie budować. Rozegrali bóżnicę żydow-

ską i cały kompleks domów na Starym Rynku. Gdyby chcieli coś budować, to mają przecież starostwo, cokolwiek tylko uszkodzone od bomb we wrześniu, i nie robią. Uszkodzone koszary na Skłęczkach nie reperują, jak i te zaczęte w budowie, obok koszar w Kutnie. Jest może tylko ta racja, że wszystko ogłoszono już za własność państwową niemiecką, a więc nie optaci się nic robić, bo to i tak nie nasze. Cóż, kiedy ja mam naturę tego chłopa, co [s. 163] to pod kulami uprawia swoją rolę.

Na jesieni, jak tylko weszli Niemcy rozpoczęliśmy budowę, już bez żadnego inżyniera, bo wszyscy pouciekali. Niemcy zainteresowali się budową o tyle, że przyszedł jakiś inspektor pracy i pytał, dlaczego tak mało jest robotników na budowie. Wytłumaczyłem mu, że budowa normalnie iść nie może, bo nie ma ani materiałów, ani pieniędzy. Co do materiałów, to wyjaśniłem mu, że głównie chodzi o drzewo na dach. Pieniądze zaś są na Pocztovej Kasie Oszczędności i w K. K. O., gdzie nie wyplacają. Mimo to Niemiec ten nie dawał nam spokoju. Gdy padał deszcz i robotnicy wcale nie przyszli, skrzyczał majstra, dlaczego stanęli z robotą. Majster mówi: "pada deszcz" "To w płaszczach gumowych powinni stanąć do roboty" I kiedy ja sam piliłem, żeby wszystką cegłę do zimy wyrobić, już nie zdążyliśmy, bo złapał mróz. Niemiec znów przychodzi i każe murować podczas mrozu. Majster mówi, że [s. 164] to niemożliwe. Niemiec każe stawiać kosze żelazne - palić i murować. Majster mówi, że to koszt, a Niemiec odpowiada, że to jego nie dotyczy, bo koszt ponosi właściciel budowy. Oczywiście był to nonsens i na to się nie zgodziłem. Tego rodzaju były zainteresowania Niemców Domem Katolickim.

Wspominałem o architekcie K. niepocholebnie. Muszę teraz udowodnić to jego kręactwo. Otóż, gdy wikariatka już była pod dachem, zacząłem się przepytywać, kto mógłby zrobić plany na Dom Katolicki. Miejscowi architekci nie czuli się na siłach i nie miałem też do nich zaufania. Poradzono mi, abym wziął K., jako budowniczego z województwa, który zresztą miał nadzór nad trzema powiatami. Mieszka w Warszawie, a biuro ma w Łowiczu. Gdy przybył, umówiliśmy się, że robi plany darmo, a tylko otrzyma 3% od ogólnego kosztorysu. [s. 165] Nim jednak przystąpił do planów musiałem mu dać 200 zł. I potem często wpadał po pieniądze, a planów nie robił. Nareszcie, gdy zrobił, miał sam dopilnować w województwie ich zatwierdzenie. Leżały 10 miesięcy w województwie. Gdy zacząłem szturmować, powiedziano, że plany są błędnie zrobione i dlatego nie mogą być zatwierdzone. K. coś tam poprawił i nareszcie dopiero we wrześniu plany otrzymałem.

W ten sposób straciłem najlepszy sezon budowlany. A cegła i wapno już od szeregu miesięcy były na placu. Chodziło głównie o wielką salę, żeby jak najprędzej pod dach wyciągnąć. Okna w sali porobił długie, ale poziome, przeto dla zasklepienia bardzo kosztowne. Zobaczył ten plan inżynier kolejowy, który wiele budował i radził mi, że taniej będzie się kalkulować żelazo - beton, a nie tregry, jak chciał K. Przedstawiłem to K. [s. 166]. Z początku nie chciał tego słuchać. Wreszcie dał się przekonać, ale znów zwłóczył z ostatecznym wyliczeniem żelaza dla zbrojarza. I tak szło w odwłokę.

Fundamenty kazał kopać 3 metry głębokie i 2 m. grube. Przy tym nie pozwalał brać do fundamentów kamienia tylko cegłę. W ten sposób w same fundamenty weszło

100.000 cegły i dlatego teraz cegły braknie na wykończenie. Wejście dla aktorów miało być z prawej strony, to jest od podwórza, z zewnątrz. Potrzebna do tego przystawka. Na planach omylił się i zrobił z drugiej strony od strony poczty. To jest niewygodne z wielu względów. J. z tego powodu wstrzymał robotę, bo nie pozwoliłem murować wedle omyłki, ale jak dałem w projekcie. K. zamiast mi przyjść wtedy z pomocą i plan poprawić, zapierał się, aby było od strony poczty. A gdy wreszcie [s. 167] dał się przekonać, to za przeróbkę kazał sobie płacić. Potrzebna była belka nad łożą z żelbetonu. I znów trzeba było wyczekać tygodniami na wykresy żelaza. Tak samo z dachem i z holem. Musiałem potem Jabłońskiemu dać 500 zł. specjalnie za wykresy dachu i holu. Przy tym K. strasznie nerwowy. Wymyślał majstrowi obelżywymi słowami, zrywał fundamenty i w ten sposób psuł materiał, bo do fundamentów musieliśmy używać wiele cementu. Toteż, gdy się zrzekł prowadzenia roboty, prawdziwie odetchnąłem i dziękowałem Bogu, że już nic nie mam wspólnego z tym budowniczym.

A zrzekł się dlatego, że nie widział wielkiego zarobku dla siebie, bo staraliśmy się, aby jak najtaniej roboty prowadzić. Zresztą wybrał już tyle, że mu zacząłem cykać po 50 zł., o co się bardzo złościł, ale to już mnie mało wzruszało. Gdy się to działo na małym odcinku kłopotów jednego proboszcza - zbliżały się wydarzenia [s. 168], które miały wstrząsnąć całym światem.

Wojna niemiecko - polska

Jesienią r. 1938 wojska nasze zajęły Zaolzie z części Czechosłowacji, która uległa przemocy niemieckiej. Zajęcie przez Polskę ziem odwiecznie polskich, nie było Niemcom na rękę, ale wówczas nie sprzeciwili się temu, bo sami nie byli pewni, jak się zachowają Anglia i Francja, wobec zaboru Czechosłowacji. Niemcy oddzielili Słowację od Czech. Zrobili ze Słowacji niby wolne państwo, obsadzając jednak swym wojskiem i na czele rządu słowackiego postawili ludzi im oddanych. W ten sposób granica nasza południowa, stała się granicą niemiecką. Unikano jeszcze zatargu jawnego, ale zgrzyty i kłótnie graniczne już poczęły między Polską i Niemcami powstawać.

Po zajęciu przez Niemcy Kłajpedy, wypadki dotyczące zgodnych stosunków Niemców do Polski [s. 169] metodycznie i celowo się posuwały. Ponieważ nasza polityka cała, a szczególnie zagraniczna, w myśl wskazań Piłsudskiego była tajna i mimo systemu parlamentarnego, całkowicie zakonspirowana. Więc też społeczeństwo nie było uświadomione, co się dzieje u naszego sąsiada zachodniego i jakie są zamierzenia Niemców względem nas. Pakt nieagresji z 1934 r. Polski z Niemcami doskonale służył za narkozę nie tylko dla narodu naszego, ale i rządu, jak się potem wyjaśniło. Dochodziły nas wieści via Londyn lub Paryż, że coś tam jednak nie jest w porządku. Ale ani mówić ani tym bardziej pisać o tym nie można było.

Jedynie młodzież akademicka reagowała. Zdarzały się demonstracje przeciw Beckowi, ministrowi spraw zagranicznych. Pomawiano go wprost o zdradę. Beck na to nie reagował i to jeszcze więcej ludzi utwierdzało w tych podejrzeniach. Podobno kupił sobie wielką realność, stąd pytanie, za czyje pieniądze. Słowem, polityka nasza obracała się [s. 170] wśród intryg i rozmaitych podejrzeń, co w kraju wywołało chaos, w pojęciach o bezpieczeństwie Ojczyzny. Wreszcie w marcu 1939 r. bomba pękła. Niemcy zażądały od Polski zwrotu Gdańska i wolnej drogi do Prus Wschodnich. W odpowiedzi rząd polski zarządził mobilizację. Ale społeczeństwo jeszcze nie wiedziało, o co poszło. Dopiero drogą okólną, z zagranicy, dowiedzieliśmy się, o co Hitlerowi chodzi. Niedługo też sam Hitler wygłosił mowę przez radio i do rządu naszego już wysłał rodzaj ultimatum, bo zerwał traktat nieagresji.

Wtedy i nasz rząd, już jawnie, odpowiedział Niemcom, można by powiedzieć, że wcale zgrabnie i z godnością. Ale niestety, to były tylko słowa i pobrzękiwanie szabłą, a istotnej siły nie było. Stanowisko nasze jednak podziało państwa zachodnie. Pierwsza Anglia pospieszyła z opieką i zapewnieniami, że w razie napaści na nas przyjdzie z pomocą. Niebawem też to samo oświadczyła Francja. [s. 171] Wreszcie oba te państwa zawiązały ze sobą ścisłe porozumienie, że w razie wojny Niemców z Polską, one wystąpią przeciwko Niemcom. Tak się to wszystko pięknie układało, iż myślano, że Niemcy nie odważą się napaść na Polskę.

Zaczęło się też igranie z ogniem i, jak to u nas bywa, lekceważenie przeciwnika. Zaczęły się mowy dygnitarzy, rodzaj propagandy na rzecz obrony państwa, ale nieraz przechodzące wszelką polityczną przyzwoitość. Mówił kilkakrotnie Rydz Śmigły. Głosił, że damy sobie sami radę w wojnie z Niemcami, nie oglądając się na pomoc ofiarowaną. Że nie da, nie tylko Gdańska i korytarza, ale jednego guzika. Że patriotyzm nie jest tylko monopolem Hitlera, ale każdego Polaka. Gdyby wraz z tymi słowami szło postępowanie naszych władz, w kierunku przygotowania wojennego, to może by Niemcy nie odważyli się rzucić na nas. Bo oni dobrze przemyśleli, mając dobry wywiad, co warte są te wszystkie [s. 172] mowy na wypadek wojny. Kiedy Hitler odwołał uroczystości w Norymberdze i w Tauenbergu, nasze władze wiwatowały w Toruniu i w Krakowie, bo jakżeby nie obchodzić rocznicy wymarszu [...] ¹² na front? Z Gdyni biegali z zapalonymi pochodniami do Krakowa - to samo z Wilna i z powrotem do serca Piłsudskiego. Że te uroczystości kosztowały kilka milionów i tyle zużyły energii młodych ludzi - to nic, boć przecież Polska nikogo się nie boi.

Składkowski, minister spraw wewnętrznych, też nie miał innego zajęcia, jak tylko malować chuściane płoty lub przerabiać masywne parkany na ażury. Niemcy też potem, gdy tu przyszli, śmieli się: "wyście malowali płoty, a my szykowaliśmy armaty" Wojsko nasze - to oczko w głowie Piłsudskiego, okazało się, szczególnie u góry pełną bandy karierowiczów i ignorantów. Pułk 37 w Kutnie [s. 173], taki sławny w [19]26 roku w maju, teraz wysłano w marcu do Wągrowca nad granicę niemiecką. Zamiast tam się ćwiczyć i stać istotnie na straży - to oficerowie ćwiczyli się w strzelaniu po pijanemu na wiwat albo i na postrach biednej ludności, gdy nie okazywała

¹² Niewyraźne słowo.

entuzjazmu z ich "rycerskości". To opowiadał Ks. Kołodziejski, proboszcz z Chojnaty, który tam w sąsiedztwie pełnił obowiązki kapelana wojskowego. Tutaj sformowano szwadron konnicy i ulokowano w Gnojnie, w budynkach należących do XX. Salezjanów. Otóż, ta kawaleria, z rezerwistów, aczkolwiek pod dowództwem zacnego majora Choroszewskiego, nie stała też na wysokości swojego zadania. Major miał wiele kłopotu, aby utrzymać tych rozhułkanych kawalerzystów w ryzie.

Takie były przygotowania do wojny, o której zresztą na serio nie myślano, bo sądzono, że skończy się na wojnie "nerwów" Nawet już ten stan rzeczy nazywano "białą wojną" Przeszło lato, zbliżał się fatalny wrzesień. [s. 174] Tu powinienem się zatrzymać i czekać końca wojny. Lepiej jest zawsze pisać z pewnego oddalenia - no i bezpieczniej. Ale tak się przyzwyczaiłem do spisywania tych "Wspomnień", że gdy na parę dni przestałem, nie mogłem sobie dać rady, tak mnie do tego ciągnęło. W tej chwili, gdy te słowa piszę jest 10 maja 1940 roku. Od 2 maja, to jest od Wniebowstąpienia Pańskiego zamknięto kościół. A więc nie ma żadnego zajęcia. Żyjemy w takim naprężeniu nerwowym, że pisanie tych "Wspomnień" staje się koniecznością, dla zachowania równowagi umysłu. Nadmienię jeszcze, że poprzednie pisanie szło nieraz ciężko, bo zimową porą ręce miałem zgrabiłe i pisać było trudno. Przychodziły też chwile takiej udręki duchowej, iż ledwie można było, jako tako zebrać myśli. Teraz od paru dni jest ciepło a stan duszy uległ jakby pewnemu odrętwieniu. "Siano arezzati", [s. 175] jak powiedział ów capo stazione na wulkanie Wezuwiusza. Z drugiej strony tempo wojny przybrało na sile. Nim więc dojdę w swoich "Wspomnieniach" do chwili obecnej - już wypadki będą przechodzić do historii.

Był śliczny poranek jesienny, piątek 1 września [1939]. Bawił u mnie na wakacjach Ks. Dominik Dziewanowski. Przed dwoma tygodniami był w Gdyni. Po drodze wstąpił do swych sióstr do Bydgoszczy, a potem na parę dni, przed rozpoczęciem roku szkolnego, chciał się zatrzymać u mnie. Spał w salonie. Wtem, w piątek przed godziną 6 rano wpadł do mego pokoju z zapytaniem czy słyszałem jakieś wybuchy. Byłem senny, ale słyszałem, bo te wybuchy mnie obudziły. Poczuliśmy snuć przypuszczenia, co by to mogło być. Gdy tak rozmawiamy, zabrzączał telefon. To ze szpitala wzywają na gwałt do rannych wszystkich księży. Pobiegłem więc z Ks. Oziębłowskiem. Księża prefekci obaj i drugi Ks. Wikary Malinowski wyjechali [s. 176] do wojska na kapelanów. Ranni byli to rzemieślnicy i robotnicy, którzy wykańczali koszary w Skłęczkach oraz inni z pociągu, idącego do Łodzi. Na koszary i na pociąg rzucono z samolotów bomby, a potem ostrzeliwano jeszcze pociąg z samolotu, karabinem maszynowym.

Taki był początek wojny w Kutnie. Odczuliśmy to, jako zwykły napad zbójceki, bo wśród rannych nie było wcale żołnierzy. Widok był okropny. Ciała porozrywane odłamkami bomb, stanowiły u niektórych osób jedną miążgę bezkształtnej masy. Udzielaliśmy rozgrzeszenia ciężiej rannym i namaszczyliśmy na czole, jeśli to było można. Mniej rannych zostawialiśmy na później. Nie mogliśmy nadażyć, bo nowych przywożono. Ranni umierali, a nie było komu wynieść do kostnicy. Kilkadziesiąt osób tego dnia było ofiar. Nazajutrz było już mniej. Ale w niedzielę 3 września z górą pięćset osób zmasakrowano. A stało się to dlatego, że [s. 177] Kutno zawalone było

uchodźcami od granicy. Wiele osób zebrało się na dworcu kolejowym, chcąc się dostać koleją do Warszawy. I w tę masę ludzi samolot rzucił kilka bomb. Zabitych było od razu przeszło dwieście osób - resztę strasznie pokaleczonych, którzy też zaraz pomierali. Tylko we dwóch z Ks. Oziębłowskim udzielaliśmy ostatnich Sakramentów. Oczywiście już nie w szpitalu tylko, ale gdzie się dało. Na wozach, na skwerku przed szpitalem. Sutanna powalata się krwią ludzką, bo trzeba było wśród rannych przykłaść, aby ich opatrzyć.

Gdy wróciłem późnym wieczorem do domu, wyczerpany do ostatnich granic fizycznie i moralnie, pieśak Bobik zaczął obwąchiwać sutannę i spoglądać na mnie, jakby chciał zapytać, co to wszystko znaczy. Nad wieczorem bomby zapaliły zbiorniki spirytusu. Powstał z tego olbrzymi pożar. Widać było w mieście, a nawet w okolicy. Tego dnia Ks. Marian Pawłowski, tutejszy parafianin, miał prymicje. Smutne [s. 178] to były prymicje. Na sumie mało było ludzi. Nieszporów wcale nie było. Prymicjant po obiedzie pojechał na Florek do rodziców swoich, aby się pożegnać, zabrać rzeczy i udać się wraz z uchodźcami w stronę Warszawy. Kolej już stanęła, bo było niebezpiecznie jechać, zresztą mosty już były niepewne.

Tak samo rozmyślał mój przyjaciel Ks. Dziewanowski, jakby się dostać do Warszawy. Stanęliśmy na szosie przed plebanią i obserwowaliśmy uchodźców, którzy w rozmaity sposób uciekali. Wielu było takich, co na ręcznym wózku ciągnęli sami swoje mienie. Wielu też pytało się o drogę. Przeważnie ci, co jechali samochodami. Wtedy próbowaliśmy nawiązać rozmowę, czy by nie mogli zabrać dwóch księży. Trafiło się, że jeden samochód, aczkolwiek bardzo pełny, ale jeszcze jednego księdza mógł zabrać. Pojechał Ks. Dziewanowski. Po dwóch godzinach, już w nocy, udało się i neoprezbiterowi [s. 179] zabrać się na otwarty, ciężarowy samochód. Ogromnie się tym martwiłem, bo noc była chłodna, a Ks. Pawłowski był lekko ubrany. Ale Bogu dzięki dojechał szczęśliwie.

Radio zaraz pierwszego dnia podało przemówienie Prezydenta Mościckiego o rozpoczęciu przez Niemcy wojny. Zebrał się też sejm i rozpoczęły się mowy. Nie mieli nic innego do rady, tylko powtarzać jeden po drugim: "nauczył nas marszałek Piłsudski, jak zwyciężać mamy, a więc zwyciężymy" Dopokąd Niemcy nie przzerwali nam światła z Włocławka, coś do 7 września [1939], słuchaliśmy radia. Ale Boże się pożał takich wieści. Właściwie z placu boju nic nie podawano. Dodawano niby ducha narodowi, ale bardzo blado. A głoszone takie bzdury strategiczno - polityczne, że od razu wiadomo było, jak na frontach idzie. Kutno ma smutną sławę, bo znów pułkownik z Kutna Umiastowski, wstawił się swoimi [s. 180] mowami przez radio. Taki pan zamiast iść na front, plótł trzy po trzy, jak to ludność cywilna ma zatrzymać wroga. Kiedy wojsko nasze, mówił, będzie musiało się cofnąć, trzeba dzwonić w dzwony, zwołać ludność miejscową. Kopać rowy na poprzek szosy czy drogi i nad tymi rowami stawiać barykady. Gdyby nie było materiału pod ręką, to rozbierać budynki we wsi i z tego robić barykady. Postawić na straży młodych chłopców na rowerach, "żeby, gdy tank niemiecki wpadnie do rowu, chłopcy prędko mogli dać znać naszemu wojsku o tym tanku. Przed rowem kłaść brony żelazne do góry zębami"

Tę mowę słyszałem na własne uszy, a spikerka po trzykroć potem powtarzała. Podobno w jakiejś wsi postuchano się tej rady, co do położenia bron żelaznych. Niemcom nic się nie stało, ale za to całą wieś zrównano z ziemią, a ludność wycięto co do jednego. [s. 181]

Pozbawieni gazet, byliśmy zdani na fałszywe wieści, jakie podawało radio, a przeważnie na mowy Umiastowskiego, bo codziennie miał coś do powiedzenia. A oto znów próbka mądrości stratega: "Żołnierze! strzelajcie wolno, bardzo wolno. Ostatnią kulę zostawcie dla siebie, aby się żywym nie oddać" A nasi żołnierze podobno chcieli strzelać prędko i celnie, tylko ich wstrzymywano, że to jeszcze nie czas. Toteż dziewiątego dnia Niemcy już stali pod murami Warszawy, a Warszawa płonęła. Czwartego września, w poniedziałek, bardzo rano był na plebanii Kardynał Hlond. Jechał do Warszawy samochodem wojewody poznańskiego. Towarzyszył Mu kapelan i dwóch policjantów. Jeden z nich był szoferem. Zjedli śniadanie, odpoczęli i ruszyli dalej. Gdy się Prymasa pytałem o sytuację, pocieszał nas, że do nas Niemcy nie dojdą. Sam widział wielkie umocnienia nad Wartą i wielką liczbę naszych [s. 182] wojsk. Nie wiem, czy to mówił szczerze, czy tylko, aby nas pocieszyć. Mam wrażenie, że się trochę jeszcze łudził, nie wiedząc o tym, że nasze plany wojenne są w rękach Niemców, którzy też wcale na tę linię obronną nie poszli. Stąd ta późniejsza bitwa o Kutno, kiedy już wojska niemieckie były pod Warszawą.

W godzinę po wyjeździe Prymasa, nadjechał, też samochodem, ks. Mędlewski, poprzedni kapelan Prymasa. Mówił, że Ks. Kardynał Hlond musiał wyjechać na wyraźne życzenie rządu, w obawie, aby potem nie stał się cennym zakładnikiem u Niemców. Powstały bowiem głosy potem, czy dobrze zrobił Prymas, że opuścił diecezję. Zapewne było mniemanie, że wojna będzie krótka i że nie dojdzie do poddania Warszawy. Później już nie czas było zmieniać postanowienia, skoro nasz rząd sam, zaraz w pierwszych dniach, uciekł za granicę [s. 183].

Tego samego dnia w południe przyjechali Ks. Kowalski, rektor Seminarium poznańskiego i Ks. Wierzbicki, prokurator tegoż Seminarium. Jechali do Łodzi, aby tam z polecenia Kardynała, zorganizować Seminarium poznańskie. Klerycy szli pieszo i w parę dni też tutaj wstąpili. Ale kiedy byli tu klerycy, już było wiadomo, że Łódź jest zagrożona, a bodaj czy nie w rękach Niemców. Oto rachuby ludzkie, w tej błyskawicznej wojnie. Całe kolumny uchodźców, bez przerwy dążyły w stronę Warszawy. Ale rychło zrobił się zator, bo czoło tej kolumny musiało stanąć w Łowiczu, względnie w Sochaczewie. Najprzykrzej było patrzeć na małe zbiedzone dzieci, które pogubiły swoich rodziców, bo albo zostali zabici, albo się gdzieś w tym chaosie zabłąkali. Niemniej przykro było odpowiadać na pytania młodych chłopców, którzy z papierami powołania do wojska, dopytywali się, którędy mogą się dostać do punktów werbunkowych. Niestety, nie tylko [s. 184] biur werbunkowych, ale i wojska naszego tu nie widzieliśmy. Czasem przemaszerował jakiś oddział, ale to już wyglądało na ucieczkę i to źle zorganizowaną.

Wieziono np. pontony. Stanęli przy plebanii i debatowali, czy dalej jechać. Przecież tu takiej rzeki nie ma, aby ten sprzęt był potrzebny. Wreszcie pojechali i stanęli na dłużej w Kaszewach. Pokazało się, że już byli okrążeni. Potem szła nasza artyler-

ria w odwrocie, a kawaleria ochraniała tyły. Smutny to był widok. Tym więcej smutniejszy, że już wiedzieliśmy, iż nie na ratunek Warszawy szli, lecz na własną zgubę pod Sochaczewem. Mówiono bowiem wyraźnie, że są okrążeni i do Warszawy już nie dojdą. 6 września była krwawa środa. Bombowce cały dzień zabijały ludzi cywilnych, bo wojska nie było. Palily domy w Gnojnie, Zakład XX. Salezjanów, gdzie był skład amunicji zbombardowano i spalono [s. 185] pięć budynków. Stało się to wskutek nieroztropności naszych władz wojskowych. Bo kto składa amunicję w tak znacznym miejscu? Przy tym pełno szpiegów. Amunicję wożono koleją, bo jest do Gnojna żeberko kolejowe. W ten sposób stracono wszystką amunicję, jaka była przeznaczona na tę okolicę i narażono na zniszczenie budynków.

Szczęśliwym trafem ocalał pałac (niedokończony jeszcze), gdzie mieszka do dziś Ks. Dyrektor i gdzie jest kaplica, stodoła murowana, dwie obory murowane, gdzie miały być warsztaty po przeróbce i kuźnia, zostały doszczętnie spalone. Nawet mury rozrzucone przez wybuchy bomb, jakie tam były złożone. Straty, około 30.000 zł. Instytucja handlowa "Wspólna Praca", olbrzymie składy desek, papy, smoły i innych towarów, palily się przez parę dni. Chodziło o bombardowanie kolei i mostu [s. 186] kolejowego, a naprawdę trafiono gdzie indziej. Most został nienaruszony, a spalono budynek w Łąkoszynie za kościołem.

A bywało, że bombowcom nikt nie przeszkadzał. Ani nie strzelano do nich, ani naszych pościgowców nie było. Byliśmy zdani na łaskę i niełaskę. I oto uczucie opuszczenia i bezsilności, było niezmiernie przykre. Jednego dnia około 2 po południu wezwano do szpitala, do rannych. Trzeba było iść, choć bombowce krążyły. Na ogół nie opuszczałem w takich razach plebanii, choć inni uciekali. Bo w razie zapalenia domu, lepiej być na miejscu, aby coś wyratować. Szczególnie, gdy się ma matkę przykutą chorobą do łoża w wieku lat 90. Ale teraz trzeba było iść. Jeszcze wszystkich nie wypowiedzieliśmy, aż tu nalot jakby na szpital, bo szyby z okien się posypały. Bomby upadły do ogrodu szpitalnego [s. 187]. Kto mógł się ruszyć, uciekał w stronę kaplicy, gdzie jest wewnętrzny korytarz. Gdyby tam bomba trafiła byłaby straszna masakra, bo bardzo wiele ludzi się tam zebrało.

Byłem niespokojny o dom, więc ledwie cokolwiek się uspokoiło, wyszedłem ku domowi. Aż tu w przejściu uderzyła bomba w fabrykę "Kraj" Robotnicy pożar ugasilili. Druga paląca, do ogrodu plebańskiego. Poszedłem do pokoju Matki. Dobrze, że nie stałem w oknie, lecz usiadłem, ale naprzeciw okna. Bomba upadła blisko plebanii. Odlamki bomby wpadły do pokoju nad moją głową i poharatały ścianę. W pokoju zrobiło się ciemno od dymu, wapna i kurzu. Szczęśliwie, że nikt z ludzi nie został raniony, bo ułamki bomby poszły [do] góry. Druga bomba wbiła szyby w stołowym pokoju i w pokoju Ks. Wikarego. [s. 188] Wtedy w ogrodzie plebańskim upadło pięć bomb, w tym jedna zapalająca.

Zaraz za szosą, przy budującym się Domu Katolickim upadło 4 bomby, w tym jedna zapalająca. Na rynku przy kościele trzy. Szyby w kościele wypadły. W plebanii niemal wszystkie szyby od strony ogrodu i część dachu zniszczone. Żadnego wojska wtedy w całym Kutnie nie było. Ulice były puste. A jednak usitowano kościół zbombardować, a może szpital, choć powiewała flaga czerwonego Krzyża.

Pewnego dnia rano, kiedy odprawiałem Mszę św., zaczęły bomby spadać blisko kościoła. Zrobił się w kościele straszny popłoch, bo zdawało się, że lada chwila kościół się zawali. Od tego dnia przyspieszyliśmy o godzinę odprawianie nabożeństwa. Dlatego starałem się zawsze być w pobliżu kościoła i często w czasie nalotów partryłem na kościół, czy się nie pali, aby w porę uratować Najświętszy Sakrament i co [s. 189] z aparatów kościelnych. Nie wyniosłem nic przedtem, bo wszędzie było niebezpiecznie. Zdarzyło się raz, że trzeba było dać ślub. Młodzi wyspiewali się, ale zaraz z kościoła uciekli. Była godzina 8 rano. Po chwili poszli przyjmując Komunię św. Ale też zaraz musieli wyjść z kościoła. A potem to już między plebanią i kościołem były peregrynacje po kilka razy. Aż dopiero o godz. 12 w południe można było ślubu udzielić.

Druga niedziela wojny, 10 września [1939] niemniej była krwawa jak pierwsza. Byliśmy już co prawda nieco przyzwyczajeni do warkotu bombowców i ludzie już się kryli przed bombami, gdzie mogli. Ale niestety, okazało się, że nie było schronienia. Od godz. 9 rano trwały wybuchy. Sumy nie było, bo nie tylko bomby, ale z karabinu maszynowego strzelano z samolotu. Zabito człowieka przed kościołem. O godz. 11 rzucono bomby na aptekę Chacińskiego. Bomba trafiła w sień domu, gdzie [s. 190] skryło się kilkanaście osób. Kilka osób zostało zabitych. Inne bomby upadły przed magistratem i starostwem. Magistrat zdemolowany już poprawiono. Starostwo do dziś jest w ruinie. Apteka zapaliła się i spłonęła wraz z innymi domami, razem cztery domy.

Około 2 po południu tego dnia, rano dano znać z Przytułku, że jest umierający żołnierz na czerwonkę. Poszedłem przez miasto i widziałem płonące domy, bez żadnego ratunku. Z powrotem szedłem inną drogą, przez Kościuszków do szosy Gostyńskiej. Nadleciał bombowiec. Układłem się w rowie pod krzakiem i tak nade mną przeleciał bardzo nisko, bo dział przeciwlotniczych już nie było w Kutnie. Wieczorem tej niedzieli przyszedł jakiś major z drugim oficerem i prosił o mieszkanie. Nie należeli oni do wojska czynnego na froncie, tylko mieli jakiś urząd, który sprawowali na niby, bo swój pułk już [s. 191] zgubili. Byli strasznie zdenerwowani, bo dotąd zatrzymali się w magistracie, gdzie bomby ich spłoszyły. Obaj oficerowie byli z rezerwy i zauważyłem, że mało się orientowali w całej sytuacji. Wieczorem był jakiś przemarsz naszych wojsk. Wstąpił do plebanii pułkownik Sokołowski, bo tak się przedstawił. Gdy zobaczył, że major chce tu mieszkać i założyć swoje biuro, odradził mu to ze względu na bezpieczeństwo kościoła. Niemcy ich tu zwęszą i będą walić bombami w plebanię, a dostanie się i kościołowi. Pułkownik ten zaraz pojechał. Prosiłem majora, aby się wynieśli gdzie indziej, co mi też obiecał. Tę noc tylko mieli przenocować. Ale zainstalowali swoje biuro w sali tercjarskiej i ruszyć się nie chcieli.

Mieliśmy wielką liczbę uchodźców z Poznania. Między nimi emerytowany pułkownik z żoną i córką. Nie mieli się gdzie podziąć. Otóż ten pułkownik postarał się, że biuro [s. 192] wojskowe przenieśli gdzie indziej, a uchodźcy do sali się wprowadzili. Major miał do mnie urazę za to i zaraz chciał pokazać swoją władzę. W poniedziałek po południu przysłał czterech żołnierzy z nakazem, aby im otworzyć kościół, bo jeden z tych żołnierzy ma wejść na wieżę jako obserwator samolotów niemieckich.

Ponieważ syrena na magistracie była nieczynna, bo elektryczności nie było, więc ten żołnierz, gdy ujrzy samolot, ma dać znać telefonem na dół - a na dole dwaj żołnierze mają bić młotkiem w blachę, którą już wraz ze słupkiem przynieśli.

Na to się w żaden sposób zgodzić nie mogłem. Najprzód chybiało to celu, bo wystarczyło usłyszeć warkot samolotu, żeby się ukryć, a po wtóre szpiedzy zdradzą obserwatora i zbombardują mi kościół. Kapral przystany przez majora upierał się, że rozkaz musi wypełnić [s. 193], dziwiąc się, że jestem tak niepatriotyczny, bo przecież kościoły służą zwykle jako ochrona dla ludności. Odpowiedziałem mu, żeby nie gadał głupstw, za co się obraził i poszedł na skargę do majora. Nikt jednak więcej nie przyszedł, bo zresztą tego samego dnia Kutno opuścili.

Jeden z oficerów siedział na plebanii drżąc ze strachu, aż nieprzyjemnie było patrzeć. Zaraz w pierwszych dniach wojny policja nasza prowadziła przez Kutno może z tysiąc Niemców - kolonistów. Jeden z tych Niemców zachorował, odłączył się od idących i leżał koło wikariatki na polu plebańskim. Tego samego dnia umarł. Zwróciłem się do magistratu, żeby go pochowali. Ale w magistracie bałagan straszny. Burmistrz Filipowicz uciekł, telefon nieczynny. Zwróciłem się do policji, ta sama historia. Rozstrój ostateczny. Poszedłem osobiście do magistratu i uprosiłem tych, co się tam jeszcze znajdowali z urzędników. [s. 194] Posłali robotników i ci zagrzebali Niemca w kupie śmieci, jakie zmieciono z ulicy. Na to nie mogłem się zgodzić. Dałem robotnikom 8 zł. i w nocy, już teraz w trumnie, przenieśli zwłoki na cmentarz ewangelicki.

Nie wiedziałem wtedy, to czyniąc, iż w ten sposób uratowałem swe życie. Bo gdy Niemcy weszli zaczęło się śledztwo przez Gestapo. Byli u mnie trzy razy. Każdego, kto był zamieszany w tę sprawę, aresztowali. Na podstawie tylko, że ktoś zeznał, jakoby niektórzy odnosili się do tego chorego Niemca wrogo. Naszych uchodźców szło tysiące w ostatecznej poniewierce. Umierali albo z wycieńczenia albo od bomb. Staraliśmy się też przychodzić im z pomocą. Często całe podwórze było w nocy zawalone. Pełna też plebania księży. Kilku już tu zostało aż do przyścia Niemców. Potem wrócili do swoich parafii. Ale zdaje się, że byli internowani. [s. 195]

Powstały w mieście szpitale. A więc oprócz urzędowego, który wojskowi opuścili i zostały same Szarytki i doktor Perkowicz, jeszcze utworzono w Sierocińcu, w Przytułku, w Gimnazjum, w Koszarach i we wszystkich szkołach. Rannych mieliśmy przeszło sześć tysięcy. Nim Niemcy weszli do Kutna pochowaliśmy zabitych trzy tysiące. Ponieważ cmentarz jest już prawie zachowany, więc skierowałem grzebanie na dawnym wojskowym za cmentarzem ewangelickim. Kopano rów głęboki, długi i tak w nocy układano nieboszczyków bez trumien, stopniowo zasypując, w miarę przybywania. Wojskowych staraliśmy się grzebać na naszym cmentarzu. Ale tych było mało, zaledwie kilku. Reszta sami cywilni z rozmaitych stron. Bo zabici Kutnowianie grzebani byli przez rodzinę i spisywane były akty. Tamtych, nie wiemy, kto pochowany i aktów nie było [s. 196] sposobu pisać. Często nie było danych, jak spisać, a więcej jeszcze nie było kiedy. Setkami chowano w nocy i nikt się o to nie troszczył, kto pochowany.

Najwięcej bolało to, że ranni umierali bez żadnej pomocy lekarskiej i środków opatrunkowych. Szpital tutejszy wcale nie był przygotowany, ani zaopatrzone w środki opatrunkowe. Dopiero na gwałt coś tam zrobiono, co mogło być dla jednego tysiąca rannych, a tu było sześć tysięcy i zawsze przybywało. Nie było na mieście żadnego komitetu obywatelskiego dla uchodźców i bląkających się żołnierzy naszych. Trzeba było prywatnie ich wspomagać, ale co można było zrobić na taką liczbę? Proboszcz z Łąkoszyna uciekł. Skrył się gdzieś na drugiej parafii przed bombami. A przecież był pomocniczym kapelanem wojskowym. Upadaliśmy ze zmęczenia, chodząc od szpitala do szpitala. [s. 197]

Wreszcie w szpitalu właściwym obsadziłem jednego księdza z poznańskiego. Po-tem trafił się drugi i zamieszkał wraz z rannymi w Koszarach. Było już nam trochę lżej; ale jeszcze trzeba było mieć pieczę nad sierocińcem i wszystkimi szkołami.

Nadszedł trzeci piątek wojny, okropny 15 września [1939]. Bitwa toczyła się naokoło Kutna. Noc z piątku na sobotę była straszna. Całą noc, nie śpiąc, chodziliśmy z kąta w kąt po plebanii, bo nie wiadomo, gdzie uderzy granat. Strzelano z armat ze wszystkich stron. Kule świszczały i ten świst stał się niesamowity w swej grozie, wśród ciemnej nocy. Miasto było jak wymarłe, cisza złowróżbna, bo nie było wiadomo, z której strony wpadnie wojsko i jakie. Tylko wybuchy granatów przerywały tę ciszę, aż wreszcie nad ranem ucichło zupełnie. Gdy się rozwidniło, słychać było jeszcze grzmoty armat, ale już w oddaleniu ku Łowiczowi i kule na miasto już nie padały. O godz. 9 rano, w sobotę, 16 września [1939], wkroczyło do miasta [s. 198] wojsko niemieckie. Byliśmy tak wyczerpani fizycznie i duchowo, że tę tragiczną chwilę przyjęliśmy z pewną obojętnością.

O godz. 11 rano przyszedł żołnierz, żeby nas zabrać na zakładników. Było nas trzech księży i dwóch kleryków. Więc ja, Ks. Oziębłowski i Ks. Kaczorowski z Poznania. Kleryk z naszego Seminarium Bogdan Szymański i kleryk z gnieźnieńskiego Seminarium Jan Krycki. Padał deszcz. Gdy nas prowadzono na drugi rynek, jakiś żołdak popychał mnie, a raczej szturgał rowerem i coś wrzeszczał. Dopiero ten żołnierz, co nas prowadził obronił mnie. Na rynku wśród deszczu staliśmy zgromadzeni wraz z innymi, w tym było wielu Żydów. Naprzeciw nas ustawiono karabiny maszynowe. Staliśmy przeszło godzinę. Potem zaprowadzono nas do rozbitego magistratu i w gabinecie burmistrza strzegło nas dwóch żołnierzy. Wieczorem zamknięto nas na klucz i żołnierze odeszli [s. 199]

Okna były wybite. Wejrzałem na podwórze i nikogo z wojskowych nie ujrzałem. Kręcili się nasi strażacy. Prosiłem, ażeby zameldowali jakiemu oficerowi, że tu siedzimy od południa i nie wiemy za co. Strażak odpowiedział, że tu nie ma żadnego oficera. Wtedy zaproponowałem strażakowi, aby nam otworzył drzwi. Co też zrobił i poszliśmy do domu.

W domu był straszny lament, bo nie wiadano, co z nami zrobią. Gdyśmy siedzieli w magistracie, to żołnierze rabowali w plebanii. Wieczorem przyszedł sztab pułku na nocleg. Zjedliśmy kolację wraz z obiadem i ja wcale nie pokazywałem się już Niemcom. Ks. Kaczorowski znając niemiecki język z nimi rozmawiał. Pułkownik

zalił się do niego, że gospodarz domu nie przywitał go wcale, co mu się jeszcze dotąd nie trafiło. Myślałem jednak, że lepiej się nie pokazywać, bo obtudnym być nie umiem. A przecież wroga [s. 200] trudno witać "hilari vultu" Odtąd zaczęła się nasza niewola, jakże ciężka w swym ogromie rozmaitych udręczeń.

Ponieważ zapisywałem do Kroniki Parafialnej¹³ wydarzenia wojenne, więc teraz będę tu tylko przepisywał z tej Kroniki. I tak:

18 września [1939] - poniedziałek. Wczoraj o godz. 6 wieczorem przyprowadzili naszych jeńców cywilnych, zebranych z różnych okolic. Kazali otworzyć kościół, choć prosiliśmy, że lepiej byłoby w teatrze lub kinie. Nazłócił się na mnie straszny Niemiec i około pięćset osób (sami mężczyźni) wprowadzono na noc do kościoła. Dziś rano ledwie nam pozwolono odprawić Msze św., ale nikogo z miasta do kościoła nie puszczono. Kilku jeńców wyspowiadaliśmy. Kupiliśmy im 14 bochenków chleba, bo więcej nie można było dostać. Część jeńców zwolniono, lecz na ich miejsce przyprowadzają nowych. Ma to być kara, że w niektórych wioskach jakoby strzelano do żołnierzy niemieckich [s. 201]. A to strzelali nasi żołnierze i potem uciekli. Dziś oddaliśmy radio, gdyż za nieoddanie broni i radia grozi śmierć i zburzenie domu.

19 września [1939]. Wczoraj przyprowadzono jeszcze więcej więźniów cywilnych. Obliczają około trzech tysięcy. Wyniosłem Sanctissimum do zakrystii. Msze św. odprawialiśmy w zakrystii, bo do kościoła wstęp wzbroniony. Hauptmann mówił Ks. Kaczorowskiemu, że bolszewicy wkroczyli na całej długości granicy Polski. Uważają się już z Niemcami o wspólność granicy, a tym samym całkowity rozbiór Polski. Od rządu polskiego miał wyjechać parlamentariusz do Berlina prosić o pokój. Lecz Hitler powiedział, że "za późno" Z Polską stanie się to samo, co z Czechosłowacją. Anglia i Francja jakoby nic więcej nie robią i rychło dojdzie z nimi do porozumienia. Te wiadomości tak mnie przygnębiły, że choć mam serce zdrowe - odczułem jakby mi chciało pęknąć. Może się martwię jeszcze niepotrzebnie, ale gdy widzi się tę ich potęgę [s. 202] i bezwzględność, prawie okrucieństwo w stosunku do biednej ludności, a znikąd ratunku, ani żadnej dobrej wieści - to człowiek staje się jak to dziecko opuszczone, bezradny i zgnębiony do ostatnich prawie sił. Pozostaje jedynie ufność w Opatrzność Bożą i pomodliwszy się zaczyna człowiek żyć jakby na nowo nadzieją, że przecież chyba Pan Bóg nas nie opuści.

Nad wieczorem wczoraj zaczęli pędzić w stronę Poznania. Prawie wszystkie czółgi, jakie szły w sobotę w stronę Warszawy - wracają z powrotem bardzo szybko. Domyślają się, że może front stworzył się nowy ku Poznaniowi i to z pomocą Anglii. Wody do studni brakuje, a z przeciwka, od Domu Katolickiego, gdzie jest wody pod dostatkiem i lepszej, nosić nie pozwalają. Nie puszczają też nikogo do miasta. Zakwaterowało się znów 6 oficerów w salonie i w pokoju Ks. Oziębłowskiego. W kancelarii siedzą żołnierze, którzy pilnują jeńców w kościele.

¹³ Kronika, o której mowa, zaginęła.

21 września [1939]. We wtorek wieczór zabrano jeńców z kościoła [s. 203]. Około 300 wywieziono do Niemiec, resztę rozpuszczono. Kościół okropnie zanieczyszczony. Cały dzień wczoraj myto. Dziś odprawialiśmy Msze św. w kościele. Ks. Kaczorowski i kleryk Krycki wyjechali do Poznania. Widziałem wczoraj jak prowadzili Niemcy bardzo dużo jeńców, naszych żołnierzy. Podobno pod Warszawą cała nasza armia rozbita. Mówią, że to jest koniec Polski. Mój Boże, znikąd pocieszenia. Nic nie wiemy, co się naprawdę dzieje. Rannych naszych żołnierzy i swoich przywożą do Kutna. Tak się tu zadomiał jakby na zawsze mieli tu zostać. Na plebanii wojsko, dom tercjarski cały zajęty przez nich. Organista musiał się wyprowadzić. Nawet starą Szymańską, która mieszka w suterenie, wyrzucili. Ks. Pykosz, dyrektor z Gnojna przybył wczoraj wieczorem, bo całe Gnojno zajęte i jemu kazano się wynosić. Będzie tu mieszkał, dopokąd stamtąd nie wyjdą. Pochmurno i zimno. Biedni uchodźcy wracają do swoich domów. Wielu nie zostanie już swego domu. Na przejazd dają przepustki. [s. 204] Mnie i Ks. Oziębłowskiemu też dano, żebyśmy mogli chodzić do szpitali. Okropne kradzieże. Na polu kopią ludzie kartofle i nie można im nic powiedzieć. Nic dziwnego, brak pożywienia.

22 września [1939]. Czwarty piątek wielkiej wojny. Tej nocy powtórnie wprowadzono jeńców do kościoła. Msze św. odprawiliśmy w zakrystii, gdzie też przebywa Pan Jezus. Bardzo wielką ilość prowadzą naszych jeńców żołnierzy. Ktoś słuchał radia, jakby mówiła Warszawa II. Mówi, że katedra rozbita. Zamek Królewski również. Bolszewicy weszli do Polski. Na dwa fronty nie mamy rady. Zresztą armia nasza prawie rozbita. Nadzieja w Bogu i państwach Zachodnich, które przecież powinny dotrzymać swoich obietnic. Żołnierzy naszych rannych wożą bez ustanku. Widać jeszcze się biją, Warszawa się broni.

23 września [1939], sobota. Deszcz pada. Bosze nie w humorze. Choć moi goście rano pośpiewywali [s. 205] sobie. Ale około południa jeden z ordynansów wrócił i powiedział, że wszyscy z powrotem tu będą. Żadnych wiadomości, co się dzieje na polu walki. Co prawda teraz nie ma pola walki - jedno pobojuwisko na połowie Polski. Podobno od dziś urzęduje landrat. A więc rządy cywilne. W prowizorycznych szpitalach leży przeszło 6000 naszych żołnierzy. Często bez dostatecznej opieki, bo nie można dać rady wszystkiemu, skoro nie było nic przygotowane.

24 września [1939] - Czwarta niedziela strasznej wojny. Dziś nabożeństwo odbyło się normalnie. Było nawet więcej ludzi niż w zeszłą niedzielę. Wczoraj z pewnym kapitanem, miałem przykrą rozmowę. Ślązak spod Bytomia, prawdopodobnie Polak, tylko całkiem zniemczony. Mówił, że ma brata rodzzonego, który jest oficerem w polskim wojsku i uważa się za Polaka. Mówił, że Hitler dał naszemu rządowi ultimatum do 12 godz. tej nocy, aby Warszawa się poddała. W przeciwnym razie zbombardują miasto do fundamentów.

[s. 206] Bolszewicy weszli do nas, bo ich nikt nie zatrzymał i nikt się z nimi obecnie nie bije. Niemcy chcą się z nimi Polską podzielić i gospodarować na otrzymanej części - ponieważ - tak ciągnął ten kapitan, - my nie potrafimy wyzyskać ziemi, jaką posiadamy. Że ich jest 130 osób na jeden kilometr kw., a u nas ma być tylko 30 osób. Więc im się należy chleb, jaki mogą mieć z naszej ziemi. Na moją replikę, że skoro

jest im tak ciasno, to po co sprowadzają od nas robotników. Odpowiedział, że oni wyrabiają maszyny i w ogóle żyją życiem miejskim, podczas gdy my mamy pracować na roli na chleb dla nich im potrzebny. Chodziło mi o to, aby choć cokolwiek uświadomić tego Niemca, jak wielce są dla nas niesprawiedliwi. My w ciągu całej swej historii na nikogo nie napadaliśmy, raczej broniliśmy od pohańców, jak Sobieski pod Wiedniem [s. 207], jak w 1920 r. od bolszewików całą Europę. Teraz też tylko się bronimy, bo to jest prawo każdego człowieka.

Ale Niemiec tak był zażarty, że wcale tych racji nie uznawał. Wierzy w swego Hitlera. Mówię mu: cała ta wojna jest wielce niesprawiedliwa. Chcecie przestrzeni życiowej – to macie prawo walczyć o kolonie. A kiedy Anglicy nie chcą dać, odpowiedział. Więc my mamy jako stabsi paść ofiarą. Zresztą, to nie jest wojna, jeno rzeź niewinnych ludzi. Nim tu weszliście, już pochowaliśmy trzy tysiące ludzi zabitych, przeważnie kobiet i dzieci. Takie zbrodnie nie mogą prowadzić narodów do szczęścia. Na to mi pogroził, abym był ostrożniejszy w mowie. To jest prywatna rozmowa odrzekłem, wywołana przez pana. Poszedł potem do landrata i mnie oskarżył. Landrat powiedział to Ks. niemieckiemu, który mnie ostrzegł, abym był ostrożny. [s. 208]

25 września [1939]. Dziś św. Ładysława z Gielniowa, patrona m. Warszawy. Dziś teżznaczony termin przez Niemców zajęcia Warszawy. Wczoraj podczas sumy, wojsko przechodząc koło kościoła śpiewało tak głośno, że przeszkadzało w nabożeństwie. Czytałem na ambonie Ewangelię św. podniesionym głosem, żeby wierni mogli słyszeć poprzez śpiew, jaki się na ulicy rozlegał. Na obiedzie dziś był kapelan wojskowy, jezuita. Rozmawialiśmy po włosku. Był w Rzymie przez cztery lata na studiach. Przestrzegał mnie, abym był ostrożny w rozmowach, bo w Komendzie już o mnie mówią. Prawdopodobnie ten kapitan w sobotę, to był prowokator. Mówił mi ten Ksiądz, że dziś Warszawa się podda. Reszta naszych wojsk, wraz ze Śmigłym, przeszli do Rumunii, aby stamtąd dostać się do Francji. Ameryka pomaga, dając sprzęt wojenny. Bolszewicy kłócą się z Niemcami o naftę w Borystawiu. [s. 209] W Rumunii zabito prezesa ministrów. Pomawiają o to Niemców. Jest tu kapelan wojskowy Polak, wzięty do niewoli. Był trochę ranny. Pochodzi ze Lwowa, nazywa się Józef Kozłowski. Dałem mu utensylia do Mszy św., którą będzie odprawiał w Ubezpieczalni dla naszych żołnierzy rannych i w Przytułku.

29 września [1939]. Moje imieniny. Mój Boże, jakże smutne, aż do głębi serca. Dali światło, a więc radio czynne. Wczoraj wieczór podano, że Warszawa wzięta. Z Londynu podano po polsku, że Warszawa płonie i cała w gruzach. Ranni leżą na ulicy, bo wszystkie szpitale rozbite lub spalone. O wojsku naszym ani słowa, czy gdzie jest, czy istnieje. Na zachodnim froncie też głucho. Francja działa powoli, a Anglia wysyła swoje samoloty z ulotkami. Tymczasem Niemcy nadają z Warszawy I przez radio rozmaite pogadanki na temat gospodarki rolnej. Mówią: "w byłym państwie polskim", to lub [s. 210] tamto było zrobione. Oczywiście zawsze źle, bo dopiero oni mają wszystko dobrze zrobić.

30 września [1939], sobota. Wczoraj wieczorem nadano z Londynu po polsku przez radio takie wiadomości. Warszawa wskutek braku amunicji i żywności musiała kapitulować. Przez trzy dni będzie wymarsz wojska polskiego z Warszawy, po złoże-

niu broni, a w poniedziałek 2 października wejdą Niemcy. Na zachodnim froncie idzie powoli, ponieważ są pozakładane miny. Sowiety okupowały Estonię i w ten sposób zapewniły sobie na Bałtyku bazy dla okrętów i lotnictwa. Ribbentrop siedzi w Moskwie i traktuje z Sowietami o wspólną granicę i podział Polski. Podobno sekretarz gminy Sojki, oczko w głowie starosty Pelczyńskiego, przyszedł do landrata w Kutnie z zapytaniem, czy ma już pozrywać orły polskie z tablic urzędowych i pieczęci. Landrat miał odpowiedzieć, że jeszcze nie. [s. 211] Dziś rano Niemcy zabrali mi jednego konia. Teraz już będą takie niespodzianki, aż do ostatecznego wyczerpania. Zabierają po wsiach krowy, zboże, drób i na wszystko dają tylko kwitki. Zima idzie, a tu w mieście nie ma wcale węgla.

1 października [1939] niedziela. Wczorajsze radio z Londynu podało, że Mościcki zrzekł się swego urzędu. Prezydentem jest Raczkiewicz, ministrem spraw zagranicznych August Zaleski, wodzem gen. Sikorski. Za późno to wszystko robią. Dziś w kościele w procesji z Najświętszym Sakramentem byli Niemcy. Wielu stało w czapkach. Zakrystian Roman wrócił. Mówił, że 75 % Warszawy w gruzach. Wielu księży zabitych.

2 października [1939]. Dziś SS. Aniołów Stróżów. Gdy się dzień spokojnie przeżyje - Bogu dzięki. Niemcy, choćby i katolicy, zatracają w sobie ludzkość przez jakiś uraz psychiczny o wyższości swej rasy. To się daje wyczuć w rozmowie z nimi i w ich postępowaniu. Wczoraj na przykład [s. 212] podczas procesji z Przenajświętszym Sakramentem, było kilku Niemców katolików i zachowali się dobrze. Ale obok nich stali ich kamraci, przypuszczać należy, że nie katolicy, którzy w czapkach palili cygary i jedli gruszki. My nie mogliśmy im zwrócić uwagi, ale Niemcy katolicy powinni byli temu zapobiec, jak to nasi katolicy zrobiliby w podobnym wypadku. Zawiazaliśmy wczoraj komitet obywatelski do pomocy jeńcom, których w Kutnie jest 6000 i rannym żołnierzom naszym, których jest również tyle. Ozdrowieńców Niemcy wywożą do Rzeszy.

4 października [1939]. Świętego Franciszka Serafickiego, tego Biedaczyny, pełnego miłości Bożej i bliźniego. Jakże dziś dalecy są ludzie od tego wzoru i miłości. Nawet najlepsi powiadają, że przeklinają najeźdźców, bo już nie mają innego sposobu ulżenia swej doli. Bo też Niemcy starają się na wszelki sposób, żeby ich nienawidzić. W gazetach swoich przedstawiają fotografie okropnego spustoszenia [s. 213] m. Warszawy. A pod fotografią napis: "Oto skutki bezmyślnego oporu ludności cywilnej" Albo zwrócenie się do Anglii i Francji o pokój, bo wszystko już jest w porządku. Jeśli jednak państwa te nie przyjmą pokoju, to będą miały na sumieniu przelew krwi. Tak jakby dotąd nic się nie stało, jakby nie było straszego przelewu krwi w Polsce. Taka obłuda i złość wyprowadza nawet najlepszego człowieka z równowagi ducha. Państwa zachodnie postępują jednak bardzo delikatnie względem Niemiec. Wczorajsze radio z Londynu podało, że wiele angielskich samolotów krążyło nad Berlinem i wróciły wszystkie całe. Ale bo też zamiast bomb - rzucały tylko ulotki. Z tego sobie Niemcy drwią, bo tylko siła im imponuje. Przyjdzie może i do bomb, ale sądzę, że im prędzej, tym lepiej byłoby dla sprawy, bo wojna prędzej by się skończyła.

5 października [1939]. Tej nocy nocowało 4 oficerów. A na polu plebańskim, gdzie jest zasiana koniczyna [s. 214], stanęło około 20 ciężkich samochodów tanków, armat i wiele wojska. Koniczyna zniszczona i ogrodzenie w wielu miejscach przezwane. Przy Domu Katolickim prowadzimy budowę. Obecnie robią beton nad holem i balustradę na galerii oraz ścianę frontową wraz z oknem okrągłym. Dziś dopiero rozpoczynam siewy. Bogu tylko wiadomo, kto będzie zbierał.

7 października [1939]. Wczoraj Hitler mówił w Reichstagu blisko dwie godziny. W pierwszej części mówił o zajęciu Polski i naigrawał się z naszego dowództwa i rządu; usprawiedliwiał spustoszenie, szczególnie Warszawy, że to z winy Polaków. Polska nie ma racji bytu, bo to była mieszanina różnych narodowości. Nikt nie ma prawa stanowić o Polsce, tylko on i sowiety. Toczą się układy między Niemcami i Rosją, a wtedy nastąpi ostateczne rozebranie Polski i w ten sposób nastąpi pokój, tak bardzo upragniony. W drugiej części mówił o konieczności pokoju [s. 215], a kto by się przeciwstawił będzie zdruzgotany i tym samym winien rozlewowi krwi. Mam na plebanii kilku księży proboszczów, którzy wracają z Warszawy do swoich parafii. Opowiadają o strasznym spustoszeniu, jakie widzieli w Warszawie. Wielu księży zabitych, wielu aresztowanych przez Niemców po wkroczeniu ich do Warszawy.

9 października [1939]. Landrat przystał do magistratu nakaz, aby pieczęcie urzędowe były bez orłów polskich. Dziś od wczesnego rana pędzą spod Warszawy w stronę Poznania całe kolumny armat i wszelkiego sprzętu wojennego na samochodach. Wiele wojska jedzie na motocyklach. Radio z Londynu podaje, że Niemcy przygotowują na zachodzie atak generalny.

11 października [1939]. Wczoraj śnieg z deszczem. Dziś już sam śnieg, przyprószył drzewa jeszcze liściaste i trwa, bo jest około zera ciepła. Tymczasem ludzie jeszcze nie pozasiewali. Na budowie Domu Katolickiego mamy jeszcze wiele robót betonowych. [s. 216] Kupiłem 100 toreb cementu i gdy się go nie wyrobi, to się zepsuje. Ludzie biedują, bo nie mają opatu, a obecne władze nie bardzo się tym przejmują. Radio warszawskie mówi, że "były rząd polski" oszukał Anglię i Francję, gdyż miał propozycję przez Niemcy oddania Gdańska już 24 października 1938 roku oraz drugi i trzeci raz w styczniu b. r. Zatem w marcu nie był zaskoczony, jak to mówi. A więc Niemcy są w zupełnym porządku. Jeśli Anglia nie była o tym powiadomiona, to obecnie powinna się czuć wolna od wszelkich zobowiązań. Jeśli zaś wiedziała, a mimo to trwa w swoim uporze - to będzie ukarana przez Niemcy. "Chi vivrà verrà"

16 października [1939]. Dziś ponownie zabrano radio. Sprawa się w ten sposób "pogorszyła", że premier angielski dał ostrą odprawę propozycjom Hitlera o pokój i wojna ma być prowadzona. Bolszewia konferuje z Finlandią, jak to już [s. 217] było z Estonią i Łotwą. Litwie oddano Wilno.

18 października [1939]. Zdaje się człowiekowi, że to przykry sen to wszystko, co się stało i co się jeszcze dzieje. Teraz nie czas o wszystkim pisać. Może będzie kiedy chwila sposobna. Każdy dzień teraz, to jakby darowany od Boga, że człowiek żyje. Każdej chwili mogą zaarrestować, jak to gdzie indziej robią. Zrabować mienie i to, co najpotrzebniejsze, jak pościel i ubranie.

3 listopada [1939]. Przed uroczystością Wszystkich Świętych, pewien parafianin poszedł do landrata z zawiadomieniem, że 1 listopada wychodzi z kościoła procesja na cmentarz grzebalny. Landrat "łaskawie" pozwolił, lecz żeby ta procesja odbyła się przed południem i poszła bocznymi uliczkami. Oczywiście, z takiego pozwolenia wcale byśmy nie korzystali. Ale z rana w sam dzień WW. Świętych przyszedł burmistrz (Polak) z papierem od landrata, że cofa swoje pozwolenie, bo "polski Żyd pobił w Łowiczu niemieckiego żołnierza". Zdawałoby się, że ich stać [s. 218] zabronić i koniec. Ale oskarżać Żyda i to jeszcze w Łowiczu - to szczyt uprzejmości względem nas. Odprawiliśmy procesję przez oba dni, tylko wewnątrz kościoła.

Wczoraj przyszedł Niemiec, inspektor pracy. Przyprowadził tłumacza, bo próżno by się fatygował. Chodziło o to, że budowa Domu Katolickiego idzie zbyt powolnie i że mało jest robotników. Powiedziałem, że na większe roboty nie ma funduszu, gdyż to, co było zostało w P.K.O. i dostać teraz nie można. Po wtóre, w przeddzień wybuchu wojny miało przyjść drzewo na dach i nie doszło. A więc nie ma materiału na dalszą robotę. Kazał pisać do landrata podanie, to drzewo będzie. Ale odpowiedziałem, iż się nie opłaci, bo zima już się zaczyna, no i na kupno blachy, to i landrat nic nie pomoże.

Nic nie wiadomo, co się na świecie dzieje. Chodzą rozmaite pogłoski, lecz nie ma co notować, bo mogą być zwykłe plotki. Musimy czekać [s. 219] na fakty.

11 listopada [1939]. Mamy i fakty, ale miejscowej natury. Wczoraj o godz. 10 rano zostałem aresztowany i wraz z Ks. Targońskim, który dopiero co wrócił z niewoli bolszewickiej, przewieziono nas do miejscowego więzienia. Tam zastaliśmy już uwięzionych, Ks. Dębińskiego ze Strzelca, Ks. Wojtkiewicza z Oporowa, Ks. Kowalewskiego ze Śleszyna, Ks. Łukomskiego z Pleckiej Dąbrowy i Ks. Pykosza, Salezjanina z Gnojna. Już samo zamknięcie wolnego człowieka przygnębia. Dochodzą do tego fizyczne niewygody, szczególnie w takim więzieniu, gdzie wskutek działań wojennych nie ma najprymitywniejszych sprzętów. Na przykład, na nas siedmiu otrzymaliśmy w drodze łaski jeden żelazny kubek do picia kawy na śniadanie. Otrzymaliśmy też w drodze łaski sienniki, ale napchane zgniłą mokrą słomą. Wskutek tego nie spałem całą noc, bo słoma ziębiła, położona [na] ziemi [s. 220]. Regulamin więzienny przewiduje, że w ciągu nocy zapala się światło w celi wiszące u sufitu, a strażnik co chwila zagląda przez "judasza" do celi. Ponieważ były dalsze aresztowania, więc Niemcy biegali po korytarzach betonowych i robili stukot niezmiernie przykry. Pierwszy raz w życiu, tej nocy, czułem ból serca. Potem pod względem wyżywienia polepszyło się, bo pozwolono przynosić z domu. Ale to jeszcze nic wobec cierpień moralnych. Bo jakże? Człowiek Bogu ducha winien potraktowany jest jak zbrodniarz. Po odprawieniu Mszy św. w więzieniu, bo jest tam kaplica, którą sam ongiś założyłem, napisałem list do landrata z prośbą o zwolnienie nas wszystkich. Motywując, że nasza działalność duszpasterska jest właśnie czynnikiem ładu i spokoju społecznego. Oprócz tego dodałem, że mam 90 letnią matkę chorą - niewidomą, która potrzebuje opieki [s. 221].

Około godz. 4 po południu przyszedł komendant żandarmów i przyniósł mi zwolnienie. Mogłem więc pójść do domu. Ale szedłem jakby mnie kto pchał. Dziwna

rzecz, jak wcale się z tego zwolnienia nie ucieszyłem. Naprzód żał mi było zostawić księży, towarzyszków niedoli, a prócz tego zdało mi się, że uciekam od cierpienia, kiedy Ojczyzna nasza miła jest cała w więzieniu. Czuję jakiś ucisk na duszy, że to zwolnienie zresztą jest chwilowe, a poza tym wstyd jakiś ogarnia, że to niby kapitan, uchodzę pierwszy, z tonącego okrętu. Pocieszam się tylko tym, że pójdę do landrata i będę prosił o zwolnienie reszty księży.

14 listopada [1939]. Dopiero dziś poszedłem do landrata, bo wcześniej nie można było. W tym czasie uwięziono jeszcze Ks. Ciechanowskiego, prefekta tutejszego i Ks. Gogolewskiego z Imielna. Landrat o przedłożonej sprawie nie chciał mówić. Kołował na rozmaity sposób. Zagadywał [s. 222], ile jest partii politycznych w Polsce, jaką partię popierał Kościół, do jakiej ja należę? Odpowiedziałem, że Kościół w Polsce nie miał swej partii ani też ja nie należałem do żadnej. Zresztą u nas partie nie miały znaczenia, bo była dyktatura. Kto się przeciwstawił rządowi szedł do Berezy. "A co to jest Bereza"? "To obóz koncentracyjny już za Bugiem". "A więc to jest Rosja"? "Nie, to jeszcze Polska" Wracałem zawsze do swojej sprawy. Wtedy musiał coś odpowiedzieć. Więc mówi, że w Łowiczu i w Gostyninie były rozruchy, musi przeto przedsięwziąć pewne ostrożności. Zresztą mówiono tutaj, że 11 listopada wyrzucą Niemców, macie za to odpowiedź. W Rzeszy duchowieństwo katolickie jest w opozycji do rządu niemieckiego, zatem i tutaj jest to samo. Odpowiedziałem, że jeśli nasze wojsko nie dało Niemcom rady, to jakim prawem my mielibyśmy się porywać i to z gołą ręką na potęgę niemiecką [s. 223].

Co się dzieje w Rzeszy ja nic nie wiem i to są sprawy wewnętrzne innego kraju. Wiara katolicka nas uczy, że wszelka władza od Boga jest dana. Na jaką władzę zaśluziliśmy, taką mamy. Wtedy on znów, że z Żydami mamy związek i bronimy Żydów. Na to odrzekłem, że Żydzi są naszym wielkim nieszczęściem i chcielibyśmy się ich pozbyć. Rząd nasz jednak ich bronił. Ale to nie był żaden związek z Żydami, tylko konieczność życiowa, bo co się wiekami zagmatwało trudno od razu rozwiązać. Obiecuję tylko panu landratowi, że tak jak ja sam, tak i wszyscy księża nic takiego nie robią, co by miało naruszyć spokój, bo zdajemy sobie doskonale sprawę, że w ten sposób ochramiamy naszych parafian od prześladowania. Wtedy przyjął spis księży, jaki miałem przygotowany, z tych, co byli uwięzieni. Na drugi dzień zwolnił trzech starszych, a co do młodszych powiedział, że im się tam krzywda nie [s. 224] dzieje i mogą sobie posiedzieć. Wypuścił ich dopiero po pięciu tygodniach.

26 grudnia [1939]. Dnia 23 grudnia w sobotę niebo na północno - wschodzie było przez pewien czas czerwone, jak krew. Ponieważ było pochmurno, więc ta czerwoność rozlała się na chmury i robiło to niesamowite wrażenie. Niektórzy widzieli na zachodzie błyszczącą gwiazdę. Może to od niej był taki refleks. W każdym razie było to zjawisko niezwykle. Wczoraj, w Boże Narodzenie, mieliśmy Pasterkę rano o godz. 7. Narodu było wiele. Odprawiał też trzy Msze św. niemiecki kapelan wojskowy, bez sutanny. Dziwił się, że tak dużo ludzi w kościele. U nich tyle nie ma, bo mówi, że oni już teraz mają nową wiarę Hitlera. Powiedział to głośno w zakrystii przy wszystkich ludziach, wprawdzie po niemiecku. Jeśli na plebanię przyszedł na śniadanie, to się z tym ukrywał i prosił, aby o tym nikomu nie mówić [s. 225].

†

1940 a.

In Nomine Domini!

23 stycznia [1940]. Dziś byłem wezwany do Gestapo, w sprawie mówienia kazań w kościele. Myśmy już od dwóch miesięcy nie mówili, *sua sponte*, rozumiejąc, że tak będzie lepiej. Teraz jest zakaz urzędowy, żeby nawet na ambonę nie wchodzić. Ewangelię św. można przeczytać od ołtarza. Poza tym przestrzegać, żeby ludzie nie grupowali się przy kościele, gdy przychodzą na nabożeństwo. Jeśli się coś stanie, przeciwne interesom okupantów, odpowiedzialność spada na mnie, jako na proboszcza. Jutro mam dostarczyć spis księży, pracujących w Kutnie. Takie to są wieści w pierwszym miesiącu tego roku. Są jeszcze inne, ale o tym potem. Spadł wielki śnieg, a mróz od początku tego miesiąca, jak złapał, tak trzyma.

19 lutego [1940]. Zima okropna. Mróz bez przerwy, jak żadnej zimy nie było. A śniegu napadało przeszło na metr. Niemcy wysiedlają w dalszym [s. 226] ciągu z okolicznych miast. To samo zaczyna się u nas w mieście i słychać okolicznych ziemian.

20 lutego [1940]. Dziś policja przyszła na plebanię spisać wszystkich księży. Opisali całe życie każdego księdza. Śnieg pada w dalszym ciągu. Tak sobie myślę, za co ci Niemcy tak nas prześladowają. Nie zrobiliśmy im nic złego. Przeciwnie, nawet podczas wojny, wykazaliśmy nakazaną przez Pana Jezusa miłość naszych wrogów. Gdy podczas nalotów wrześniowych spadł lotnik niemiecki i trochę się potłukł, przywieźli go do szpitala. Był to młody, bardzo zdrowy chłopak, może osiemnastoletni. Ranni, jacy wtedy byli w szpitalu od bomb, mało go nie rozszarpali. Był na tę chwilę Ks. Oziębłowski i gdyby go Ksiądz nie obronił, byłiby go zabili, bo ani siostry, ani lekarze nie mieli wpływu, a zresztą nie mogli go pilnować, skoro co chwila przywożono rannych. Ksiądz był przy nim cały czas i dopilnował, żeby [s. 227] mu dano jeść. Był bardzo głodny i pożerał, jak mały wilczek. Potem posłałem jeszcze Ks. Oziębłowskiego, aby się dowiedział o jego zdrowie. Nic mu nie było i gdy Niemcy przyszli, zabrali go sobie. Gdy później opowiedziano to jednemu oficerowi niemieckiemu, to się zdziwił i mówił, iż nie rozumie polskiej psychologii. Bo gdyby się to im trafiło, bezwzględnie zamordowaliby takiego zbója.

26 lutego [1940]. I znów przychodzi Gestapo w sprawie Niemca, zmarłego na gruncie kościelnym we wrześniu. Powiedziałem, jak to było, lecz to im nie wystarczyło. Pytają się, jak wyglądał, albo, jak się nazywał. Gdzie pochowany i w jakiej kwaterze. Mówię im, że to były naloty. Myśmy mieli 300 zabitych tego dnia i kilkaset rannych, których trzeba było opatrywać. Gdzież tu czas badać czyjś wygląd lub jak się nazywał. Nie wiadomo zresztą, kto to był, może Niemiec, może Żyd. Jeśli postarałem się, żeby był uczciwie [s. 228] pochowany, to zrobiłem to ze względu, iż leżał na polu, gdzie się orze. Myśmy swoich chowali bez żadnego spisu, w nocy, we wspólnej mogile i bez trumien. Tego Niemca pochowano w trumnie i na cmentarzu ewangelickim. Ale w jakiej kwaterze, tego nie wiem.

27 lutego [1940]. Od miesiąca jestem chory. Przez osiem dni nie wstawałem z łóżka. Teraz lepiej. Nie wiem czy wskutek słabości ciała, czy co innego. Człowiek czuje się taki złamany, nieszczęśliwy, przybity, nawet duchowo. Życie takie staje się niezmierną męką. Nasyłają rozmaite rozporządzenia tylko po niemiecku. Na plebanii nikt tego języka nie rozumie, stąd kłopot, lęk, że znów mogą się przyczepić. Chodzi przeważnie o rozmaite podatki, które się płaci bez końca i nie wiadomo za co. Jest to zwykła kara Boża za naród, który sobie lekceważył prawa Boże, gdy miał wolność. Mam żal do naszego poprzedniego rządu, do Piłsudskiego, bo to oni winni, co się z Polską stało. [s. 229]

29 lutego [1940]. Dowiedziałem się, że jestem na liście do wywiezienia. Radzą (ze sfer niemieckich) usunąć się gdziekolwiek, aby zejść z oczu. Ale gdzie iść? Przy tym chory. Zresztą zasadą jest do ostatniej chwili nie schodzić z posterunku obowiązku duszpasterza. Nic więcej nie czynię, jeno służę Chrystusowi Panu. A gdy wypadnie życie położyć, to będzie tylko łaska Boża, boć to przecież nie będzie żadna polityka, jak im się zdaje, lecz służba Panu Bogu, do ostatniego tchu. Amen.

12 marca [1940]. Gestapo zabrało maszynę do pisania. Poczta wzięła aparat telefoniczny. W całym naszym powiecie już wysiedlono wszystkich ziemian, oprócz Korymów z Sójek, którzy się podali za Volksdojców. Majątki objęli Niemcy przybyli z Bałtyku. Dziś pierwszy dzień ciepła. Śnieg topnieje, będzie wielka powódź.

26 marca [1940]. Wtorek świąteczny. Minęły święta wielkanocne. Ale jakże smutne. Procesji nie było [s. 230]. Kościół ludźmi nabyty, więc po kościele nie sposób, a na zewnątrz nie wolno. Miejscami leży jeszcze śnieg. Chłodno i bezsłonecznie. Przyroda dostosowała się do stanu naszych dusz. Wczoraj tajna policja czegoś szukała na plebanii. Ale nie można się było dogadać, o co im chodzi.

30 marca [1940]. Dziś zabrano z plebanii część mebli, pościel, mękę, żelazko elektryczne i kocioł do gotowania bielizny. Nie pomogło tłumaczenie, że żelazko i kocioł potrzebne do gotowania bielizny kościelnej. Płótna gotowego żyrdowskiego dwie bele, kupione na koszule, mimo protestu, zabrano. Rewizja trwała w całym domu po wszystkich pokojach, na strychu i w piwnicy. Kierował tą rewizją dr Haze, który obecnie jest dyrektorem w szpitalu. Człowiek z uniwersyteckim wykształceniem, a zachowywał się, jak zwykły zbir.

3 kwietnia [1940]. Zburzono kapliczki. Tę przy Gimnazjum i naprzeciwko fabryki "Kraj" Krzyż strącono [s. 231] w błoto. Z drugiej kapliczki zabrano. Z jednej kapliczki przyniesiono figurkę Matki Boskiej i tej nocy o godz. 12 wrzucono przez okno, tłukąc podwójne szyby, do mego salonu. Nie spałem wtedy i słyszałem wielki brzęk i łoskot. Ale sądziłem, że to obraz się oberwał i upadł na podłogę. Podobno zrobili to dlatego, że my przed tymi figurami zdejmujemy czapki, a przed nimi nie.

Poszedłem zaraz do landrata, ażeby zameldować o tym świętokradztwie. Ale taki był tam tłok, że nie mogłem się dostać. Zameldowałem więc policji. Ale policjant czytał sobie obojętnie gazetę, prawie nie raczył spojrzeć na mnie. Tłumacz coś mi tam obiecał, że sprawdzi i na tym koniec. Potem się dowiedziałem, że to właśnie oni sami to zrobili rękami żydowskimi. Poszedłem stamtąd do burmistrza, aby się zapy-

tać czy mogę wznowić roboty przy budowie Domu Katolickiego. Nie dopuścili mnie do burmistrza, a jak się potem [s. 232] dowiedziałem, to nie chciał mnie przyjąć. Czekałem tam na to posłuchanie pół godziny. Obserwowałem przychodzących, bo siedziałem na korytarzu. Otóż wielu Żydów, Niemców i trochę Polaków. Urzędniczki Polki rozbawione biegały z jakimiś papierkami do podpisu, nie robiąc miłego wrażenia.

Naprzeciwno, gdzie siedziałem, były drzwi do jakiegoś pokoju. Tych drzwi strzegł strażak w kasku. A gdy się drzwi otworzyły, widziałem w pokoju piękny dywan i część biurka, bo urzędnik był z boku i nie było go widać. Myślę sobie, musi być jakiś dygnitarz, bo strażak skrupulatnie pilnował i puszczał tylko po jednej osobie. Pytam się, kto tam urzęduje, a tu mi mówią, że to kierownik rekwizycji Waškowski. Coś już słyszałem o tym człowieku, ale to tak wygląda, jakby to był komisarz bolszewicki. Niewiele się omylono.[s. 233]

23 kwietnia [1940]. Dziś rano, około godz. 9 przewieziono wielkimi autobusami Niemców cywilnych w stronę Łowicza. Było 18 autobusów i kilka ciężarowych, na których były tobołki tych Niemców. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy, ale o 12 w południe wyjaśniło się. Tymi samymi autobusami wieźli naszych gospodarzy z [...],¹⁴ Grabowa i innych wiosek spod Żychlina. Wracaly też samochody ciężarowe, ale puste. Zaczęło się też wysiedlanie w samym Kutnie. Zaczęli 14 kwietnia i prowadzą aż dotąd, głównie inteligencję. Żydzi chodzą z żółtymi łatami po ulicy, bo trotuarem nie wolno im chodzić. Ale Żydów nie wysiedlają. W Strzegocinie i Witonii zabrali księży. W Kutnie Ks. Targońskiego, ale po kilku godzinach zwolnili.

2 maja [1940], Wniebówstąpienie Pańskie. Wczoraj w czasie mojej nieobecności, przyszedł na plebanię oficer policji i zakomunikował ustnie Ks. Oziębłowskiemu, że 2 maja, to jest dziś i w obydwa dni Zielonych Świątek oraz w Boże Ciało (bez procesji), nabożeństwa [s. 234] mają być skończone o godz. 11 rano i potem kościół zamknięty. Unikaliśmy, jak mogli, aby nam dali spokój i nic nie pomogło. Nie mawiamy kazań, dzieci nie przychodzą na naukę do I Komunii św., nabożeństwa majowe odprawialiśmy rano, nie dzwoniemy, byle nie zwracać na siebie uwagi. Dalsze zarządzenia mają nastąpić. W nocy, zwyczajny złodziej, zabrał z piwnicy resztę zapasów, co jeszcze Niemcy zostawili.

3 maja [1940]. Dziś odprawiliśmy Msze św. w kościele, lecz przy drzwiach zamkniętych, Ale dziś też dowiedzieliśmy się od landrata, że nie wolno w kościele odprawiać, nawet w ten sposób, bo oni nie mają sposobu kontroli. Będziemy zatem odprawiali na plebani. Oh! jak ciężko. Bóg widzi niedolę ludu swego. Teraz ani do spowiedzi, ani tych pięknych nabożeństw majowych i czerwcowych. Jezus osamotniony. Błogostaw Panie ku wytrwaniu ludowi swojemu. [s. 235] W dalszym ciągu wysiedlanie gospodarzy. Mówią mi dziś, że w R[u]dutowskiej parafii mało co zostało katolików.

¹⁴ Miejscowość nieczytelnie napisana.

11 maja [1940]. W pierwszej połowie kwietnia Niemcy napadli w nocy na Danię i Norwegię. Anglia pospieszyła z pomocą, ale dotąd nie udało się Niemców z tych krajów wyprzeć. Poszli oni tam po prowiant i żelazo. A może też, by być bliżej Anglii. Wczoraj znów napadli na Holandię i Belgię, jednocześnie. Ale teraz podobno nie udało się im opanować tych państw. Zdaje się, że pomoc była rychlejsza i wydatniejsza. Oprócz tego coś się też szykuje na Bałkanach. Trudno jednak dociec, kto przeciw komu. Najwięcej tajemnicze są Włochy. Otrzymuję czasem z Warszawy gazety włoskie: "Corriere della Sera", "Illustrazione Italiana" "Il Tempo" Otóż, te gazety sympatyzują z Niemcami. O Polsce piszą nieraz z przekąsem, a ubolewają nad Finlandią napadniętą [s. 236] przez bolszewików. Teraz musi być niewyraźne ich stanowisko, boć przecież Norwegia i Dania uległy przemocy. Ale tu entuzjazmują się siłą niemiecką i wygląda na to, że się solidaryzują w tej napaści. Jakie też stanowisko zajmą obecnie wobec Holandii i Belgii. Następca tronu włoski ma za żonę księżniczkę belgijską. Podobno król włoski wraz z Ojcem św. są za pokojem i ścisłą neutralnością. Mussolini, straszny bufon, forsuje i pcha do wojny, bo jest przeciwnikiem Anglii. Jesteśmy podobno w przededniu wielkich wydarzeń.

22 maja [1940]. Dziś dano znać, że jutro w Boże Ciało, nie może być odprawione nabożeństwo w kościele. Odprawimy tylko Msze św. w mieszkaniu. Boże Miłosierny, jakże nas doświadczasz. Nakaz jest pracy i moje konie, które już dwa dni były na podwodzie, muszą i jutro pracować dla Niemców. [s. 237] Na froncie podobno Niemcom się powodzi. Wdarli się do północnej Francji i zajęli Arras. W ciągu dziesięciu dni mają zająć Paryż. Holandia się poddała, jak również i większość Belgii. Coś tam musi być na zachodzie nie w porządku, skoro do tego doszło.

23 maja [1940]. Tej nocy wielu mieszkańców miasta (podobno 700 osób) wysiedlono z mieszkań, nie pozwalając nic zabrać i wywieziono nie wiadomo dokąd. Parę tygodni temu już zabrano apteki, składy apteczne, piekarnie, masarnie, teraz rzemieślników i nawet robotników. Takie to Boże Ciało sprawili nam Niemcy. Przylepiiliśmy karty z napisem na furtkach kościelnych, że Boże Ciało odłożono na niedzielę. Ludzie muszą dziś pracować, choć podobno Żydzi nie otworzyli sklepów. O tej porze, kiedy innymi laty o tej porze wychodziła procesja z kościoła, poszedłem nawiedzić Pana Jezusa. W kościele cisza i chłód. [s. 238] Dochodzi tu gwar miejski, a raczej turkot uliczny i stukot robotników z fabryki "Kraj" Słońce zagląda do kościoła, ale jakoś mało ciepła daje. Pan Jezus sam, samiuteńki. Drzę na myśl, czy aby parafianie nie zapomnieli o Nim dzisiaj. Mogło się to zdarzyć, choćby i dlatego, że mają myśl zaprzętą, jak i gdzie się ukryć przed aresztowaniem.

Na tym urywają się zapiski w "Kronice", bo akurat dziś jest 24 maja [1940] i nie ma co do zanotowania.¹⁵

Powiadają tylko, że na froncie bez zmian, to znaczy stanęli na miejscu. Nie wiadomo teraz, kto na kogo napadnie. Żeby nie powtarzać potem wieści, które prędko się zmieniają, przestanę spisywać je z "Kroniki", a poczekam, aż będzie można coś

¹⁵ Zdanie to pochodzi od Autora "Wspomnień"

pewnego zapisać. "Kronikę" jednak będę prowadził, choćby dla samej pamięci faktów. [s. 239] Nabyty już nałóg pisania zmusza mnie, abym notował wieści, choćby nawet jeszcze niezupełnie sprawdzone. Z frontu jest jednak pewna wiadomość, że król belgijski Leopold poddał się Niemcom wraz z półmilionową armią. Stało się to w nocy z dnia 27 na 28 maja [1940]. Nie uprzedził o tym aliantów i przeto wygląda to na zdradę. Mówią, że zrobił to za poduszczeniem Mussoliniego. Dunkierka jeszcze się broni i alianci chcą tu Niemców zatrzymać. Podobno Anglicy bombardują teraz miasta niemieckie codziennie. Nareszcie zrozumieli, że ulotkami wojny nie można prowadzić.

U nas przygnębienie do ostatnich granic. Wysiedlania nie ustają. Wznowilem roboty budowlane po kryjomu w wikariatce. Najpierw założenie przewodów do światła elektrycznego, a teraz już od paru dni murarze zaczęli tynkować. Ale zaraz poszła pogłoska, że Niemcy mają zabrać ten dom na pocztę. Do starej plebanii przy kościele, gdzie już niepodobna było mieszkać, wprowadziły się [s. 240] dwie rodziny, bardzo liczne. Wysiedlono je, ale że biedne i z drobnymi dziećmi jakoś szczęśliwie nie wywieziono do obozu.

Poza tym okropne nudy, choć czasy takie ciekawe. Czytam też teraz bardzo wiele. Od czasów nalotów, kiedy ludzie szaleli z bojaźni, ja zacząłem czytać Chłędowskiego. Z początku ciężko szło. Ale teraz przeczytałem wszystkie 7 tomów o sztuce włoskiej. I wiele innych, jak "Blaski i nędze zwycięstwa Clemenceau", teraz "Memoriały Focha" Doskonały materiał porównawczy do czasów obecnych.

Listów pisywać do przyjaciół nie chcę. Bo jakżeż pisać i o czym, wszystko w zastrój.

Armiami aliantów dowodzi Weygand, którego powołano po przerwaniu frontu przez Niemców. Opuścił armię południową w Syrii i przybył na ratunek, można powiedzieć, w ostatniej chwili. Podobno dwóch generałów, wraz ze sztabami skazano na śmierć za to, co się stało.

Sami Niemcy [s. 241] piszą, że bitwy toczą się niezmiernie krwawe. Północna Francja przechodzi nową gehennę wojny. Calais, podobno w ręku Niemców. W Dunkierce jeszcze są Anglicy i z resztką Belgów bronią. Ale pod osłoną samolotów ładują wojsko na okręty, aby się udać do Anglii. Bitwy okropnie krwawe. Niemcy palą ogniem i idą z olbrzymią siłą tanków. Jeśli Francuzi nie zatrzymają ich nad [...],¹⁶ to w parę dni mogą zająć Paryż. Tak przynajmniej, że na 10 czerwca [1940] będą w Paryżu. Tutaj prześladowanie nas doszło do ostatnich granic. Połowę mieszkańców już wysiedlili. Napoleon mówił, że naród prześladowany jest jak gwóźdź. Im mocniej się weń bije, tym silniej trzyma. Tak będzie i u nas. Zachodziła nawet obawa, że szersze warstwy, jak to zresztą jest w naturze Polaka, prędko byłyby się dostosowały do prawa niemieckiego. Byłyby się po prostu z Niemcami żyły, co mogło być szkodliwe dla naszej przyszłości. Ale Niemcy [s. 242] sami pracują, aby to się nie stało.

¹⁶ Niewyraźne słowo.

Wszystkie warstwy społeczne w Polsce ucierpiały i o współżyciu z Niemcami nie ma mowy. Hitler co prawda tego nie bierze pod uwagę. Nie wiem jednak, jak to można przeszło 30 milionowy naród tak zupełnie wykreślić z jego istnienia. Nie wiem, czy wskutek tych wszystkich udręczeń, ale jestem formalnie chory. Często głowa mnie boli. Sypiać nie można. Ból w piersiach, kaszel okropny. Nie ma sposobu teraz się leczyć, bo i jakże o tym myśleć, kiedy każdej chwili mogą zabrać do obozu.

U Niemców jubel. Zajęli Calais i Dunkierkę. Był nalot na Paryż. Podobno rzucono tysiące bomb. Rychło też można się spodziewać generalnego natarcia na Francuzów, żeby - nim Anglicy się opatrzą po ostatniej klęsce nad kanałem, pobić ich, a potem osobno Anglików. Ale nie wiadomo czy starczy tchu takiemu natarciu. Bo podobno w ostatnich bitwach [s. 243] zginęło setki tysięcy Niemców.

W nocy 6 czerwca [1940] zapaliła się stara plebania przy kościele. Prawdopodobnie pożar powstał z pękniętego komina. Na facjacie mieszkał Wacław Rzymkowski mój służący z rodziną. A na dole pewna biedna rodzina, już kilkakrotnie wysiedlana. Zostali teraz bez dachu. Sprawy mieszkaniowe teraz bardzo się komplikują. Organista nagabywany przez Niemców, którzy by chcieli mieszkać tam, gdzie on mieszka, to jest w domu tercjarskim, prosił mnie, abym rozpoczętą organistówkę tutaj dla niego wykończył. Więc zaczęliśmy tynkować, zakładać drzwi i okna. W tym czasie Niemcy wysiedlili jakiego Volksdojczę i powiedzieli mu, aby sobie wybrał nowe mieszkanie, to go tam obsadzają. Otóż, wybrał sobie mieszkanie organisty w domu tercjarskim. Organista musiał się przeprowadzić tutaj, lubo mieszkanie [s. 244] niezupełnie gotowe. Musiał jednak iść do komisji wysiedleniowej i o tym zameldować. Nakrzyczano się nań za samowolę, jak i na mnie, jakim prawem wznowiłem budowę domu bez ich pozwolenia, bo to jest dom rządowy. Organista wytłumaczył, że to nie jest budowa, jeno dokończenie, co było już zaczęte.

W każdym razie powiedzieli, że tam mieszkać nie będzie i może dostać mieszkanie na mieście po Żydach. Prosił, aby jednak pozwolono mu tu zamieszkać, w bliskości kościoła ze względu na jego obowiązki służbowe. Po długich ceregielach zgodzono się, ale też zastrzeżono, żeby nikt nic nie robił w tym domu, bo to rządowy. Trochę to dziwnie wygląda i zgoła niezrozumiale. Bo przy takim braku mieszkań ani sami nie kończą, ani mnie kończyć nie pozwalają. Dałem stolarzowi a konto robót 700 zł. [s. 245]. Stolarza tego wywieziono. Żona jego z drobnymi dziećmi nie ma z czego żyć. Przychodzi do mnie, aby jej dalej a konto roboty płacić. A tymczasem muszę płacić czeladnikom bezpośrednio, którzy owe okna i drzwi wykończyli. Nie można narzekać, że się nic u nas nie dzieje. Ale to, co się dzieje to jest straszne.

W tej parafii wysiedlono trzy najbogatsze wsie: Żurawiniec, Wierzbie, Komadzyn. To samo, słyszę, dzieje się w Grochowcie, Imielnie i Łanietach. Z Kutnem też jeszcze nie skończono. A trzeba dodać, że te sprawy przybierają nieraz formę tragiczną. Ten sławny dr Haze, co to w plebanii tak rekwirował, chwalił się w szpitalu wobec lekarzy, że brał udział w tych wysiedleniach i "strzelaliśmy do nich jak do zajęcy", powiedział.

10 czerwca [1940] po południu Włochy wypowiedziały wojnę Anglii i Francji. Jest to samobójstwo. [s. 246] Bo jakkolwiek losy pokierują wojną, Włosi zawsze będą bici i stratni. Jeśli wygrają Niemcy, co nie daj Boże, to przecież Tyrol i Triest zabiorą im Niemcy. Gdy wygra koalicja, to Włochy podzielą smutny los Niemiec jako państwo zwyciężone. Nie dziwię się Mussoliniemu, bo to człowiek niestychanej pychy i zarozumiałości. Przy tym opanowany nienawiścią do Anglii, za owe sankcje. Ale w polityce nie powinno być nienawiści, jak nie ma miłości. Wszelka namiętność jest zgubna. Więc Mussoliniemu się nie dziwię, bo to człowiek bez kultury. Ale się dziwię królowi i następcy tronu, że swój los, jako dynastia, związali z Hitlerem. A tym samym wystawili swój naród na wielkie niebezpieczeństwo. Z powodu wystąpienia Włoch mamy tu utrapienie od bolszewików, którzy obtudnie ubolewają, że Ojciec św. pozwolił Włochom na wojnę, że nawet jakoby błogostawił wojsku. [s. 247]. Zatem Wiara upadła, nie ma teraz co wierzyć Ojcu św. ani innym księżom. Wydają swój sąd, że Ojciec św. powinien był opuścić Rzym, a nie popierać takich zbrodni.

Pamiętają, że zbierane było świętopietrze, więc teraz taka wdzięczność dla Polski. I tym podobne bzdury przenikają do szerszego ogółu i bezkrytycznie to się głosi. Trudno nawet wszystko prostować, bo bywa i zwykła prowokacja, tak żeby to doszło do wiadomości Niemców. A Niemcy podnieśli głowy.

Godzina 9 wieczór, drzwi już były od frontu zamknięte. Wtem ktoś zaczyna walić pięścią w drzwi, potem w okno do mego gabinetu. Po tym sposobie "pukania" od razu poznałem, że to Niemcy. Spieszę więc otworzyć drzwi. Wpadło dwóch Niemców i jakaś dziewczyna. Jeden z przybyłych pyta mi się czy mówię po niemiecku. Odpowiadam, że nie, ale zapraszam go gestem do kancelarii, w tej myśli, że jakoś się porozumiemy. [s. 248] W przejściu do kancelarii dziewczyna co z nimi była mówi, że przybyli w sprawie pogrzebu, bo jej matka zmarła w szpitalu. Myślę więc, że sprawa jest do załatwienia i mówię jej, aby przyniosła świadectwo lekarskie. Ale Niemiec począł krzyczeć, jak opętany, że on jest Treuhänder z Ruszk i chce ze mną mówić. Na powtórną odpowiedź, iż nie rozumiem po niemiecku po prostu "wściekł się" Począł walić pięściami w stół i krzyczał "das ist Deutschland, das ist Deutschland," a więc musisz mówić po niemiecku. Tak to rozumiałem, bo palcem wskazywał do moich piersi. I mówił, że upłynęło 9 miesięcy i skandal jest, abym jeszcze nie rozumiał po niemiecku.

Otóż, wszystko to rozumiałem, ale nie umiałem mu odpowiedzieć. Na ten krzyk wszedł Ks. Oziębłowski. Niemiec pyta się go czy mówi po niemiecku. Ks. Oziębłowski, trochę [s. 249] może niebacznie, przytaknął, że mówi. Ale z jego mowy Niemiec nie miał żadnej pociechy. Złapał więc Księdza za ramię i począł tarmosić ze złością. Zapraszam Niemca, aby usiadł, a ja sprowadzę tłumacza, ale Niemiec niecierpliwy wybiegł do samochodu, którym przyjechał i pojechał na miasto. Za chwilę już był z gestapowcem, w cywilu, ale z trupa główką w klapie, ten mówił po polsku. Wyjaśnił, że gospodyni tego pana z Ruszk jechała bryczką, konie poniosły, ona spadła, potłukła się i w szpitalu zmarła.

Chodzi więc o pogrzeb. Odpowiadam, że nie ma o co podnosić krzyku, bo pogrzeb może się odbyć, tylko trzeba przedstawić świadectwo lekarskie i policyjne, bo

śmierć była nienaturalna. Wtedy ów niemiec mówi, że to ma być wszystko darmo, bo po zmarłej [s. 250] nic nie pozostało, oprócz dwóch córek, tej, co tu jest i drugiej 16 - letniej, które są biedne i nie mają ani grosza. Odpowiadam, że takie pogrzeby nam się trafiają, więc i tym razem bez żadnej opłaty pogrzeb się odbędzie. Ale on woła, że mam się zająć całym pogrzebem, to znaczy kupić trumnę i karawan. Na to odrzekłem, że zwykle te sprawy załatwia pracodawca, a więc w tym wypadku pan albo gmina względnie magistrat. Wtedy zaczął "ryczeć" wprost, że ja to wszystko muszę zrobić i z tymi słowy wyszli z kancelarii. Dopiero na drugi dzień, gdy przyszła córka zmarłej, ta, co była z Niemcami, jakoś zrozumiała, że do niej należy staranie o trumnę.

Czwartego dnia po wystąpieniu Włoch poddał się Paryż. Nie dlatego, żeby Włosi tak bardzo zaważyli na polu walki, bo oprócz swych [s. 251] samolotów, nie brali jeszcze udziału na froncie. Ale już wskutek upadku Calais przerwała się pomoc Anglików. Obrona Paryża nie byłaby współmierną ze stratą, jakby stąd wynikała, gdyby walki miały się toczyć na ulicach Paryża. Teraz jest wielkie zagadnienie czy Francja ma jeszcze wolę i siły do dalszej obrony. Urzędowo o tym się mówi, mimo to po tylu dawniejszych zapewnieniach, można się spodziewać jeszcze wielu przykrych niespodzianek. Ameryka, mimo obietnicy, jakoś nie spieszy z pomocą. Rząd francuski woła o pomoc do całego świata, a szczególnie do reszty Europy, aby przyszła z pomocą Francji, bo ważą się losy tej Europy czy ma być wolną, czy zależną od zwycięskich Niemiec i Włoch.

Nim sprawy się wyjaśnią na polach wojny, nas tu Niemcy wykończą w rozmaity sposób. Wysiedlenia trwają bez przerwy [s. 252].¹⁷ Między innymi wysiedlono też Bogdańską, właścicielkę wielkiego domu, gdzie jest kino Polonia. W tym domu mają restaurację Szkudlarkowie. Bogdańska miała być internowana w obozie, ale zachorowała i Szkudlarkowa, mówiąca dobrze po niemiecku uratowała ją od wywiezienia. Przyjęła do siebie i chciała ją utrzymywać. Na to nie zgodził się komisarz wysiedlelniowy. Kazał Szkudlarkowej iść do proboszcza i zapowiedzieć mu od Niemców, że ma przyjąć do siebie Bogdańską na mieszkanie i całkowite utrzymanie, a to dlatego, że Bogdańska nie może być ciężarem dla społeczeństwa, względnie magistratu, lecz proboszcz, który "otrzymuje z Ameryki fundusze na ten cel" jest obowiązany Bogdańską trzymać. W przeciwnym razie, to jest gdyby ksiądz nie chciał przyjąć, zastosuje się do niej[go] ostre prawo aresztu i usunięcia z parafii. Przy tym już magistrat [s. 253] przystał mi dwie liczne rodziny na mieszkanie. Gnieźdzą się one jeszcze, mimo że się stara plebania spaliła. Ale co będzie dalej! Z tymi funduszami z Ameryki to oczywisty fałsz. Ale że Ameryka pomaga Aliantom, więc co to szkodzi coś na ten temat powiedzieć, choćby to było najoczywistsze kłamstwo.

Po upadku Paryża ludzie szemrzą jeszcze więcej na Włochów i niestety, niektórzy upadają na duchu. Boże miłosierny, nie pozwól, aby wróg miał się naigrawać, dlatego żeśmy Ci zaufali. Kościoły zamknięte. A jak w Żychlinie, to nawet w niedzielę nie ma nabożeństwa w kościele pod pozorem, że tyfus panuje. Ani księża nie mogą jeź-

¹⁷ Strona przekreślona niebieskim ołówkiem.

dzić do chorych, tak iż umierają bez pociech religijnych. A tu się potem mówi, że ma być Europa zarządzona przez Niemców w pokoju.

Bogdańska mieszka [s. 254] w nowym kościelnym domu, w pokoiku, jaki przygotowałem, obok mieszkania kościelnego, dla kvestarzy. Czytam teraz książkę Ks. Biskupa Kubiny "Wśród Polskiego Wychodźstwa w Ameryce Południowej" Gdy Ks. Biskup był na Kongresie Eucharystycznym w Buenos Aires 1934 r., został potem kilka miesięcy w Ameryce, żeby nawiedzić naszych rodaków, jacy osiedli w Argentynie i w Brazylii. Otóż ten objazd naszych emigrantów bardzo pięknie, choć prostym stylem, opisał Ks. Biskup w książce na 357 stronach. Są też i fotografie załączone. Gdy się tedy czyta tę książkę, przeżywa się rozmaite wrażenia. Biorąc teraz okropne położenie i niepewny los naszej Ojczyzny, miło jest stwierdzić, że mogą być jeszcze Polacy spokojni i szczęśliwi, jak owi wychodźcy za Oceanem. Prawie rad by człowiek tam się teraz dostać, tak to pięknie Ks. Biskup przedstawił te polskie osiedla. [s. 255]

Ale jest, niestety i odwrotna strona medalu. Jakby na zadokumentowanie, że nie ma zupełnego szczęścia na ziemi. Otóż, wśród kolonii polskich, nieraz bardzo nawet bogatych i już nabierających społecznego i politycznego znaczenia w danym kraju, nie ma zgody, nie ma jedności narodowej. I tym boleśniej to się odczuwa, że tę niezgodę siał nasz rząd ze starego kraju. I tak, gdy wychodźcy czuli się na siłach, to w pierwszym rządzie budowali sobie kościółki, szkołę, Dom Polski. Księża Polaków tam jest mało. Szkoły powierzano SS. Rodziny Maryi. Ale z Warszawy przyjeżdżał taki sobie wystannik rządu, żeby do polskiej społeczności, do Polskiego Domu byli przyjmowani Żydzi przybyli z Polski i Ukraińcy.

Polacy nie chcieli na to przystać. Ale ponieważ zawsze i wśród Polaków znaleźli się ludzie I Brygady, więc rozłam. Nastąpiła budowa drugiego Domu Polskiego, drugiej szkoły, co rozbijało siły [s. 256], bo drugi Dom ani szkoła nie były wcale potrzebne. Szkołę taką obsadzano siłami, niby niezależnymi od miejscowego proboszcza, co miało cechę postępu i wolnej myśli. Wskutek tego wychodźcy nie chcieli posyłać dzieci ani do tej, ani tamtej szkoły, bo zresztą wskutek rozbicia obniżał się poziom tych szkół.

Nawet przyjazd Biskupa do osiedli polskich nie pogodził tych partii. Zdarzało się, że dopiero Biskup na miejscu musiał ich godzić, aby brali udział wspólnie, bo każda partia chciała mieć Biskupa oddzielnie i tylko dla siebie. Myślę, że teraz po wojnie oczyści się atmosfera z tego obrzydłego partyjnicztwa, nie tylko tu w kraju, ale i tam na wychodźstwie

Wspomina też Ks. Biskup o szkodzie, jaką uczynił wśród wychodźstwa tak zwany kościół narodowy. I dziwna rzecz, że właśnie tę sektę popierają czynniki rządowe ze starożytności. Stowarzyszenie młodzieży "Junak", organizowane przez [s. 257] inteligencję niezależną, jak lubią się tacy panowie nazywać, jest pod opieką sfer rządowych i ciąży do kościoła narodowego. To wszystko sprawiło Ks. Biskupowi wielką przykrość, choć na ogół doznał wiele radości od swoich rodaków.

Czyni Ks. Biskup porównania Polaków z kolonistami innych narodowości. Na przykład są tam wielkie i kwitnące kolonie Niemców i Włochów. Otóż wskutek ni-

skiego poziomu oświaty wśród Polaków, jak również owych swarów - nie mogą Polacy współzawodniczyć ani z Niemcami, ani z Włochami. Nawet wtedy, kiedy w danej miejscowości są w większości. Nie sprawują żadnych urzędów, nie biorą też udziału w życiu społecznym swego okręgu. Zdarzyło się, że tylko w jednym mieście starostą jest Polak. Ale jakoś Ks. Biskup nic o nim nie pisze, raczej prawie daje do zrozumienia, że ten starosta należy do obozu wrogo usposobionego do Kościoła. Owi niezależni robią na przykład siostronom naszym zarzut, że do swej [s. 258] szkoły przyjmują dzieci innej narodowości. Ks. Biskup zwraca tu uwagę, że zarzut ten zgoła nie powinien mieć miejsca. I że siostry dobrze właśnie robią przyjmując dzieci obce.

Język w szkole obowiązuje państwowy i słusznie, bo dziecko musi znać język kraju, w którym ma pracować. Ale jednocześnie pielęgnuje się język polski. I jeśli obcy pragną przysyłać swe dzieci do polskiej szkoły, to dają tym świadectwo, że szkoła ta jest dobra. A z drugiej strony dziecko obcej narodowości zapozna się w tej szkole z polską kulturą, z polskim narodem, co przecież tylko na dobro Polsce może wypaść. Oto są obrazki, jak są zacierzewieni nasi (raczej byli) rządowcy, którym się zdawało, że tylko oni mają prawo decydować o tym, co jest dobre dla Państwa, bo nie chcieli nawet wymawiać... dla Ojczyzny.

16 czerwca [1940] niedziela. W nocy o 12 -tej przynoszą mi papier do pokwitowania. Jest to wezwanie [s. 259] koni na podwody od godz. 5 rano. Następnie przynoszą drugi papier, że Polacy nie mogą wychodzić ze swego mieszkania przez cały dzień. Rychło się wyjaśniło, że to jest w związku z wysiedlaniem Żydów tego dnia. Wszystkich Żydów wywieziono do Konstancji,¹⁸ gdzie utworzono dla nich getto. Nie obeszło się bez wypadków tragicznych. Moje konie i stangret zajęty był przy tym przewożeniu od wczesnego rana do godz. 9 wieczór. Wóz popsuto, bo złamała się rozwora i z jednego koła spadła obręcz. Ponieważ kazano mimo to jechać, więc dzwona się po kamieniach popsuły. Miasto było jak wymarłe. W kościele na nabożeństwie zaledwie parę osób, które przez ogrody dostały się do podwórza i przez zakrystię do kościoła. Ci, co przyszli ze wsi, byli wylapani, zatrzymani przez 24 godziny w areszcie bez pożywienia i musieli jeszcze zapłacić 5 marek kary.

Następną noc miałem okropnie przykre sny. Zdało mi się, że nie śpię i ktoś szepce [s. 260] mi do ucha "pali się w kościele". Zerwałem się, otworzyłem okiennicę i jakiś czas obserwowałem kościół. Miałem nawet zamiar iść do kościoła, ale nie miałem kluczy, oprócz do zakrystii. Nazajutrz otrzymuję list polecony z Kurii Warszawskiej, w sprawie spisania dzwonów we wszystkich parafiach dekanatu i przestania tych spisów do Poznania. A więc sen się wyjaśnił. Bo ogień to podobno złodziej. Oprócz tego otrzymałem jeszcze dwa inne papiery - wszystko w sprawie stosunku Niemców do Kościoła. Mianowicie nie wolno teraz Niemcowi katolikowi dać ślubu bez uprzedniego ślubu cywilnego. Ani pochować zmarłego Niemca bez spisania aktu zejścia u Niemców. Ani ochrzcić bez spisania aktu urodzenia u Niemców. Będzie teraz zamęt, bo wśród przybyłych Niemców może się znaleźć katolik, a gdy protestanci będą w większości - to parafia będzie bez wiernych.[s. 261]

¹⁸ Trudno ustalić położenie tej miejscowości. Prawdopodobnie znajdowała się w okolicy Kutna.

17 czerwca [1940] o godz. 4 po południu Niemcy rozpuścili wieści i wywiesili flagi swoje, że Francja złożyła broń. Ta wiadomość uderzyła mnie jak obuchem w głowę. Dlatego dostałem bólu głowy, a w nocy mało co spałem. Wiadomość ta wyglądała na prawdziwą, choćby z tego względu, że po wzięciu Paryża upadła twierdza Verdun, która w tamtą wojnę jednak się utrzymała. Jak również i to, że linia Maginota podobno już nie istnieje jako obrona, bo Niemcy zaszli jej z tyłu. Poza tym Anglia daje niewystarczającą pomoc Francji, bo sama się boi o swój kraj. Ale tak w pojedynkę mogą Niemcy pobić obydwa państwa.

To uczucie niepewności jest straszne. Co się z nami stanie, gdy Francja i Anglia będą myśleć tylko o własnym ocaleniu przez zawarcie pokoju z Niemcami?. Ale musi coś tam jeszcze brakować, bo 19 czerwca [1940] były niby manifestacje radości, pochwały i wreszcie [s. 262] wiec na placu ćwiczeń wojskowych. Były mowy, oczywiście po niemiecku. Ale Polacy mogli brać udział i wzywano również Polaków do zapisywania się do wojska niemieckiego przeciw bolszewikom, którzy wbrew woli Niemców zajęli Litwę i Kłajpedę.

Znów w nocy przywieziono papier wzywający na podwodę i to na dziesięć dni. A kto będzie miał wóz w złym stanie, będzie karany. Mój wóz jest u kowala, więc nie wiem, co teraz będzie. Jak jest jeden wóz, to gdy się zepsuje, musi być przerwa w pracy. Chłopak od koni Wacław zaczął kosić koniczynę. Niemiec zajechał sobie z bryczką na pole i nabrał koniczyny jak swojej. A tu podatki płać, podwoły dawaj - to jest gospodarka wcale nie gorsza od bolszewików ze wschodu.

W "Przeglądzie Klasycznym" za rok 1938 N. IV z sierpnia znalazłem artykuł pod tytułem "Ius gentium"¹⁹ Artykuł ten omawia prawa wojny, głównie w zastosowaniu do walk między [s. 263] Grekami. Potem sięga do wojen rzymskich. Livius (IX) przez usta wodza Samnitów powiada "Kto prowadzi wojnę konieczną, ten wojnę sprawiedliwą prowadzi. Święta jest broń tego, który jedynie w orężu widzi swój ratunek. Takiej to wojnie sprzyjają bogowie" Dalej Polibios głosi: "zbrodnią jest jednak rozpocząć wojnę bez jej wypowiedzenia"

I tak nie tylko wybuch wojny, który uchodził za złamanie istniejącego porządku prawnego i moralnego, ale i bezprawny stan wojny podlegał pewnym prawom. Wojna upoważnia do niszczenia wszelkich środków służących przeciwnikowi do obrony. Prawo wojny zezwala więc na burzenie domów, portów i okrętów, niszczenie pól, zagarnianie srebra i złota, bydła itp. Ale wobec nieprzyjaciół, którzy się poddali dobrowolnie lub okazywali skruchę, kierowali się Rzymianie uczuciem ogólnoludzkim. "Zwyciężanie atakujących, a nie gnębienie pokonanych daje stawę zwycięstwu", mówi Livius XLII, 8 - przez usta senatu, [s. 264] gdy konsul M. Popilius znęca się nad pokonanymi Liturgami²⁰

Prawo wojny potępia świętokradztwo. Nie wolno pod żadnym pozorem burzyć i płądrować świątyń. Nic nie usprawiedliwia takiego postępowania. Wolno mówić

¹⁹ L. INGBER, Ius gentium, Przegląd Klasyczny 4(1938), 419nn.

²⁰ Powinno być: Ligurami.

Livius (XXXI 30) - Philippusowi niszczyć miasta i domy, wolno uprowadzać ludzi i bydło, bo wszystko to jest raczej smutne niż niezastużone; ale nie wolno bezcześcić świątyń i miejsc świętych i wszystkiego, co święte dla ludzi i bogów. A Philippus był tym, który prowadził wojnę z bogami podziemia, z niebem, grobami, świątyniami. Zastużona go więc czekała kara.

Porządek prawny musi być przestrzegany, aby ukrócić samowolę butniejszych i silniejszych, aby uchronić przed gwałtem i bezczeszczeniem rzeczy budzących szacunek, aby stworzyć pewną równowagę w stosunkach między poszczególnymi państwami i narodami [s. 265]. Było też ważnym czynnikiem u Rzymian "Magnitudo animi" Wspaniałomyślność i wielkoduszność - oto charakterystyczne rysy Rzymian w stosunku do nieprzyjaciela unieszkodliwionego. Takie to pisali sobie prawa wojny starożytni poganie. Nowocześni poganie postawili zasadę "siła przed prawem" i tym się kierują bezlitośnie.

Wysiedlanie trwa. W tych dniach wysiedlono gospodarzy z Dudków, Dębiny, Gołębiewka. W łąkoszyńskiej parafii z Piwek, Leszczynka i Łąkoszyna. Z samego Kutna biorą zawsze po kilkanaście osób. Między innymi zabrano właścicielkę wielkiego domu, gdzie jest kino Polonia, Bogdańską. Starsza już i chora zemdląta, więc Szkuclakowie, którzy mają w jej domu restaurację chcieli ją trzymać u siebie. Komisarz nie zabrał Bogdańskiej do obozu, ale też nie pozwolił, aby u Szkuclarków mieszkała. Polecił Szkuclarkowej, aby poszła do parafii i powiedziała [s. 266] proboszczowi, że musi wziąć Bogdańską na mieszkanie i pożywienie. Bo rzekomo otrzymuje na ten cel fundusze z Ameryki. Szkuclarkowa przyszła i powiedziała mi o tym, przy tym dołączył groźbę, że gdybym nie przyjął Bogdańskiej, to będę aresztowany.

Bogdańska tedy mieszka w nowym domu, wikariatce, w pokoiku, jaki przygotowałem dla kwaterzysty na nocleg.²¹ Czasem przychodzi sama na plebanię jeść, a częściej posyła się jej do mieszkania. W każdym razie zasada dobroczynności na sposób niemiecki, ma praktyczne zastosowanie. Żywiliśmy nie tyle ludzi podczas tej wojny i to nam się nie przykrzy. Przykry jest tylko widok miasta, jaki obecnie się przedstawia. Już nie tylko wojsko, ale cywilów Niemców pełno, a szczególnie Niemców bardzo butnych i przykrych w stosunku do naszej biednej ludności. Nawet dzieci polskie są prześladowane [s. 267], jeśli się Niemcom nie kłaniają i nie wołają "Heil Hitler" Metody niemieckiej kultury zaczynają działać. A byli ludzie, którzy się tą kulturą zachwycali.

25 czerwca [1940] w nocy Francuzi podpisali rozejm na bardzo ciężkich warunkach. Hitler urządził to trochę na sposób teatralny. Wybrał to samo miejsce, gdzie Niemcy prosili o pokój w 1918 r. W wagonie Focha; zaznaczając, iż tamto zdarzenie już zostało teraz wymazane z historii obecnym aktem. Francuzi źle się spisali podczas tej wojny. Było wiele niedbalstwa, a podobno i zdrady. Nie powinni się też byli poddać, skoro Polacy dotąd się jeszcze nie poddali. Nie poddał się też król norweski

²¹ Informację na ten temat Sługa Boży odnotował już wcześniej we *Wspomnieniach* na s. 252. Wprawdzie na wymienionej stronie jest kreska zrobiona niebieskim ołówkiem, nie nasuwa ona jednak jednoznacznej interpretacji, kto np. dokonał skreślenia i w jakim celu.

Hackon. Nie poddała się królowa Wilhelmina Holenderska ani rząd belgijski. Są na emigracji i głoszą, iż są w stanie wojny z Niemcami. To samo mogła zrobić Francja. Ustąpić do swoich kolonii czy do Anglii i dalej bronić swojej [s. 268] ojczyzny. Podobno częściowo to nawet zrobiono. Ale podpis poddania się będzie aktem hańby dla Francuzów. Doszło też do przerywania wojny z Włochami, którym oddano Korsykę, Tunis i Dżibuti. Tylko Włosi będą musieli to sobie sami wziąć, bo garnizony francuskie tam przebywają i dobrowolnie zdaje się nie oddadzą.

Wiele nocy nie spałem z powodu tych ostatnich wydarzeń. Ale teraz już spokojniej tę sprawę traktuję. Przychodzę do przekonania, że na Francję Pan Bóg tę karę dopuścił. Przecież na krótko przed wojną byliśmy świadkami moralnego zepsucia tego narodu. Gdy Hiszpania krwawiła w wojnie domowej, zamiast jej pomóc po sąsiedztwie, to Francja posyłała bolszewikom swoje samoloty i broń. U siebie stworzyła front ludowy. Na czele rządu trzymała Żyda Bluma, który był przeciwny zbrojeniom Francji. Wszelkie [s. 269] zabójstwa, jak króla Aleksandra i ministra Barthum oraz porwanie generała Kutiepowa było bezkarne. Bo podobno sfery rządowe były w to zamieszane. Sprawa Stawickiego, istne bagno zepsucia moralnego, została niewyjaśniona - no i policja francuska patronowała temu.

Wszystko to musiało wziąć swój koniec i sprowadzić nieszczęście na cały naród. Wiele razy zdziwienie ogarniało nas, jak naród katolicki, zdaje się politycznie tak wyrobiony, mógł powoływać do rządu samych masonów. Głosował na liberatów i socjalistów. Strzegł zazdrośnie swojej wolności republikańskiej, a teraz tak łatwo popadł w niewolę. Nazbierało się wiele przewinień i oto teraz cały naród musi pokutować. Wolność we Francji była tylko jednostronna - dla masonów. Przed wojną światową rząd francuski pokasował zakony i zakonników rozpuścił. Poszli na misje zagraniczne. Gdy wojna zagroziła Francji, zakonnicy wrócili do kraju [s. 270] i przez cztery lata krwawili broniąc ojczyzny. Po wojnie, zdawałoby się, powinni już zostać w obronionej ojczyźnie. Ale nic z tego. Ustawy przeciw zgromadzeniom zakonnym nie zniesiono i ci, obrońcy ojczyzny, często kalecy, musieli znów iść na wygnanie. Tak pojęta wolność nie mogła być trwała, bo nie miała sankcji moralnej, ani pomocy Bożej.

W tych dniach przejeżdżałem koło Konstancji. Widziałem niesamowity widok. Żydzi tam zebrani wyciągają ręce o pomoc. Wszędzie ogrodzeni kolczastym drutem. Stoją żołnierze z karabinami. Nie wolno nikomu przybliżyć się do Żydów, żeby im coś podać. Jest ich około 7 tysięcy, ponieważ przywieziono jeszcze z Krośniewic i z Gąbina. Trzy konie dziennie dla nich zabijają. Dla dzieci dają trochę mleka. Póki pogoda i ciepło - to jeszcze, choć i to jest udręka na skwarze słonecznym bez żadnej osłony. Ale jak przyjdą deszcze? [s. 271] Jest to wyraźne znęcanie się nad tymi ludźmi, całkiem niepotrzebne, że człowiek zachodzi w głowę czy Niemcy nie mają wśród swego narodu już nikogo, kto by jednak te zbrodnie potępił.

Niemniej prześladowają Polaków w dalszym ciągu. Proboszczowi w Strzegocinie odebrano całe gospodarstwo. Ledwie zostawiono mu jeden pokój na plebanii. W Łęczycy rozkazano dziekanowi, aby usunął figurę Matki Boskiej z rynku. W ten sposób chcą poderwać autorytet proboszcza wobec parafian. Posłałem do landrata dwie

parafianki, Koryznową z Sójek i Stryczyńską z Kutna (ta mówi dobrze po niemiecku, bo sama Niemka), żeby prosiły o święto, względnie o pozwolenie odprawienia Mszy św. 29 czerwca [1940] w kościele. Odmówiono. Więc odprawiamy w salonie, tak jak i Boże Ciało. Czyż to nie głupota ze strony władz niemieckich tak się zęcać nad podbitym narodem, w tym co by mogło temu narodowi przynieść duchową pociechę i pokrzepienie.[s. 272]

Ścieżki do kościołów zarastają trawą dostownie. Mam klucz od kościoła na biurku i codziennie idę do kościoła sam, skradając się prawie. Ale czuję, jak wiele ludzi od Kościoła odwyka, jak dawne zbożne wierzenia doznały wstrząsu. Nie ma dnia, żeby się nie słyszało albo i nie patrzyło na zbrodnie, zbrodnie tak wielkie i ohydne w swoim założeniu, że ludzie małej wiary tracą i tę resztkę, która w nich jeszcze tliła. Opowiadają mi np. taką historię tylko z jednego dnia. Kałużna z dziećmi, wdowa, bo mąż, urzędnik pocztowy zabity podczas tej wojny, mieszkała kątem, bo dom własny bomby rozbiły. Żyła w nędzy, ale ta nędza widać "ich" kłuta w oczy. Więc ją wraz z dziećmi wzięli do obozu. Druga wdowa, pracowita, zabiegliwa, żeby siebie i dzieci utrzymać, założyła stołownię. Niemcy, którzy u niej mieszkali i stołowali się, bo dobrze im gotowała, zapewniali ją, aby była spokojną. Może swoje [s. 273] rzeczy, a nawet cudze przyjmą na przechowanie. Nie wysiedlą jej. Uwierzyła. Pościągata swoje graty gdzieś tam ukryte. Jeden ze stołowników Niemców pojechał na urlop. Wrócił, ale już nie sam, bo wraz z żoną i dziećmi. A biedną wdowę wzięto prosto z łóżka prawie tylko w bieliźnie i wywieziono do obozu, bo Niemce wszystko było potrzebne.

Wobec tragedii, jaka się w połowie Europy rozgrywa, to wymienione zdarzenie niknie. Ale myślę, że na szali sprawiedliwości Bożej i ono zaważy, gdy przyjdzie do rozrachunku z tych zdarzeń dziejowych. Są podobno takie wulkany, w których gardzieli zbiera się woda i tworzy jezioro; kiedy skorupa pod naporem niezmiernego ciężaru pęka, jezioro zapada się i wulkan wybucha krwią pożaru i niszczącą rozpaczą. Myślę, że z ludzkich łez u nas, już się utworzyło to jezioro. 28 czerwca [1940] wzięto wiele ludzi z rozmaitej sfery. Każdy dzień przynosi nam takie nowiny, aż nie będzie już komu płakać.

[s. 274] Przed wojną, kiedy napadła Składkowskiego gorączka rozbierania płót, powstał zamiar rozebrania też pięknego parkanu przy kościele naszym. Nie zdążyli tego zrobić, bo zresztą byłem w ostrej opozycji co do tego barbarzyństwa. Obecnie inżynier Jabłoński przyprowadza mi dwóch niemieckich inżynierów i ci pod pretekstem rozszerzenia szosy, a jednocześnie upiększenia miasta powiadają, że parkan przy kościele i plebanii ma być usunięty. Staram się zapobiec temu. Mówię, że to jest miejsce poświęcone, bo leżą tu kości nieboszczyków ongiś pochowanych. Że cmentarz należy do całości kościoła przy uroczystych procesjach. Że wymaga tego utrzymanie czystości w obrębie kościoła. Na to odpowiadają. Procesje będą mogły się odbywać, bo teraz przy kościele położą chodnik, że czystość będzie zachowana taka, jaka jest przy kościele [s. 275] św. Aleksandra i Zbawiciela w Warszawie.

Na to odpowiadam. Procesja zwykła nie może wychodzić na ulicę, oprócz Bożego Ciała. Czystość w Warszawie może być zachowana, ale nie tutaj. Zresztą z drugiej

strony ogrodzenie z konieczności musi zostać, więc jak to będzie wyglądało? Tłumaczem w tej rozmowie był tutejszy geometra Holbi, też zwolennik rozbiórki parkanu. Ale Jabłoński koniecznie napierał, że prędzej czy później to musi być zrobione i że będą im za to wdzięczny, jak zobaczą piękno tego czynu. Ponieważ się nie zgodziłem, mają iść w tej sprawie do landrata i burmistrza. Oczywiście zrobią, jak będą chcieli, bo i żelazo im potrzebne. Ale po co to ubierać w jakieś estetyczne projekty upiększenia miasta. Do okna w plebanii mogą przechodnie ulicy swobodnie zaglądać.

[s. 276] Na wielu sklepach w mieście są napisy: "tylko dla Niemców" Mięso dla Polaków ma być końskie. Mleko tylko odciągane. Dzieci niemieckie, gdy idą do szkoły, śpiewają swoje piosenki na ulicy. Dla dzieci polskich nie ma szkoły ani przygotowania do I Komunii św., choć była obietnica, że nadejdzie pozwolenie. Gdyby nie wiara w Boga, trzeba by zwątpić we wszelką sprawiedliwość. To też sobie myślę, że gdy Bóg dobry odmieni nasz los, jakże wyraźny będzie cud, bo od ludzi nie ma co wyczekiwać.

Na niektórych probostwach, w stronę Poznania, już są proboszczowie Niemcy. Jest to system wynarodowienia Polaków. Bolszewicy weszli do Rumunii. Zajęli Besarabię i Bukowinę. Bałkany mogą się poruszyć, ale nie wiadomo przeciw komu. Niemcy głoszą, że wojna ma się ku końcowi, bo z Anglią rychło się rozprawią. Mimo to nie widać wielkiej radości wśród niemców. Sumienie gryzie.²²

[s. 277] Dalsze wysiedlenia w parafii. 4 lipca wyrzucono ludzi ze wsi: Gołębievek, Walentynów, Florek, Gołębiew, Nowe Sójki, Sieciechów i Kościuszków. Nie pozwolono nic ze sobą zabrać, nawet jedzenia. Widziałem, jak koto południa tego dnia wieziono niemców autokarami. Są to niemcy z protektoratu uchodzący przed możliwą inwazją bolszewików. Te metody wysiedlania są gorsze od bolszewickich kołchozów. Bo tu, choć wszystko zabiorą na komunę, ale dają jeść i sposób do pracy.

Francuska flota morska, będąca na obcych morzach, otrzymała rozkaz od swego rządu, aby wróciła do portów francuskich lub niemieckich. Rozkaz ten był pod wielkimi rygorami niemieckimi. Gdyby marynarze nie postuchali, to ich rodziny będą internowane w obozach niemieckich. Więc flota ta płynęła ku Francji. Ale na morzu Śródziemnym zabiegła jej drogę [s. 278] flota angielska. Nastąpiły pertraktacje. Gdy to nie pomogło, rozpoczęła się walka. Zatopiono kilka okrętów, w tym zginęły i dwa angielskie. Wreszcie flota francuska poddała się Anglii.

Jest to wielkie i ważne znaczenie w okresie obecnym, bo niemcy chcieli na tej flocie przewieźć swoje wojska do Anglii. Gdy się im to nie uda - wojna odwlecze się, ale też zostaje nadzieja, że Anglia już nie będzie rozbita i nie ulegnie tak, jak Francja. Dziwnym było zachowanie się Włochów w całej tej sprawie. Bitwa odbywała się na "ich" morzu. Flota włoska z daleka obserwowała bitwę, ale na pomoc nie przysłała.

Gdy się to dzieje na dalekim morzu u nas niemcy nie przestają gnębić na swój specjalny sposób. Przystano mi nakazy płatnicze za ubezpieczenie kościoła i budyn-

²² Zdanie to odnosi się do Niemców.

ków kościelnych [s. 279] od ognia. Gdy się plebania stara spaliła przed miesiącem, to o odszkodowanie nie ma mowy, bo to i tak państwowe. Dom tercjarski płaci komorne tylko Niemcom. Ja sam za plebanię płacę. Kościół zamknięty - ledwie w niedzielę otwarty do godz. 11 rano. Więc nie ma sposobu ani zebrać, ani ogłosić składki na kościół, - a tu przysyłają, aby płacić i to podniesioną stawkę o 100%, wyższą niż było dawniej.

Z przytułku starców chcą zrobić szpital zakaźny. Wskutek tego kazano biednych usunąć. Siostry umieściły staruszków i profesora Janiszewskiego. Ale przyszło wysiedlenie. Zabrano Janiszewskiego, już wiekowego człowieka, a starców umieszczono u sołtysa tejże wsi na Kościuszkowie. Po dziesięciu dniach wywieziono i owego sołtysa wraz z żoną i dziećmi, choć żona była chora. Całą chudobę sołtysa rozdzielono między osiadłych już tam [s. 280] Niemców, aż do budynków włącznie. Posiadłość była mała, więc uległa wcieleniu do większych gospodarstw. Starców więc, jacy tam byli, siostry Albertynki chciały zabrać do przytułku. Ale landrat temu się sprzeciwił. Kazał im iść do proboszcza, że ten obowiązany jest starców przyjąć. Siostry wiedząc, iż na plebanii już jest pełno, powiedziały landratowi, że miejsca tam nie ma. Wtedy odesłał je do burmistrza, z tym jednak, aby jeszcze wstąpiły na plebanię czy w jaki sposób nie dałoby się starców pomieścić.

Po drodze wstąpiły, ale potem poszły do burmistrza, który im dał kartkę na mieszkanie, jakie mogą sobie wybrać tylko na wskazanych ulicach. Teraz mieszkań próżnych jest bardzo wiele. W śródmieściu jednak nie wolno się Polakom osiedlać. A nawet ci, co jeszcze zamieszkują [s. 281] w śródmieściu będą wysiedleni. Dlatego niech się nikt tu nie dziwi, że gdy piszę "niemiec", piszę z małej litery. Zacznę pisać z dużej litery dopiero wtedy, gdy ten naród zacznie żyć po ludzku.

A oto Hitler miał teraz mowę do całego świata nawołując ("risum teneatis"²³) do pokoju. Kiedy wspominał o początku wojny, to powiedział, iż powstała z winy Polaków. Poszło o Gdańsk, "a ta zarozumiała hołota" (niby Polacy) nie chciała oddać dobrowolnie. Tak to sobie Hitler używa na Polakach i jednocześnie pragnie pokoju. Toteż burmistrz tutejszy mówi, że w Kutnie nie może zostać ani jeden Polak. Ale żyć z Polaków to by chcieli. Przysyłają nakazy płatnicze podatków podniesionych do 100 i 200%. Na przykład ubezpieczenie od ognia za kościół i budynki. Ale z plebanii i domu tercjarskiego płacimy komorne. [s. 282] Więc własność państwowa. Ale podatki płacić trzeba. Teraz przystali z Urzędu Skarbowego, aby wykazać majątek Kościoła, bo wedle orzeczenia ministra Skarbu Rzeszy Kościołowi nie przysługuje ulga w podatkach.

Nikt ich o ulgi nie prosi, ale niech będzie choć cień podstawy do płacenia podatku. Przychodzi znów jakiś drab i pyta się czy wiem, że tu jest kraj niemiecki. Wiem. A więc muszę kupić książkę, w której jest zbiór praw Rzeszy. Książka ta kosztuje 162 złote. Kto ją będzie czytał? Na probostwie musi być znany język niemiecki. Jeszcze

²³ *Risum teneatis, amici?* "czyż moglibyście się powstrzymać od śmiechu, przyjaciele?" HORACY, *Ars poetica* 5.

wojna nie skończona, a stanowią prawa, jak w swoim kraju. Dosięła nas Ręka Boża karząca, więc sam też Bóg może nas wybawić od tej niedoli.

Wskutek tej szarpaniny nerwów dostałem jakiegoś porażenia lewej [s. 283] strony twarzy. Nieczynna powieka lewego oka i połowa ust. Wskutek tego jest pewne zdeformowanie twarzy. Najniewinniejszy uśmiech wygląda na szyderczy, co w obecnych warunkach można by wziąć za prawdę. Przeciąg z otwartego okna to spowodował, ale teraz trudno dojść do normy. Prawie tydzień to mi dokucza i nie ma poprawy. Lekarz mówi, że przejdzie.

Kuria przysłała papiery - nakazy. A wykonać tych nakazów nie można. Upomina się już po raz drugi o spis poległych polskich żołnierzy i ochronę ich grobów. Nakaz słuszny i z wielu względów wskazany. Ale Niemcy i tu weszli. Kazali pozbierać pochowanych żołnierzy. Pochować na cmentarzach w danych parafiach. I to byłoby dobrze. Robili to jednak bez żadnej kontroli, a księżom przystęp był wzbroniony. U nas w Kutnie, podczas nalotów, chowano żołnierzy wraz z cywilną ludnością w jednej [s. 284] mogile i to nocą. O kontroli nie mogło być mowy. Potem, po zajęciu Kutna przez Niemców, żołnierze, których było ponad sześć tysięcy rannych, umierali; ale też pozostały tylko doraźne spisy i to zbyt niedokładne. Robimy teraz akty zgonu, lecz w miarę, gdy się rodzina zgłasza. Z błędnych notatek trudno akt formować.

A o to wszystko teraz upomina się Kuria. Poza tym poleca, aby dziekan dopilnował, żeby wszyscy księża dekanalni dla przedłużenia na rok następną jurysdykcji, odprawili rekolekcje i to poza domem. To jest w obecnych warunkach niewykonalne. U wielu proboszczów mieszkają Niemcy i śledzą, co się u tego proboszcza dzieje albo gdzie on wyjeżdża. Takie jest naprężenie, że jeden z proboszczów nie wytrzymał i potajemnie opuścił parafię. Źle zrobił [s. 285], ale może go całkowicie potępić ten tylko, kto nie przechodzi tego piekła, jakie proboszczowie teraz mają ze strony tego wroga. Nie każdy może dojść do bohaterstwa.

Dalej, Kuria poleca przystać świętopietrze, które Ojciec św. przeznaczył dla biednych miasta Warszawy. Otóż, wobec zamknięcia kościołów, nabożeństwa nie odbyły się w dzień św. Piotra i Pawła. A więc tacki nie było. A gdyby była, to nie ma sposobu przestać. Bo ani pocztą nie wolno, ani nikt nie może przewieźć, co w pierwszym półroczu jeszcze się zdarzało. Granica między Gubernią a Rzeszą tak jest obstawiona, że często przywożą do tutejszego szpitala śmiertelnie postrzelonych, którzy próbowali tę granicę przejść.

Kutno ma mieć Polaków mniej niż 20%. Już obecnie (26 lipca 1940) połowa parafii w mieście i na wsi wysiedlona. [s. 286]

Ogrodzenie przy kościele rozebrano. Następcą mój, gdy przyjdzie nie zauważy może nawet, że tu brak ogrodzenia. Czasem w mieście to się zdarza. Ale mnie dziś to wiele zdrowia kosztuje. Z powodu choroby nie wychodzę, bo nawet wedle rozkazu lekarza winienem w łóżku leżeć. Słyszę jednak huki rozbijanych słupów, bo tak mocno były budowane, że teraz trudno rozbić.

Wezwano mnie do Gestapo. Z trudem, ale trzeba było iść. Komisarz Gestapo doskonale mówi po polsku, więc to bardzo tę konferencję ułatwiło. Chodzi o to, aby

wypisy metryk były robione po niemiecku. Nadmieniałem, że jednak mało który proboszcz rozumie po niemiecku. Na to komisarz: "tutaj jest rzesza, więc musicie umieć po niemiecku" Blankiety były drukowane po niemiecku, lecz prospekt tych blankietów musi przejść przez cenzurę [s. 287] komisarza, żeby nie było błędów. Mam zawiadomić wszystkich Księży Proboszczów o tym rozporządzeniu i dać do Gestapo ich spis.

Komisarz poleca mi zawiadomić ks. dziekana w Gostyninie, żeby do tego samego się zastosował. Prosiłem komisarza, aby mnie od tego zwolnił, ponieważ to jest inna diecezja. Za to musiałem zawiadomić dziekana w Żychlinie. Prosiłem komisarza, aby mi dał papier, to zaraz zostawię mu spis księży. Ale odpowiedział, że to ma być zrobione na maszynie. Odpowiedziałem, że moja maszyna jest właśnie tutaj, a innej nie mam. Wtedy machnął ręką - niech będzie i pisane.

Sam komisarz wspomniiał, że z tą zmianą będą pewne koszty. Ale przecież Księża mają fundusze kościelne, choćby z tacki. Odpowiedziałem, że kościoły pozamykane. [s. 288] Parafianie na pół wysiedleni. Podatki o sto procent podniesione. Płacimy nawet komorne. Wtedy zmilczał. Zainteresował się zamkniętymi kościołami i pytał, kto zamknął. Powiedziałem, że rozkaz przyszedł z początku ustnie od policji, a potem piśmienny od burmistrza. Teraz nadchodzą dla nas takie święta, jak odpust doroczny, święto parafialne, Patrona kościoła, św. Wawrzyńca, a następnie wielkie święto Matki Boskiej Wniebowzięcia.

Kazał to zaprotokółować, jak w ogóle całą rozmowę i obiecał, że będzie się starał, żeby ujednostajnić, to znaczy otworzyć kościoły jak to już zrobiono w sąsiednich powiatach. Konferencja trwała blisko dwie godziny. Zrobiono dwa protokoły. Jeden z rozmowy ogólny, drugi szczegółowy, który podpisałem jako zobowiązanie, co do metryczek po niemiecku. [s. 289]

W kilka dni potem przyjechał Ks. Kaczyński, dziekan gostyński w tej samej sprawie. I dobrze się stało, że sam przyjechał, bo od razu wyjaśnił, że nie może na razie do niczego się zobowiązywać, bo w całym dekanacie zabrano akta stanu cywilnego. Komisarz powiedział, że przyjedzie na miejsce i akta odda. Pytał się też Ks. Kaczyńskiego czy u nich kościoły otwarte. A gdy Ks. Dziekan powiedział, że otwarte i nawet co do kazań nie ma ograniczeń, to się dziwił, dlaczego w kutnowskim jest inaczej. Potem się pytał czy święto Wniebowzięcia 15 sierpnia jest wielkie święto. Otrzymał odpowiedź twierdzącą i obiecał, że będzie się starał kościoły otworzyć.

Ks. Kaczyński opowiedział mi to wszystko, gdy z Gestapo przyszedł. A mając kilka godzin czasu opowiadał, co u nich w płockiej diecezji słyhać. Opowiedział [s. 290] mi też szczegóły śmierci ś. p. Ks. Pawła Kwiatkowskiego w Soczewce. Gdy Niemcy wchodzili do Soczewki Ks. Kwiatkowski z kilku parafianami poszli nad Wisłę i przypatrywali się temu. Niemcy wzięli ich za szpiegów i popędzili pieszo do Płocka. Tu udało się im jakoś oswobodzić. Za Ks. Kwiatkowskim zaręczył Biskup. Ks. Kwiatkowski wskutek tej podróży i wzruszeń zachorował. Ale po dwóch dniach już mógł do Soczewki wrócić. Towarzysze jego od razu uciekli i to ich uratowało.

Do Księdza Niemcy przyszedli powtórnie i wyprowadzili na pole tuż przy plebanii. Dali Mu szpadel, aby kopał dół. Gdy wykopał, zapytali trzykrotnie czy strzelał do Niemców. A gdy za każdym razem odpowiedział, że nie - po trzecim razie strzelili do Księdza i zaraz [s. 291] wepchnęli do świeżo wykopanego grobu. Jestem głęboko przekonany i wszyscy to mówią, że ksiądz nie strzelał do Niemców, bo i nie miał z czego. Zresztą nigdy nie byłby na tyle nieroztropny. To trzykrotne pytanie - to tylko komedia. Bo gdyby się ze strachu przyznał wbrew prawdzie, byliby zabili. A skoro się nie przyznał - też zabili.

Drugi raz przeżyłem ciężkie chwile. Tej nocy spać nie mogłem. Żal Księdza [Kwiatkowskiego] i oburzenie za zbrodnię Niemców. Po śmierci Księdza parafianie wdarli się do plebanii w nocy i wszystko rozgrabili. Ongiś tak podobno czyniono w Rzymie po śmierci Papieża, więc trudno teraz potępiać parafian Soczewki. I to jeszcze w takich okolicznościach, kiedy sobie mówią: nie weźmiemy my, to wezmą Niemcy. Oczywiście jest to sofizm tylko. [s. 292]

21 lipca [1940] Ks. Wardzyński opuścił swoją parafię Kaszewy. Na plebanii w Kaszewach mieszka komisarz niemiecki i sekretarz. Tak proboszczowi dokuczali, że po prostu uciekł. Teraz do Kaszew jeździ Ks. Ciechanowski. A nawet Kuria poleciła, abym jednego z prefektów delegował jako proboszcza. Więc Ks. Ciechanowski jest proboszczem. Tylko i jemu trudno z tym Niemcem, choć może się z nim rozmówić po niemiecku.

Proboszcz z Miłonic opowiedział mi takie zdarzenie. Landrat tutejszy ma w jego parafii majątek jako letnisko. W ogrodzie tego majątku stała figura Matki Boskiej z napisem na cokole: "Królowo Korony Polskiej, módl się za nami" Landrat wezwał proboszcza i polecił mu zabrać tę figurę, bo on nie może znieść takich rzeczy w swoim ogrodzie. Dowiedziała [s. 293] się o tym pewna pani i prosiła landrata, aby figurę tę zostawił, jak była, bo tu się ludzie schodzą na modlitwę. Za to ona ofiaruje 25 mk. na biednych. Landrat zapytał się, w jakim języku będą się modlić. Odpowiedziała, że po polsku. Wtedy zaczął się pieniść ze złości. Że on nienawidzi Polaków, że Polacy chcieli zabrać Berlin i że wszelkie zło od Polaków idzie. Jest to jedyny naród, którego on znieść nie może. Figurę proboszcz zabrał do kościoła, a napis landrat czemprowadzając kazął zetrzeć.

Nic też dziwnego, że w nocy z 12 na 13 sierpnia [1940] pościnano wszystkie krzyże w mieście i porzucano wszystkie obrazki - kapliczki, jakie były na drzewach. Teraz ludzie zanoszą te krzyże pod kościół. A więc z Warszawskiego Przedmieścia, ze Zduńskiej przy teatrze, od koszar, przy szosie do Oporowa na gruncie Nowakowskich, na folwarku. Tu na przykład [s. 294] z Gestapo ktoś przyszedł i robił obtudnie śledztwo, kto to zrobił. Gdy kobieciny, w naiwności swojej, pytały się czy można będzie postawić na tym miejscu nowy krzyż - odpowiedziano, że tylko za miastem. A za miastem to samo robią.

Ks. Ciechanowski jest proboszczem w Kaszewach, ale nie ma gdzie mieszkać i akta stanu cywilnego wywieziono do gminy. Chcąc mu pomóc poszedłem do komisarza Gestapo, który sam się chwalił, że jest od spraw kościelnych. Proszę go tedy, aby

akta oddano i choć jeden pokój, jaki miał Ks. Wardzyński. Wtedy komisarz mówi, że Ks. Ciechanowski może jeździć do gminy pisać akta (nota bene gmina leży w innej parafii). Mówię tedy, że prawo nasze zabrania księdzu pisać akta poza obrębem swej parafii. A ten: "teraz nie ma żadnych praw zakonnych ani kanonicznych [s. 295], ani kościelnych. Są tylko prawa wojenne - niemieckie i wszyscy muszą się tym prawom poddać. Rekwizycja mieszkania w Kaszewach wynika właśnie z tych praw"

Na to odpowiedziałem, że jednak przy dobrej woli i powołując się na prawo ludzkości, można by jakoś uzgodnić te trudności. Tym bardziej, że Ks. Ciechanowski po-przestałby na jednym pokoiku, z przejściem przez łazienkę, aby tylko miejscowy wójt nie był krępowany w swoim mieszkaniu zajęтым. Wtedy komisarz rzucił się gniewem mówiąc: "teraz powołuje się pan na prawa ludzkości, a co Polacy porobili z niemcami, gdy wojna się zaczęła. Obcinali im członki, wydlubowali im oczy. Mamy fotografie tej masakry. Działo się to w Bydgoszczy. Dlatego musimy was teraz trzymać ostro. I to wszystko, co wam się może zdaje zbyt przykre, to jeszcze za mało [s. 296]. Kara będzie nieustanna, boście na to zasłużyli" Odrzekłem, że nic mi nie jest wiadome z tych rzeczy, co p. Komisarz mówi. Tutaj było wielu Niemców i nic im się złego nie stało. Wspomniałem o tym Niemcu, co umarł naprzeciw plebanii, jak go prowadzili i jakieśmy go uczciwie pochowali. Wspomniałem o uratowanym lotniku w szpitalu.

Komisarz zaznaczył, że jednak prowadzono Niemca bez litości aż musiał umrzeć. A co do lotnika, to przecież chroniło go prawo międzynarodowe o jeńcach. Odważyłem się dodać, że fotografie mogły być stare z Hiszpanii, bo tam się takie rzeczy działy. A jeśli nawet i zabito cywilnych Niemców w Bydgoszczy, to dlatego, bo podobno strzelali do polskich żołnierzy ze swoich mieszkań. Nie było to z mej strony politycznie. Ale już nie mogłem [s. 297] tego przenieść, jak szkalował mój naród tak nieszczęśliwy. Biorą teraz odwet okrutny, bez żadnej litości i jeszcze torturują moralnie.

Przy końcu tej rozmowy polecił mi, abym swoich parafian uświadamiał o tej zbrodni, Polaków przeciwko Niemcom i żebym to czynił nawet na spowiedzi. I dodał: "chciało wam się iść po Odrę do Wrocławia i Bytomia - macie teraz odpowiedź na to" Słowem znęcanie się nad człowiekiem. Toteż, po tej konferencji, przez trzy dni nie mogłem się uspokoić. Była mowa też o nabożeństwach w kościele. Obiecał, że może niedługo otworzą nam kościół. Pytał się też czy wiem, co się stało w mieście w nocy z 12 na 13 sierpnia [1940]. "Niestety, wiem - odrzekłem" "A kto to zrobił?" "Nie wiem, słyszałem tylko strzały, ale z mieszkania nie wychodziłem" "Jednak chciałbym wiedzieć, kto to zrobił?, zakończył" [s. 298]

26 sierpnia [1940], dobrze rano przyszli po Księży Prefektów: Ks. Targońskiego, Ks. Ciechanowskiego i Ks. Kozłowskiego, kapelana wojskowego ze Lwowa. Zabrali też Ks. Malinowskiego, tutejszego wikariusza. Ale ten zmylił ich czujność i już ubrany po cywilnemu, jak kazali, uciekł. Ta ucieczka Księdza spowodowała ich wielką złość. Przybiegli na plebanię. Odprawiłem wtedy Mszę św. w salonie. Na Mszy św. było kilka osób, ale nim weszli gestapowcy, zdążyli się usunąć. Zakonsekrowałem trzy komunikanty, bo trzy osoby o to prosiły. Wejście Niemców do kaplicy - salonu

nastąpiło na "Per Ipsum" Słyszałem ucieczkę ludzi i wyjście potem Niemców. Ale spokojnie pozwolili dokończyć Mszy św.

Potem zaczęła się rewizja w poszukiwaniu Ks. Malinowskiego. Cały dom od strychu do piwnic przewrócony. Następnie w podwórzu wszystkie budynki. Przy okazji zwracano uwagę na inne rzeczy. [s. 299] I tak pod szopą jest złożony kierat kupiony kilka miesięcy temu w fabryce "Kraj" dla Ks. Wiąckiewicza Józefa. Nie można teraz wystać, więc leży. Zdało im się, że jest to jakaś kontrabanda. Przedstawiłem rachunek z fabryki i dali spokój. W stodole znaleźli znów części roweru, jakie Wacław, mój służący tam złożył, bo mu jakiś uchodźca zostawił. Znów śledztwo, a czyje, a kto itp? Oczywiście rower zabrano. W końcu rzucono groźbę pod moim adresem, że jeśli Ks. Malinowski się nie znajdzie, to mnie zabiorą. Rewizja trwała od godz. 8 rano do pierwszej po południu. Potem przez kilka dni kościół i plebania były obserwowane przez tajną policję - nawet w nocy.

W mieszkaniu Ks. Malinowskiego, przez pierwszą noc czuwał policjant. Potem zabrano niektóre rzeczy i mieszkanie zapieczętowano. Ks. Ciechanowskiego zwolniono. [s. 300]. Zabrano Ks. Proboszcza Szczęsnego z Grochowa. W Imielnie Ks. Gogolewski zdążył gdzieś się ukryć, gdy przyjechali po niego. W Krośniewicach zabrano Ks. Matuszewskiego, proboszcza i dwóch wikarych: Ks. Mościckiego i Szczepaniaka. Kościół zamknięto na klucz i klucz zabrano. Wzięto też proboszcza Ołdakowskiego w Dzierzbicach, wzięto w Dąbrowicach Ks. Zarembę, zabrano w Głogowcu Ks. proboszcza Korzeniewskiego. W Mnichu też Ks. proboszcza Rulskiego i w Łąkoszynie Ks. prob. Przyborowskiego wraz z Ks. Wikarym Kurowskim. Razem dwunastu, a dwóch uciekło, którzy też wrócić tu nie będą mogli. A jeszcze nie wiadomo, czy ich też nie chwycą. Wszędzie pozabierano inwentarz proboszcza i zbiory. Pokoje na plebanii zapieczętowano. Gospodyniom w niektórych plebaniach pozwolono mieszkać i pilnować plebanii [s. 301], innym znów groźą wywiezieniem do Niemiec, jeśli zaraz plebanii nie opuszczą.

Zostali księża w Nowem Ks. Zagańczyk, chory na zapalenie woreczka żółciowego. W Miłonicach Ks. Majkowski, w Rduowie Ks. Sobolewski, chory. I jeszcze został proboszcz Ks. Frankiewicz w Łanietach, został w Strzelcach Ks. Dębiński, w Łękach Ks. Skupiński, no i my dwaj, ja i Ks. Oziębłowski w Kutnie. W Kaszewach niby Ks. Ciechanowski, bo nie ma tam mieszkania, tylko dojeżdża. Z Łąkoszyna przywieźliśmy Sanctissimum. To samo zrobiono w Mnichu, w Imielnie. W Dzierzbicach, proboszcz zdążył dać spożyć ludziom, którzy przyszli do kościoła. Ale Mszy św. już nie zdążył odprawić.

Nie wiem, jak będzie w Krośniewicach. Prosiłem Ks. Majkowskiego, aby udał się do Niemców po klucze. Może na jedną [s. 302] chwilę dadzą, żeby można Pana Jezusa zabrać. Pozabierano też akta stanu cywilnego. Zresztą może i lepiej, skoro proboszczów nie ma. Zabrano też Ks. Dziekana Osińskiego z Żychlina, Ks. proboszcza z Pleckiej Dąbrowy Łukomskiego i Ks. Kuziemskiego z Orłowa. Ze Skrzyszew usunięto Ks. Dyrektora Brajczewskiego, który ma przebywać w Szczawinie.

Na 1 września [1940] gotują wielki marsz młodzieży szlakiem pędzonych Niemców cywilnych rok temu. Już są wielkie przygotowania. Wczoraj wieczór (30 sierpnia) przychodzi Niemiec i rozkazuje wyruszyć szosą naprzeciw plebanii. Padał wielki deszcz. Mówię, nie wiem, jak to będzie, gdy deszcz nie ustąpi. "Ma być sucho"! Oto logika Niemców. Już dużo młodzieży niemieckiej przyszło. Bębnią w bębny, śpiewają, słowem parada.[...]”²⁴

Zakończenie

Wspomnienia Sługi Bożego Ks. Michała Woźniaka to wartościowy materiał historyczny do poznania dziejów Kościoła Warszawskiego okresu międzywojennego i pierwszego roku II wojny światowej. Autor ujawnia szereg faktów mało znanych nauce polskiej lub przedstawianych w innym świetle. Ks. M. Woźniak ze znanstwem kreśli również sytuację społeczno - polityczną wymienionego okresu. Umiejętnie dokonuje charakterystyki osób, które odegrały określoną rolę w tamtym czasie. W opisie Sługa Boży hołduje prawdzie. Jawi się Czytelnikowi jako gorliwy kapłan - duszpasterz, zatroskany o swoją owczarnię oraz - jako wielki Patriotą - Polak, miłujący swoją Ojczyznę, pragnąc jej dobra.

W październiku 1941 roku Sługa Boży Ks. M. Woźniak został aresztowany przez gestapo. Po pobycie w obozie przejściowym w Łądzie, przewiezony został do Dachau, gdzie dnia 16 maja 1942 roku poniósł śmierć męczeńską za wiarę.

MEMORIALE DEL SERVO DI DIO P. MICHAŁ WOŹNIAK

(Sommario)

Le *Memorie* del Servo di Dio P. Michał Woźniak costituiscono un prezioso materiale storico per la conoscenza delle vicende della Chiesa Cattolica a Varsavia nel periodo tra la prima e la seconda guerra mondiale e nel primo anno di quest'ultima. L'autore rivela una serie di fatti poco conosciuti nella storiografia polacca, oppure presentati finora da un'altra prospettiva. Il P. M. Woźniak traccia con perizia il quadro della situazione sociale e politica di quei tempi. Egli presenta in modo preciso i caratteri delle persone che svolsero ruoli di spicco in quel periodo. Il Servo di Dio descrive sempre quello che è conforme alla verità. Il lettore vede in lui un sacerdote pieno di zelo pastorale, premuroso per il suo gregge, nonché un vero patriota che ama il suo Paese e desidera il suo bene.

In ottobre del 1941 il Servo di Dio P. M. Woźniak fu tratto in arresto dalla gestapo. Dopo un certo tempo di permanenza nel campo provvisorio a Łąd, egli fu trasferito a Dachau dove patì il martirio il 16 di maggio del 1942.

²⁴ Na tym kończy się ostatnia strona brulionu *Wspomnień*. Nie wiadomo, gdzie znajduje się ciąg dalszy i czy w ogóle został zachowany.